Karol K. Soyka
Krzysztof Kotowski

KREW SNAJPERÓW

OPOWIEŚĆ ŻOŁNIERZA GROM-U

LINIE FRONTU

Seria LINIE FRONTU
Grzegorz Kaliciak *Karbala. Raport z obrony City Hall*
Michael Golembesky, John R. Bruning *Marines. Bohaterowie operacji specjalnych*
Grzegorz Kaliciak *Afganistan. Odpowiedzieć ogniem*
Dan Raviv, Yossi Melman *Szpiedzy Mossadu i tajne wojny Izraela* (wyd. 2)
Karol K. Soyka, Krzysztof Kotowski *Cel za horyzontem. Opowieść snajpera GROM-u* (wyd. 2)

Karol K. Soyka, Krzysztof Kotowski

Krew snajperów

Opowieść żołnierza GROM-u

wydawnictwo czarne

Wołowiec 2017

Wszelkie powielanie lub wykorzystanie niniejszego pliku elektronicznego inne niż autoryzowane pobranie w zakresie własnego użytku stanowi naruszenie praw autorskich i podlega odpowiedzialności cywilnej oraz karnej.

Projekt okładki Piotr Bukowski
Projekt typograficzny Robert Oleś / d2d.pl
Fotografia na okładce © by Tom Stoddart Archive / Getty Images

Copyright © by Krzysztof Kotowski i Karol K. Soyka, 2017

Opieka redakcyjna Konrad Nowacki
Redakcja Piotr Nehring
Adiustacja Małgorzata Poździk / d2d.pl
Korekta Sandra Trela / d2d.pl, Ewa Czernatowicz / d2d.pl
Redakcja techniczna Robert Oleś / d2d.pl
Skład Sandra Trela / d2d.pl

Skład wersji elektronicznej d2d.pl

ISBN 978-83-8049-547-0

Spis treści

Seria

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

Motto

Wstęp. Zanim zaczniecie czytać…

1 Historia wstępna, ale – jak się później okazało – dość ważna. Rembertów, październik 1993 roku

2 Kiedy robi się gorąco…

3 Kosowo, Albania, 2001 rok

4 Polowanie na snajpera (sporo wcześniej)

5 Strach (wschodnia granica Polski, dwa lata wcześniej)

6 Z powrotem w Kosowie, Albania, 2001 rok

7 Cztery lata wcześniej (miejsce akcji utajnione)

8 Kosowo, Albania, 2001 rok

9 Irak, 22 marca 2003 roku. Port Umm Kasr

10 Zatoka Perska, Irak, 2003 rok

11 Kuwejt, baza Camp Doha, 2003 rok

12 Udairi, Baza Sił Powietrznych Armii Stanów Zjednoczonych, Kuwejt

13 Baza przejściowa sił specjalnych, cztery mile od Umm Kasr, 22 marca 2003 roku. Kuwejcka pustynia

14 Wojna na żywo

15 Baza GROM-u. Przygotowania do bitwy pod Al-Fau

16 Na granicy iracko-irańskiej, 26 marca 2003 roku

17 Bagdad, listopad 2003 roku. Osiem miesięcy później

18 Nazajutrz, godzina 8.00, Camp Jenny Pozzi, Bagdad

19 Życie na chybił albo trafił. Bagdad, listopad 2003 roku. Baza sił specjalnych

20 Relaks

21 Bagdad, grudzień 2004 roku

22 Zasadzka

23 Noc, godzina 23.00. Pogranicze kurdyjskie

24 Polska. Sierpień 2005 roku

25 Afganistan. Dolina Uzbin, sześćdziesiąt kilometrów na wschód od Kabulu. Sierpień 2006 roku

Przypisy

Kolofon

Byłem tam… Na Bałkanach, na pustyni Kuwejtu, na wodach Zatoki Perskiej, w budynkach Bagdadu i na wzgórzach Afganistanu. Widziałem to na własne oczy, od samego środka i naprawdę nie zdawałem sobie wtedy sprawy, że mogę tam po prostu zginąć.

Snajper GROM-u

Wstęp

Zanim zaczniecie czytać…

Wiecie, jak to jest… Czasem nam się wydaje, że przeżyliśmy coś bardzo ważnego, trudnego, niebezpiecznego. Kiedy patrzymy na to z oddali, oglądając filmy, zdjęcia, słuchając opowieści dzielnych ludzi, jawi się nam jako szczególnie wyjątkowe. Gdy jednak znajdziemy się w samym środku, dotkniemy tego ręką, przyjrzymy się z bardzo, bardzo bliska – wyjątkowość blednie. Cała ta niezwykłość nabiera realnych kształtów i staje się oczywista. Niektórych to rozczarowuje, inni oddychają z ulgą. Jeśli dotyczy to podróży, która jest spełnieniem marzeń, bo od lat pragnęliśmy zobaczyć Rzym, Gizę czy Tadź Mahal, to raczej od nas samych zależy, czy będziemy umieli się tym cieszyć. Jeśli mamy wyruszyć na wojnę, podróż odbiera się w sposób znacznie bardziej skomplikowany.

Kiedy powstawała pierwsza książka, *Cel za horyzontem*, w której sięgnąłem do wspomnień z Mosulu, Dohy czy Port-au-Prince, wydawało mi się, że czynię słusznie. Że to powinno być opisane, i to z punktu widzenia człowieka, który tam był. Któregoś dnia jednak puknąłem się w czoło i zadałem sobie proste pytanie: czy to może kogokolwiek obchodzić? Większość dzieciaków ma gdzieś wojsko, siły specjalne, komandosów, czy nawet jednostkę GROM. Dzisiaj najważniejsze jest to, kto ma najwięcej lajków na Facebooku, kiedy wychodzi najnowsza wersja *Wiedźmina* i co włoży na tyłek kolejny telewizyjny celebryta, choć większość ludzi nie ma pojęcia, kim on jest, czego chce od życia i czy ma cokolwiek do powiedzenia na jakikolwiek temat.

My w dzieciństwie bawiliśmy się w wojsko, graliśmy w piłkę, czasem w kapsle, zbieraliśmy znaczki czy naklejki, a internet – choć dla niektórych to niepojęte – po prostu jeszcze nie istniał. Źródłem wiedzy byli przede wszystkim rodzice, otaczający nas ludzie, książki, no i oczywiście szkoła. Średnie nakłady polskich książek w latach siedemdziesiątych sięgały

dwustu, trzystu tysięcy egzemplarzy. Obecnie książka sprzedana w dziesięciotysięcznym nakładzie to już bestseller. Dzisiejszego nastolatka trudno oderwać od smartfona nawet na pogrzebie jego własnej babci. Kto ma czas na książki? O książkach o GROM-ie nie wspominając. Odłożyłem więc pomysł na półkę i zająłem się innymi sprawami. Znajomy dziennikarz zwrócił mi jednak kiedyś uwagę na to, że niezależnie od tego, jak Polacy są zabiegani, umęczeni walką o przetrwanie czy zmaganiem się z tym, co wyprawiają politycy, nie można myśleć dychotomicznie. Czyli mówiąc po ludzku – nie wszystko jest tylko czarne lub tylko białe, nie każde zjawisko społeczne jest albo złe, albo dobre, a słów typu „wszystko", „zawsze", „nigdy" należy używać bardzo ostrożnie. Nie zanudzając was całością rozmowy ze znajomym, powiem tylko, że jego ostatnie słowa brzmiały mniej więcej tak: „Daj spokój i napisz wreszcie tę książkę, bo po pierwsze, dwadzieścia lat służyłeś w GROM-ie, po drugie, wbrew temu, co myślisz, są w tym kraju ludzie żądni wiedzy i ciekawi świata, wielu też chciałoby się dowiedzieć, co my w tym Iraku czy Afganistanie właściwie robiliśmy. I po trzecie, jeśli ty tego nie zrobisz, to prędzej czy później zabierze się do tego ktoś, kto GROM zna tylko z artykułów publikowanych w kolorowych pismach i w internecie, a wiedząc, że historia tej jednostki dla wielu ludzi jest ważna i nośna, napisze stek bzdur. I będzie po temacie".

No i powstała książka *Cel za horyzontem. Opowieść snajpera GROM-u*, a fakt, że sięgnęło po nią tak wielu ludzi, napawa mnie i Krzyśka Kotowskiego ogromną dumą. I za to Wam dziękuję.

Krew snajperów ma nieco inną formę. Zmieniłem nazwiska i pseudonimy (także i mój) oraz pewne niuanse dotyczące poszczególnych akcji i wydarzeń. Dzięki temu mogłem zdradzić więcej, bez narażania się na, hmm… nieprzyjemności. Mówiąc wprost – książka jest mocno oparta na faktach, opisuje prawdziwe wydarzenia, w których uczestniczyłem ja sam lub uczestniczyli moi koledzy z jednostki. Jednak pewne drobiazgi zostały zmienione, co – wierzcie mi – niczego nie ujmuje historii.

1

Historia wstępna, ale – jak się później okazało – dość ważna. Rembertów, październik 1993 roku

– To strzelał wasz, jak wy go tam nazywacie, snajper?

– Tak jest, panie generale.

– Słuchajcie! Co wy mi tu za farmazony opowiadacie, pułkowniku Petelicki? – spytał wizytujący jednostkę GROM generał. – Wiele strzelań w służbie widziałem i takie numery, wicie, rozumicie, to nie ze mną. Tarcze pewnie zostały wcześniej podziurawione czubkiem ołówka. Już widziałem takie chwyty na sprawdzianach strzeleckich w wojsku, no i co na to powiecie, hę? To nie takie proste, ale, ma się rozumieć, staracie się, staracie, inicjatywa jest i chęci…

Petel przez sekundę nie dowierzał własnym uszom. Nienawidził sytuacji, kiedy ktoś wciąż istotny, kto mógł zdecydować o przyszłości takich jednostek jak GROM, po raz kolejny cofał go w czasy przaśnych ignorantów w mundurach rodem z PRL-u, których niekompetencja miała zabezpieczać interesy sąsiedniego mocarstwa. Tym bardziej że przecież on sam doskonale pamiętał czasy „Trepostanu”, o którym tacy jak on chcieli jak najszybciej zapomnieć. Wtedy czas biegł znacznie szybciej niż teraz i wszystko zmieniało się błyskawicznie. To coś, co przez całe lata narastało w ludziach, także w tych, którzy tworzyli później GROM, po roku 1989 wybuchło ze zdwojoną siłą.

Była też jednak druga strona medalu. Dziś jeszcze lepiej niż wtedy widać, jak wielu ludzi nie załapało się na ten „pociąg” i przegapiło swoją szansę. Polska wydaje się przecięta na pół jak jabłko. A politycy bezwzględnie wykorzystują tych, którzy chcą, aby kraj szedł jak najszybciej do przodu, a jeszcze bardziej tych, którzy nie pojmują zawiłości współczesnego świata.

Wolność ma ogromną wartość, ale zdarza się, że w umysłach ludzi urodzonych w komunizmie wzbudza niepokój i lęk. Związana z nią odpowiedzialność przeraża czasem bardziej niż samotność czy niepewność, w którą stronę iść. Kiedyś władza mówiła ludziom, co mają robić, mówiła, co jest dobre, a co złe, i nikt nie musiał wybierać, decydować i bać się, że nie wie, że nie umie. We wszystkich sklepach były takie same ceny, w Sejmie nie było różnych ugrupowań, poglądów, a dyskusje były pozorne. Kiedyś wódka była tania, żyło się prosto, a praca była oczywistością. Wszystko było wyraziste. A potem nagle ludzie zaczęli błądzić we mgle.

Generał stał na granicy dwóch epok. Za maską pewnego siebie paniska ukrywał lęk, bo jego czasy zgasły jak zdmuchnięta świeczka, nagle i przerażająco. Wciąż bronił się wyświechtanymi frazesami, władczą i arogancką postawą oraz budowaniem własnej legendy człowieka doświadczonego i niezrównanego. Wojsko pozwalało takim jak on żyć złudzeniami. Rzeczywistość poza murami koszar zmiotłaby ich bez litości, natychmiast oraz bez należnego im szacunku. W wojsku mogli jeszcze trwać, choć – czego nie byli raczej świadomi – już niezbyt długo i niezbyt chwalebnie. Petelicki też nie urodził się w Trzeciej Rzeczypospolitej, karierę zaczynał w PRL-u, czego nigdy nie ukrywał, ale był człowiekiem o szerokich horyzontach i doskonale zdawał sobie sprawę z konsekwencji zachodzących zmian.

Po chwili, którą wykorzystał na dojście do równowagi i przywrócenie cierpliwości, Petelicki pokiwał głową „ze zrozumieniem” w odpowiedzi na słowa generała, rozejrzał się dookoła, jakby zbierał jeszcze przez moment myśli, i odezwał się tonem lżejszym, niż zamierzał kilka sekund wcześniej:

– To, co przed chwilą pan generał słyszał – zaczął spokojnie – to element pokazu na żywo, w tak zwanym realu. To były strzały z odpowiedniego dystansu oddane przez kilku strzelców w pana obecności. Przed chwilą – zaznaczył powtórnie.

Dowódca GROM-u wychwycił nierozumiejące spojrzenie generała.

– Jak to? To tych snajperów jest tutaj, znaczy się w tej okolicy, więcej?

– Tak jest – odparł pułkownik.

Generałowi wyrwało się pełne szczerego zaskoczenia westchnienie.

– To znaczy… chyba nadinterpro… nadinterpretowujecie chyba jednak…

– Obawiam się, że nie – usłyszał spokojną odpowiedź. Petelicki był chłodny, uprzejmy i rzeczowy.

– Noo… – wizytator nie dawał za wygraną. – Ja słyszałem tylko jeden strzał, pułkowniku, hmm.

– I tak miało być – Petelicki lekko się uśmiechnął. – Strzelało kilku snajperów, tyle że jednocześnie, na komendę.

Pułkownik czekał teraz na odpowiednią reakcję generała.

– To znaczy naraz, w jednym czasie – uściślił na wszelki wypadek Petelicki. – Przy ostatnim strzale trzech.

– Dobra… – Generał z niedowierzaniem uniósł brwi. – Dajcie mi jakiś pisak.

Gdy wykonano rozkaz, chwycił flamaster, podszedł do tarczy fotograficznej z wizerunkiem terrorysty i na klatce piersiowej zaznaczył mały, niewyraźny trójkątny punkcik wielkości może paznokcia. Następnie w charakterystyczny sposób, jakby od niechcenia, unosząc brodę, polecił:

– No, to teraz ci wasi strzelcy pokażą nam wszystkim, co potrafią. Snajperzy. Tak?

– „Szakale”, tu „Jackie”, zgłaszać się do mnie! – dowódca sił szturmowych wywołał przez radiostację snajperów rozlokowanych wokół budynku, w którego oknach za szybami rozmieszczono tarcze szkoleniowe.

– Tu „Szakal Jeden”, odbiór.

– Tu „Szakal Dwa”, zgłaszam się.

– Tu „Szakal Trzy”, jestem.

– Uwaga, pytam krótko! Który z was ma w sektorze okno z naznaczoną tarczą?

„Robak” zerknął przez lunetę celowniczą swojego remingtona 700.

– „Jackie”, tu „Szakal Dwa”, odbiór.

– Tu „Jackie”, widzisz ją, „Robak”?

– Tu „Szakal Dwa”, potwierdzam. To nie mój sektor, ale mogę zdjąć – odparł „Robak”.

– Czekaj na komendę – rozkazał „Jackie”.

– Przyjąłem.

– „Jackie”, „Jackie”, tu „Jedynka”, odbiór!

– Dawaj! – dowódca zwolnił przycisk nadajnika na swoim radiotelefonie.

– Tu „Szakal Jeden”, to mój sektor i jestem gotów do strzału.

– Odebrałem, czekaj, pozostań w gotowości. „Trójka”, jak sytuacja? – zgłosił się spokojnie dowódca.

– Tu „Trójka”, nie widzę tego okna, jestem za daleko na zachód, na trzystu metrach w krzakach. Mam się przegrupować?

– Nie, zostań, gdzie jesteś. Nie strzelasz już, rozładuj się. „Jedynka” i „Dwójka”, „Luck” i „Robak”, pełna gotowość do strzału. Macie ammo[1]? Meldować.

– Tu „Jedynka”. Mam.

– Tu „Dwójka”. Coś się znajdzie.

– Okej. Bez odbioru.

Nadciągała już jesień, czuć to było szczególnie nad ranem, chłód dawał się we znaki, a od gruntu szło przejmujące zimno. Snajper leżący na ziemi czuł to mocno. Do tego deszcz, który niestety przybrał na sile, bo wcześniej tylko mżyło, a teraz krople rozbijały się o krawędzie snajperskich kapeluszy ze sporą już siłą. Z zielono-brązowych strojów maskujących unosiła się lekka mgiełka parującego potu z rozgrzanych pleców. Snajperzy wiedzą, że to niedobrze, bo coś takiego może zdradzić ich pozycje. Co się wtedy robi? To bardzo proste: należy szybko i precyzyjnie strzelić i spieprzać. I nie byle gdzie, tylko trzeba zmienić pozycję na mniej widoczną, taką, w której uda się być niezauważonym nieco dłużej.

„Robak” gołym okiem spostrzegł z prawej strony, jakieś sto metrów od niego, stanowisko strzeleckie „Szakali” z teamu numer jeden. Tkwili tam w pożółkłych liściach, w trawie, tuż przed pniem wysokiego, starego klonu. On i jego obserwator z „Dwójki”, snajper o ksywie „Brian”, leżeli na razie w ciszy. „Brian” obserwował budynek w oddali przez bushnella, czyli lunetę na małym trójnogu. Wreszcie zaczął podawać:

– Odległość: dwieście dziesięć metrów. Wiatr: bez znaczenia. Wilgotność: ponad dziewięćdziesiąt procent. Cel: okno na dwie trzecie.

Szyba już rozbita. Uważaj na mokre plamy. Deszcz zacina do środka budynku. Narysowany trójkąt ledwo widać, zlewa się z innymi punktami. Ta tarcza to już teraz pieprzone Jezioro Łabędzie!

– Podaj nabój – mruknął skupiony „Robak”, który nie odrywał już teraz wzroku od trójkąta na tarczy.

– Jeden?

– Jeden. No fakt, cholera, ledwo widać coś na tarczy, wszystko się zlewa. Nie chcę pomylić celu.

– Uwaga, snajperzy! – usłyszeli przez radio dowódcę sił szturmowych.

„Robak” nieco odchylił głowę w prawo i oparł policzek o kolbę karabinu. Lewe oko przymknął już wcześniej, wyostrzona źrenica prawego teraz prawie znieruchomiała i poczuł już zjednoczenie z czarnym punktem umieszczonym daleko na przedpolu. Usłyszeli wezwanie do gotowości do strzału, ale snajper nie miał jeszcze załadowanej broni.

– „Brian”, gdzie ten cholerny nabój? – warknął „Robak”, zdjął z kabłąka prawą dłoń pokrytą zielono-brązowym kamuflażem i wyciągnął ją w kierunku ramion leżącego obok kolegi.

– Już, chwila, rzucam – odpowiedział „Brian”. – Trzymaj!

Znowu głos „Jackiego” z radia:

– Uwaga, uwaga, „Szakale”. Gotowość!

Snajperzy mieli już zdrętwiałe z zimna palce i kiedy ich dłonie zetknęły się podczas przekazywania sobie żółtozłotego naboju kaliber 7,62 milimetra, ten, zamiast trafić w ręce „Robaka”, wypadł i wylądował gdzieś w trawie przed nimi.

– Snajperzy… – usłyszeli powtórzoną komendę.

– „Brian”, dawaj ten pieprzony nabój! – ponaglił „Robak”.

– Wpadł w trawę!

– To go olej i weź szybko drugi z paczki!

– Nie ma już innego! Na ten pokaz dowódca wydał mi tylko dwa. Co robimy?

– Snajperzy! Gotów…! – „Robak” przygotował się na to, że strzeli tylko samym powietrzem. Oby tylko „Luck” trafił…

– Czekaj, mam go. – „Brian” się wyprostował.

„Robak” raz jeszcze wyciągnął dłoń do partnera, chwycił, tym razem silnie, czubkami palców za łuskę, jak automat wrzucił go do komory, którą natychmiast zatrzasnął, przesuwając metalową kulkę zamka energicznie do przodu i w dół. Prawą dłonią złapał od spodu za kolbę i położył palec wskazujący na języku spustowym.

– Gotów!!! – Pauza. – Ognia!

Słowa „ognia” właściwie nie było już słychać w słuchawce, reakcja powinna nastąpić już na samo: „Og”. Resztę miał wypełnić, i zresztą wypełnił, zgrany, głośny wystrzał obu snajperów. „Robak” spojrzał jeszcze raz przez lunetę na okno i tarczę, która jednak, cała już rozmiękła od deszczu, po wystrzale wpadła do środka pomieszczenia w budynku.

– Trafiłeś? – zapytał, wyrównując oddech „Brian”.

– Nie wiem. Zdążyłem tylko „położyć krzyż”, reszty nie pamiętam.

– Jak nie trafiłeś, to stary wywali nas z firmy. Mamy to jak w banku.

– Wiem, kurwa, ale co mam teraz powiedzieć? Już pozamiatane. Może chociaż „Luck” trafił.

– „Szakale”, tu „Jackie”. Rozładuj broń! – podał przez radio dowódca.

„Robak” i „Brian” leżeli w ciszy, przyglądając się przez lunety grupie obserwatorów, która w pałatkach podążała powoli za idącymi na czele Petlem i wizytatorem. Szli skupieni z groźnymi minami, sztywni, jakby ktoś powsadzał im w tyłki wyciory do czyszczenia luf. Jeden z sierżantów oderwał się nagle od grupy i wbiegł do środka budynku po tarczę. Cała kilkunastoosobowa ekipa przystanęła w oczekiwaniu. Petelicki zaczął coś objaśniać, pokazując ręką w kierunku snajperów i orientując generała, skąd padły strzały. Po chwili sierżant wyszedł z klatki schodowej na plac przed budynkiem. „Robak” patrzył przez celownik na jego twarz, żołnierz miał minę zaciętą, niezdradzającą niczego, w ręku trzymał wymiętą od deszczu tarczę. Obserwatorzy natychmiast zgromadzili się przy niej, chowając ją przed wzrokiem snajpera. Niektórzy, ci znajdujący się nieco dalej, stawali na czubkach palców, by jakoś, pomiędzy głowami tych, co byli bliżej, zobaczyć efekt strzałów.

– Widzisz minę starego? – spytał „Brian”. – Chyba zadowolony.

– Na to wygląda.

Wyraz twarzy „Robaka” się nie zmienił, ale „Brian” wiedział, że koledze ciężki kamień spadł z serca. Jemu zresztą też. Po pokazie całość sił szturmowych stanęła na zbiórce, snajperzy w swoich maskałatach na końcu szyku. „Robak” z „Brianem”, spokojni, gdzieś z tyłu.

– Panowie! – przemówił uroczystym tonem generał. – Czegoś takiego dawno w Wojsku Polskim nie widziałem! Gratulacje, panowie!

„Robak” wychylił się lekko zza pleców „Briana”, aby dokładniej przyjrzeć się tarczy w dłoni pułkownika Petelickiego. Uśmiechnął się kącikiem ust na widok jednej przestrzeliny na tarczy. Jak w *Czterech pancernych*. Pamiętacie? Janek Kos. Petel jeszcze przez parę lat, nawet kiedy już był generałem brygady, trzymał tę tarczę za szafą w swoim gabinecie i czasem pokazywał ją różnym szychom, opowiadając anegdotę o historycznej wizycie generała z flamastrem. Tłumaczył, jak namalowany przez generała trójkąt oberwał jednocześnie dwoma pociskami w sam środek. W jednej sekundzie. To była pierwsza tak ważna i – jak się później okazało – przełomowa wizytacja w GROM-ie. Później jeszcze wiele się działo w tej jednostce.

A co by było, gdyby wtedy nie trafili? Szczerze? O tym lepiej nawet nie myśleć.

2

Kiedy robi się gorąco…

Jeśli gdzieś na świecie robi się bardzo „gorąco”, to z pewnością snajper szybko znajdzie się w tym miejscu jako jeden z pierwszych i stanie się „oczami” swojego oddziału, a jeśli zajdzie taka potrzeba, to będzie działał samodzielnie, jak myśliwy.

W ostatnich dziesięcioleciach wiele się zmieniło w kwestii prowadzenia działań zwiadowczych, ale snajperzy nadal są niezastąpieni. Przede wszystkim ze względu na specjalne wyszkolenie, nadzwyczajną taktykę walki, zdolności mentalne, wolicjonalne i oczywiście strzeleckie. We współczesnych konfliktach zbrojnych raczej nie prowadzi się takich działań jak podczas obu wojen światowych, nie toczy się bitew, po których zostaje tylko spalona ziemia, nie ma mowy o wybijaniu wszystkiego, co się na niej porusza, czy o doszczętnym niszczeniu miast i wsi. Pewien wyjątek stanowią tu bezwzględne działania armii prezydenta Władimira Putina w Syrii. Zresztą, jeśli chodzi o sprawy wojskowe, to Rosjanie raczej nigdy nie byli w czołówce, ani jako ci najnowocześniejsi, ani najbystrzejsi, i zawsze niestety mija trochę czasu, zanim się zorientują, że świat się zmienił. I że nie tędy droga.

A prawda jest taka, że wiary i serca do walki u bojowników islamskich (i innych też) nie da się zakopać pod ziemią i wytępić raz na zawsze, co pokazały wojny w Iraku i Afganistanie. Obecnie separatyści rosyjscy walczą z Ukraińcami. Co z tego, że na samym początku użyli tam ciężkiego sprzętu: czołgów, wyrzutni rakiet, moździerzy, haubic i czort wie czego tam jeszcze. Na razie działania stanęły w miejscu. Zostawmy to.

Przykładem współczesnych działań wojennych, gdzie głośno było o snajperach, jest wojna w byłej Jugosławii. Choć, powiedzmy to od razu, tamtejszych snajperów można określić raczej mianem terrorystów, czy nawet morderców, niż żołnierzy, ponieważ strzelali do cywilów bez

jakiegokolwiek uzasadnienia. Tlące się potyczki zbrojne, w których szala zwycięstwa długo nie przechyla się na żadną stronę, powodują, że walczący trzymają się na dystans, powiedzmy, „od okopów do okopów”, to znaczy mniej więcej na maksymalną odległość skutecznego zasięgu karabinów snajperskich. Czyli od jednego kilometra do trzech. I to właśnie w takich konfliktach snajperzy są najniebezpieczniejsi, tam zbierają swoje największe „żniwo”. Dlaczego? Odpowiedź jest prosta. Walczące strony są zmęczone przedłużającą się niejasną sytuacją na froncie, na którym w pewnym sensie panuje bałagan. Gotowość do walki miesza się z rozluźnieniem, a dzisiaj nikt nie ma ochoty na taką niebezpieczną zabawę, zwłaszcza gdy się ona przedłuża i jedną ze stron jest któreś z mocarstw, na przykład Stany Zjednoczone. I to jest właśnie czas snajperów, którym stwarza się warunki do podpełznięcia na bardzo niewielką odległość do celu. Jak wspominałem, zwykle są oni świetnie wyszkoleni, potrafią ominąć pola minowe, często sprzyja im miejscowa ludność i partyzantka. Są trudni do wykrycia, mogą działać samodzielnie. Umieją odnaleźć się wszędzie – w lesie, w trawie, na wzgórzach, w ruinach budynków, w piwnicach. Dzięki odebranemu wyszkoleniu właściwie wszędzie czują się jak u siebie i są cholernie skuteczni. Snajperzy są w stanie wzbudzić strach u zwykłych żołnierzy, a przynajmniej mocno nadszarpnąć ich morale i wolę walki. Zajmują bardzo ważne miejsce w armiach niemal każdego państwa. „Niemal każdego”, bo nie wszystkich stać na wytrenowanie i utrzymanie tej elitarnej grupy. W Polsce prawdziwych zawodowych snajperów jest niewielu, ja mam to szczęście, że jestem jednym z nich. Podobnie jak kilkunastu innych moich kolegów służyłem w pierwszym zawodowym oddziale snajperów Wojska Polskiego. Opowiem wam parę historii, w które nie zawsze łatwo uwierzyć, ale jak wiemy, zdarza się, że najbardziej nawet pokręcona fikcja nie potrafi być tak niewiarygodna jak najczystsza prawda. W tej książce fikcji jest niewiele.

No to zaczynamy. Jak się nazywali? Jasne. „Nie pamiętam”, jak się właściwie nazywali. Jeden z nich miał ksywę „Robak”. A drugi? To był ten Drugi…

3

Kosowo, Albania, 2001 rok

Kiedy „Robak” był jeszcze dzieciakiem, zamieszkał u swojego wuja w domu pod lasem, bo jego matka chciała, aby ostatnie dwa lata szkoły podstawowej skończył w gronie starych kolegów. Dom rodzinny nie nadawał się już do dalszego zamieszkiwania, bo był powojenną ruiną. Nie było sensu go remontować, więc reszta rodziny „Robaka” zdecydowała się zamieszkać w sąsiedniej gminie. Niedaleko. Od zawsze miał do czynienia z bronią. Kiedyś, przechodząc obok uchylonej szafy, natknął się przypadkiem na stojący w głębi, między ubraniami, sztucer myśliwski. Przystanął zaciekawiony, gdy nagle tuż za jego plecami jak zjawa wyrosła ciotka i powiedziała cicho, ale jak mu się zdawało, chyba z zachętą:

– Umiesz strzelać? Haa…? Jeśli chcesz, to możesz go sobie pożyczyć, ale żeby jutro rano był z powrotem w szafie. Nikomu o tym nie wspominaj, bo wuj mógłby się mocno zdenerwować.

Ciotka dobrze znała ojca „Robaka”, wiedziała, że jest myśliwym i znakomitym strzelcem. Dzieciakowi oczy się zaświeciły z emocji i szybko złapał sztucer. Wyszedł na zewnątrz, usiadł na chwilę na ganku przed domem, spojrzał na zegarek, wstał i ruszył w kierunku stodoły, by skręcić za nią do pobliskiego lasu. Chłopak starał się trzymać wysoko ciężki sztucer przewieszony na pasku przez ramię, ale szybko opadł z sił, ciągnął więc broń za lufę, ryjąc końcem drewnianej kolby w ściółce. Gdy tylko zrobiło się dość szaro, powoli wychynął na skraj łąki i aż serce zabiło mu mocniej na widok kilku dużych, czarnych dzików, grzebiących w oddali w torfowisku. Zdjął sztucer z ramienia, przesunął suwak bezpiecznika do przodu, wycelował, mrużąc lewe oko, i powoli, zgodnie z regułami sztuki strzeleckiej, starał się pociągnąć za język spustowy. I wtedy nagle, tuż za jego plecami, coś lub ktoś gwałtownie zerwał się do ucieczki, robiąc przy tym tyle zamieszania, że zaskoczony chłopiec z wrażenia docisnął do końca

spust. Rozległ się grzmot, kolba omal nie urwała mu ramienia, a dziki z miejsca się rozpierzchły. Zdążył zerknąć do tyłu i zarejestrować, jak jakiś futrzany tyłek daje chodu z całych sił, byle dalej od niego. Wychowany w lesie chłopak bez trudu rozpoznał umykającego w trwodze borsuka.

– Niech to! – Wkurzony „Robak” machnął ręką. – Jak mógł mnie tak podejść! A niech to…

Zrobiło się zupełnie ciemno. Chłopak pobiegł jeszcze do miejsca, w którym stał „jego” dzik, ale po zwierzęciu nie było już prawie żadnych śladów. Musiał uciec dalej niż biedaczek borsuk. „Robak” najpewniej zerwał strzał i kula poleciała zbyt wysoko.

Z płucami niemal w gardle wrócił sprintem – na ile to było możliwe z ciężkim sztucerem – do odległego przynajmniej o kilometr domu. Schował broń do szafy, rozebrał się, szybko umył i wskoczył do łóżka. Z wystającym spod kołdry nosem leżał z szeroko otwartymi oczami, rozmyślając o tym, co zaszło na łące. „Robak” często przywoływał w pamięci to wspomnienie swojego pierwszego doświadczenia z bronią: wciąż było ono równie wyraźne jak wspomnienie pierwszego pocałunku z dziewczyną czy pierwszy lęk na prawdziwej wojnie, kiedy nie obawiał się o życie, ale o to, że zawiedzie. Nie każdy potrafi to zrozumieć.

Wiele lat później, kiedy jechali z „Drętwym” śmierdzącą terenówką przez pogranicze kosowsko-macedońskie, takie wspomnienia dawały przyjemne ukojenie. Siły albańskie próbowały wtedy zająć część przygranicznych wiosek w Kosowie oraz w Macedonii, atakując zarówno kosowskich separatystów, jak i wojska macedońskie. Jak wiadomo, podczas jugosłowiańskich wojen dochodziło do przerażających czystek etnicznych. Co noc słychać było strzały, także w albańskich wioskach. Ci, którzy tam walczyli, stąpali po wyjątkowo cienkiej linie rozciągniętej między tym, co było walką o wolność, a zwykłym bandytyzmem, a nawet ludobójstwem. Przywódcami oddziałów partyzanckich nierzadko zostawali bossowie miejscowych mafii. Rozpad Jugosławii był najtragiczniejszym, jeśli chodzi o liczbę ofiar, konfliktem europejskim po II wojnie światowej. Do tego krwawego żniwa przyczyniła się również nienawiść religijna między

katolikami, prawosławnymi i muzułmanami stanowiąca pożywkę dla zbrodniarzy wojennych.

Działający w ramach KFOR (Kosovo Force) polsko-ukraiński batalion POLUKRBAT uczestniczył w rozbrojeniu i likwidacji tak zwanej Wyzwoleńczej Armii Kosowa. Zapobiegał, na ile to było możliwe, zamieszkom w swojej strefie odpowiedzialności i przeprowadzał operacje mające na celu konfiskowanie broni i amunicji kosowskich Albańczyków. I właśnie wtedy, w 2001 roku, na pograniczu kosowsko-macedońskim doszło do bardzo poważnych starć między Albańczykami a Macedończykami, które stanowiły zagrożenie dla stacjonujących tam polskich oddziałów. Nasz kontyngent został wówczas wzmocniony zespołami komandosów wydzielonymi z Jednostki Specjalnej GROM z bazą w Kosowie. Przerzutów w rejon pasa granicznego dokonywano po cichu, bez udziału śmigłowców, które latały tylko wtedy, gdy niezbędne okazywało się wsparcie ogniowe lub medyczne. Żołnierze przemieszczali się terenówkami, poruszając się po leśnych drogach i duktach, ponieważ na drogach szutrowych, szczególnie tych stale naprawianych, bardzo często pojawiały się miny. Żołnierze GROM-u patrolowali wybrane odcinki pogranicza kosowsko-macedońskiego. Tamtejsze góry może i nie wyglądają zbyt groźnie, ale są poprzecinane wąwozami i dlatego najlepiej przemieszczać się tam pieszo lub na osłach.

Zza zakrętu wyłoniła się terenówka. Pracujący na pełnych obrotach silnik zmagał się z czarną, błotną mazią, walcząc zawzięcie o każdy metr. Był to rumuński ARO, przypominający nieco rosyjskiego UAZ-a. Kierowca dokonywał cudów, aby utrzymać pojazd na właściwym kursie, raz nawet stanął w poprzek drogi, a klął przy tym niemożebnie. Obok szofera siedział miejscowy przewodnik z obojętnym wyrazem twarzy, prawą ręką mocno trzymał się górnego uchwytu. Trzęsło niesamowicie, trzeba było uważać na głowę, żeby nie oberwać górnym obramowaniem paki. Niezbyt starannie przypięta plandeka tłukła się o burty samochodu. Wiał silny, zimny wiatr i zacinał deszcz, który wpadał do środku auta, tak że pod butami snajperów utworzyła się błotna breja. ARO z trudem pokonywał gliniastą „drogę”. „Robak” i „Drętwy” siedzieli z zamkniętymi oczyma, poddając się

rytmowi, jaki nadawała trzęsąca się terenówka. W lewych dłoniach trzymali przed sobą zamaskowane lufy karabinów snajperskich, których kolby oparli na stopach. Pilnowali, żeby lunety celownicze nie uderzyły w elementy skrzyni ARO. Po drugiej stronie, na ławce obitej zieloną dermą, sfatygowaną i pociętą w wielu miejscach, siedziało jeszcze dwóch strzelców. To byli Amerykanie. Jeden z nich przymknął oczy, jakby ze znużenia, ale czuwał, bo co parę sekund zerkał w kierunku brudnej przedniej szyby, po której przesuwały się poszarpane i przez to kompletnie nieużyteczne wycieraczki. Drugi chyba rzeczywiście spał. Czujny Amerykanin starał się zapamiętać pokonywaną przez ARO krętą drogę. Na wszelki wypadek. Nazywał się Vedlowski, nasi nazywali go więc „Wedlem". Miał macedońskie korzenie. Ten drugi, „Blondas Joe", umiał spać na siedząco i trzymając między nogami plecak z radiostacją.

Co jakiś czas przez drogę przeskakiwały kozice, mniej płochliwe, niżby można oczekiwać, czasami stawały pośród kęp grabów karłowatych i odprowadzały wzrokiem pnącą się w górę terenówkę. Choć zapadał zmrok, ARO jechał bez włączonych świateł. Jak się pewnie domyślacie, „Robak" i „Drętwy" byli komandosami, a ściśle mówiąc, snajperami z GROM-u. Ten pierwszy, kapitan, starszy i bardziej doświadczony, był z GROM-em na Haiti w 1994 roku i w chorwackim Vukovarze w 1997 roku. Miał poważny wyraz twarzy, mocno zarysowane kości policzkowe, lekki zarost i spojrzenie twardego zawodowca. Średniego wzrostu, szczupły, poruszał się lekko, choć był nieco przygarbiony, pochylając się ku przodowi. Gdy się czołgał, tak jakoś dziwnie zarzucał ciałem na boki, jakby nie używał rąk. Przypominał w tym stonogę lub wija, czemu zawdzięczał przezwisko. Niewiele mówił. W odróżnieniu od młodszego o siedem lat kolegi wolał słuchać, niż tokować, zachowywać instynktownie czujność i chłodny dystans. Znali się już nie najgorzej, ale była to ich pierwsza wspólna bojowa misja zwiadowcza. Nie mieli zbyt dużo czasu, by się odpowiednio zgrać, co w wypadku snajperów jest ważne. Ciągłe zawirowania polityczne w Polsce, reorganizacje i zmiany kadrowe spowodowały, że koledzy „Robaka" odeszli już do cywila, a w jednostce

pojawiło się sporo dzieciaków. Zdolnych, zręcznych, ale niedoświadczonych.

„Drętwy” miał twarz dzieciaka, nie nosił zarostu, Amerykanie nazywali go „The Baby Face”. Czasem tylko jak coś palnął, to niejeden zastanawiał się, czy ten koleś aby na pewno nadaje się do elitarnej jednostki. Kawały, które opowiadał, były dziwaczne i mniej więcej tak zabawne jak wizyta komornika o piątej rano. On sam natomiast się z nich zaśmiewał, więc pod tym względem był samowystarczalny. Pamiętam, jak kiedyś spytał całe towarzystwo: „Co to za zwierzę, które się słania na własnych nogach?”. I jak zwykle w takich wypadkach wprowadził kolegów w konsternację, bo nikt przecież nie chciał mu robić przykrości, a nie zawsze, niestety, było jasne, w którym momencie trzeba wybuchnąć śmiechem. Tym razem na szczęście nie kazał czekać długo na rozwiązanie, rzucając radośnie: „no słoń!”. Płakał ze śmiechu. „Drętwy” miał metr osiemdziesiąt wzrostu i gdyby swoimi wielkimi dłońmi uścisnął wam rękę, mielibyście wrażenie, że ktoś wsadził ją wam w imadło. Był jednak fenomenalnym strzelcem. Kiedyś na strzelnicy wybiegł mu na plan dziki królik, był daleko, jakieś dwieście metrów przed nim. Wyprostowany „Drętwy” podniósł karabin, strzelił i trafił biegnącego zwierzaka, czym wzbudził niemały podziw, choć wszyscy wiedzieli, że to nie przypadek. Na dodatek zrobił to zimą, kiedy warunki są dla snajpera trudniejsze. Królika zjedliśmy na kolację.

Do punktu zrzutu zostały jeszcze dwa kilometry, a potem mieliśmy do pokonania jeszcze ze dwa, ale już na piechotę, na zachód wzdłuż granicy macedońsko-albańskiej. Posterunki Polaków i Amerykanów były oddalone od siebie zaledwie o pięć kilometrów. Przez albańską granicę do osad w Kosowie i w Macedonii przemytnicy przerzucali wszystko, co tylko się dało – drobne towary, ludzi, narkotyki, a także broń. Jugosławia już dawno przestała istnieć i wszystkim, Amerykanom i całej chyba Europie, bardzo zależało na tym, żeby w tym rejonie wreszcie zapanował spokój. Zadania były proste: chłopcy mieli obserwować z ukrycia szlaki prowadzące przez tutejsze wzgórza i meldować, jak duża jest skala problemu. Posterunki KFOR nie znajdowały się wszędzie, ale tam gdzie zostały rozmieszczone, przemytniczy ruch graniczny zanikał. Zapadł zmrok, kiedy ARO wjechał

w obszar malowniczych, wapiennych skałek. Nie odkryję Ameryki, jeśli powiem, że nie tylko Kosowo, Macedonia, ale i Albania to kraje niezwykle piękne. Cała była Jugosławia słynęła z wyjątkowej urody krajobrazów, bajecznie wyrysowanych na tle gór wybrzeży, mówiąc krótko, miała doskonałe warunki i przez lata przyciągała turystów, chociaż za „bardziej prestiżowe" uchodziły wybrzeża francuskie czy włoskie.

Nagle z oddali, zza wapiennych skałek padł strzał i nim ktokolwiek zdołał się zorientować, co zaszło, kierowca osunął się na kolana przewodnika. Pedał gazu przypadkiem został dociśnięty, przez co silnik wszedł na najwyższe obroty, ARO zatańczył na drodze i po kilkunastu metrach uderzył lewą częścią przedniego zderzaka w głaz. Terenówka przechyliła się na bok i zsunęła z naturalnego nasypu drogi w gęstwinę karłowatych drzew, ryjąc tylną skrzynią w mokrym mchu i ściółce z liści. Przewodnik kopnął buciorem w przednią szybę, wypchnął tułowiem resztę szkła, przeturlał się przez maskę i wylądował na ziemi. Potem szybko się otrzepał i chwycił kałasznikowa. Twarz miał we krwi, ale wstał szybko z ziemi, przeładował broń w powietrzu, przebiegł na przeciwną stronę drogi i wyrąbał chyba cały magazynek, strzelając w kierunku przeciwległej skarpy wzgórza. Po chwili wszystko ucichło. Nikt nie strzelał.

W ciężarówce powstał kocioł. „Robak" zebrał się w sobie, wyjął nóż i jednym ruchem przeciął plandekę. Pozostali wygramolili się przez tył terenówki; dobrze, że plandeka nie była zbyt mocno zapięta. Snajperzy z karabinami na plecach poczołgali się do najbliższych krzaków. Byli poturbowani, ale adrenalina dała już o sobie znać – „Drętwy" wyjął granat dymny i rzucił go daleko przed siebie, chwilę później „Robak" zrobił to samo. Potem snajperzy chwycili za granaty bojowe, ale że wystrzałów nie było słychać, z wolna zdjęli palce z zawleczek. „Robak" potwierdził skinieniem głowy, żeby przynajmniej na razie odłożyli granaty. Przerzucił karabin snajperski McMillan przez plecy i skoczył w kierunku przodu samochodu, by zorientować się, co z kierowcą, a „Drętwy" przyklęknął i skanował przez lunetę obszar, skąd mógł paść kolejny strzał.

„Robak" chwycił za ramię leżącego w poprzek przedniego siedzenia kierowcę. Po chwili pojawił się „Drętwy".

– Cały jesteś? – spytał go „Robak”.

– Chyba mam wybity palec u lewej ręki.

– To rzeczywiście… chyba z tego nie wyjdziesz.

– Trochę cykoria mnie zalała.

– Drajwer nie żyje – „Robak” zniżył ton głosu. – Dostał między oczy.

Teraz dopiero obaj dokładniej mu się przyjrzeli. Twarz miał posiekaną przez kawałki szkła, prawa gałka oczna wisiała na cienkim ścięgnie za przednim siedzeniem.

– Ja pierdolę…– jęknął „Drętwy”.

– Pozbieraj nasze plecaki i dawaj do tamtego drzewa. – „Robak” wskazał je głową. – Szybko!

Amerykanie już wcześniej wyciągnęli swoje plecaki i odskoczyli do lasu, kierując się do przodu, i zajęli tam pozycje. Joe sięgnął po noktowizor zamontowany zamiast dziennej lunety i klęcząc za granitowym głazem, próbował wypatrzeć, kto strzelał i co się dzieje z ich przewodnikiem. Para pełzająca tuż przy ziemi i unosząca się potem w górę przysłoniła drogę przed nimi i snuła się dalej, w kierunku skarpy. „Robak” z „Drętwym” dołączyli do „Wedla” i Joe.

– Fuck! – mruknął pod nosem „Wedel”. – Gdzie on wyparował?!

– Kto? – spytał młody.

– Przewodnik.

– Idę za nim – mruknął „Robak”.

– Nie, nie, to błąd! – zaprotestował „Wedel”. – Za słabo znamy tego Jugola, nie ufam mu. A to strzelał snajper. Lepiej prowadźmy nasłuch. Nie załączaj też noktowizora, trzymaj na pasywnym.

– Okej – zgodził się „Robak”.

– Jeśli to jest snajper, to na pewno próbuje nas wyśledzić, a noktowizor „na aktywnym” świeci w nocy jak choinka w Boże Narodzenie – zauważył Joe.

– Co z kierowcą? – szepnął Vedlowski.

– Kiepsko – westchnął „Robak”. – Ale już ma z głowy wszelkie kłopoty.

Kapitan wiedział, że gdyby to była wojskowa zasadzka, to byłoby już po nich. Ale skoro nikt się nie zbliża, a nie słychać było wybuchu miny,

ciężkiego karabinu czy granatnika, to znaczy, że najprawdopodobniej strzelał samotny snajper i możliwe, że jeszcze się czai w pobliżu. Może miejscowa mafia albańska ma już ich tutaj dosyć i płaci najemnikom, by ich postraszyć.

„Robak" stwierdził, że przewodnik miał jaja, że tak się rzucił biegiem. To była właściwa reakcja na zasadzkę. Nie ma wyjścia; czasem trzeba błyskawicznie zaatakować w kierunku pozycji przeciwnika. Jugol to pewnie były wojskowy i dlatego tak się zachował. Natarcie z kałasznikowem w ręku ma sens, ale szturm z karabinem snajperskim już nie bardzo.

Grupą Amerykanów dowodził „Wedel". Czekali z pół godziny w ciemnościach w zupełnej ciszy i słychać było tylko drobne krople deszczu obijające się o kaptury maskałatów. „Drętwy" delikatnie wyjął czerwony, chemiczny lightstick[2], przełamał go wpół i rzucił daleko na drogę. Jugol nie wracał, jakby zapadł się pod ziemię.

– To miejscowy, da sobie radę – mruknął właściwie do siebie „Robak".

Ruszyli, postanowili się cofnąć jakieś sto metrów wzdłuż drogi. Znaleźli odpowiednie miejsce, usiedli w małym kręgu, plecami do siebie, zdjęli kaptury i zamarli. To tak zwany SLLS, czyli „*Stop, Look, Listen and Smell*" (zatrzymaj się, obserwuj, nasłuchuj, wyczuj zapach). Zapadła już noc i tylko szum wiatru od czasu do czasu przerywał ciszę. Chwilami silniejszy podmuch zrywał z gałęzi grabów i brzóz krople deszczu, które spadały na twarze snajperów. Po pewnym czasie postanowili odejść jeszcze z pięćset metrów w dół zbocza, chowając się pośród wrzosowisk i kęp krzaków. Joe wyjął radiostację i poinformował bazę o sytuacji oraz podał współrzędne unieruchomionej terenówki. Niedługo powinno tu dotrzeć QRF (Quick Reaction Force, czyli Siły Szybkiego Reagowania) z KFOR. Teoretycznie. Wreszcie zdjął słuchawki i objął wszystkich wzrokiem:

– Chłopaki, potwierdziłem, że możemy działać dalej. Plan jest taki, że w razie bezpośredniego zagrożenia „robimy tego snajpera".

– Jasne. –Polacy kiwnęli głowami.

– Teraz wyciągnijcie z plecaków pałatki, bo w końcu ten deszcz nas załatwi.

Cała czwórka wydobyła maskujące, gumowane od spodu narzutki, ścisnęli się i jedną z nich narzucili na głowy, przykrywając wszystkich z góry. „Wedel” zapalił czerwoną latarkę czołówkę. Małe, bladoczerwone światełko ukazało ofoliowaną mapę, którą położyli na ściółce. Wodząc palcem po mapie, „Wedel” objaśniał plan:

– Ja i Joe cofniemy się jeszcze trochę wzdłuż drogi, a potem przejdziemy na drugą stronę, na tę skarpę powyżej. O, tutaj. – Wskazał miejsce na mapie. – Spróbujemy podejść od tyłu do punktu, z którego skurwiel strzelał. Jeśli jeszcze tam gdzieś jest, to go jutro rano namierzymy, a jeśli odskoczył, to pójdziemy za nim.

Przekręcił trochę mapę.

– Gdzieś tutaj, na tej górce, trzy kilometry stąd, koło tego mostku przy wąwozie, posiedzimy do kolejnego wieczora. Będziemy was ubezpieczać przy przejściu na drugą stronę wąwozu, a potem wy nas. Tak czy inaczej musimy się teraz rozdzielić. Później wy, chłopaki, działacie w swoich rejonach, a my z Joe w swoich. Właściwie bez większych zmian, tak jak do tej pory. W operacji wiele się nie zmieniło, dalej prowadzimy obserwację i meldujemy naszym w bazie o wykryciu każdego ruchu osób czy sprzętu. Sytuacje awaryjne też znamy, więc robimy swoje. Trzeba uważać na tych albańskich snajperów, do tej pory wywiad nic o nich nie wspominał, więc mamy tutaj nową, kurwa, rzeczywistość. Więc możemy teraz liczyć tylko na nasz szósty zmysł. Uważajcie na dupska, a jeśli zajdzie taka konieczność, likwidujemy ich.

– Na jaki szósty zmysł? – spytał z zaciekawieniem „Drętwy”.

– Fuck, na mądrość karabinów – sprecyzował „Wedel”.

– Co za nietryb! – „Robak” pokręcił głową, nie wierząc w to, co słyszy. – Jak, kurwa, można zadawać takie głupie pytania?

– Mamy dwa tygodnie, to może ich namierzymy. My jeszcze tu zostaniemy i poczekamy na „misjonarzy” z KFOR, ale wy ruszajcie na stanowisko – zadecydował „Wedel”. – I uważajcie na Jugola, może gdzieś tu się plącze po łąkach, a jak się rozwidni, to sprawdzimy, czy gdzieś tu nie leży.

– Jasne – potwierdził „Robak”.

GROM-owcy ruszyli powoli w dół porośniętego krzakami zbocza. Było cicho. Wiejący wysoko nad głowami snajperów wiatr i szum coraz intensywniejszego deszczu dawały się żołnierzom we znaki. Znowu.

Przewrócona na bok terenówka nie zmieniła naturalnie swojej pozycji. W pewnym momencie sylwetka zabitego kierowcy lekko się poruszyła i przez wygięte drzwi na zewnątrz wysunęła się głowa. Przy denacie kręciły się dwie postaci opatulone w materiał maskujący, z którego zwisało mnóstwo sznurków. Nieśpiesznie i skrupulatnie przeszukiwali ofiarę, wyjęli dokumenty, mapę, portfel, rozglądając się przy tym uważnie. Po kilku minutach uznali najpewniej, że robota została wykonana, i ruszyli w górę zbocza. Idąc jeden za drugim, spokojnie oddalali się od przewróconego ARO i wyraźnie podążali w kierunku Amerykanów. Od czasu do czasu przyklękali i skanowali przez noktowizory teren przed sobą.

„Robak” i „Drętwy” maszerowali spokojnie, trzymając się blisko siebie. Schodzili w dół zbocza, czasem szli trochę w górę, kierując się przez co najmniej cztery kilometry na południe, w stronę wąwozu, który widzieli na mapie. Od czasu do czasu przysiadali i wsłuchiwali się w nocne życie lasu, próbując wyłowić coś nienaturalnego, coś, co mogłoby wzbudzić ich niepokój. Szli powoli, było tuż przed wschodem słońca i związanym z tym postojem. Zmienili kierunek mniej więcej o dziewięćdziesiąt stopni, pomaszerowali jakieś pięćdziesiąt metrów wzdłuż zbocza i znów zmienili kierunek o dziewięćdziesiąt stopni, wspinając się powrotnie na górę. Co pewien czas przyklękali i nasłuchiwali. To oczywiście taktyka pozwalająca uniknąć zasadzki i śledzenia przez nieprzyjaciela.

Do swojego stanowiska obserwacyjnego mieli jeszcze trzy kilometry w linii prostej. Słońce już wstało, ale uznali, że po nieprzespanej nocy, przemoknięciu do suchej nitki i z częściowo zmytym z twarzy i dłoni kamuflażem nie będą iść dalej. Ukryją się i poobserwują mostek, czyli cztery szerokie, drewniane kłody z prowizorycznymi poręczami. Kładka położona była na tak zwanym dzikim szlaku, wijącym się z jednego pasma wzgórz na przeciwległe. W dole rozciągał się dość głęboki wąwóz z płytkim, zarośniętym krzakami strumieniem. Przed nimi, w kierunku Macedonii, widać było kolejne wzgórze, gdzie powinien się znajdować ich

posterunek. Wzniesienie było dość wysokie i żeby się tam dostać, należało albo skorzystać z kładki, albo drałować jeszcze co najmniej dziesięć kilometrów i w dodatku wejść w rejon działania innej grupy KFOR.

Rzeki mające w tych górach swoje źródła bywają zdradliwe. Latem są to płytkie i małe strumyki, często gęsto zarośnięte na brzegach chaszczami, ale po obfitym deszczu potrafią znacznie zwiększyć swoje rozmiary i wartko uderzać we wszystko, co stanie im na drodze. Przepływają wówczas dolinami, tworząc kłopotliwe dla ludzi przeszkody, zalewają wąwozy i kaniony. Kładkę trzeba pokonać w nocy, zachowując ogromną ostrożność, o czym polscy snajperzy doskonale wiedzieli. Teraz – zmęczeni, przemoczeni – mogliby dać się zaskoczyć, więc nie było sensu ryzykować. „Wedel” i Joe też tędy przejdą, ale trochę później. Kiedy uda im się niepostrzeżenie przejść przez kładkę, skierują się bardziej na południe, zatrzymają się na położonym naprzeciwko wzgórzu i przez jakiś czas będą mieć ją na oku.

„Drętwy” położył się i zaczął obserwować teren znajdujący się na godzinie szóstej, a przy okazji rejon, z którego przyszli. „Robak” natomiast wyjął z bocznych kieszeni plecaka typu Alice ofoliowaną suchą wołowinę i trochę sucharów. Po takiej trasie i takiej nocy powinien być głodny, tymczasem pogryzał tę wołowinę bez wielkiego apetytu, jakby od niechcenia. Zamyślony, z wzrokiem utkwionym w dal, próbował uporządkować myśli i jakoś ustalić dalszy plan działania. Wracał myślami do wydarzeń poprzedniego wieczora i już zdawał sobie sprawę, że to nie będzie rutynowa misja rozpoznawcza. Poluzował paski spinające z przodu plecaka, odwinął górną klapę i spojrzał na tablicę lekkiej przenośnej radiostacji typu AN/PRC. Następny główny nasłuch będzie za dwie godziny. Pogrzebał w plecaku, wyciągnął dwa płaskie plastikowe pudełka z otwieranymi denkami i rzucił je „Drętwemu”.

– Domaluj sobie twarz – rzucił cicho.

– Może się przebierzemy?

– Ok. Tylko ostrożnie.

Po zmianie ciuchów z cienkiego zielonego polaru na suche spodnie i bluzy ponownie wbili się w kombinezony maskałatów. „Robak” rozłożył

z przodu nóżki, postawił na nich karabin McMillan .308W, przysunął się na kolanach do lunety Leopold MARK 4 i odchylił trochę okrywający ją zielony bandaż, by sprawdzić, czy wszystko w porządku z pokrętłami nastaw celowniczych. Od przodu naciągnął na lunetę jasnobrązową pończochę, która dość dobrze spełnia funkcję filtra przeciwodblaskowego, bo nie zakłóca patrzącemu obrazu, a w dzień się na pewno przyda. Nieprzyjacielski snajper z pewnością zwróciłby uwagę na odblask odbitych od szkła lunety promieni słonecznych i na sto procent zorientowałby się, co to oznacza. Taki odblask widać z odległości kilometra.

Luneta na całej długości była dość ściśle owinięta zielonym, elastycznym bandażem, tak aby żaden jego fragment nie zwisał luźno, bo inaczej mógłby zaczepić o jakąś gałąź, a tubus straciłby dokładność optyczną. Lufę karabinu przykrywały kawałki brązowo-zielonego materiału. Nie całą, tylko tuż przed wylotem, tak aby nie przeszkadzały za bardzo przy zajmowaniu stanowiska strzeleckiego. Kevlarowa kolba karabinu była zaś pomalowana w zielono-brązowe łaty. Właściwie cały karabin wraz lunetą miał leśny kamuflaż – „szmatki” bardziej łamią kontur karabinu niż farba, a dodatkowo można „przyozdobić” lufę i lunetę kilkoma wiązkami suchej trawy albo gałązkami jałowca czy żarnowca, wsuwając je pod materiał. Natomiast owijanie kolby mija się z celem, ponieważ snajper stale ociera ją swoim ciałem i żadna szmatka czy siatka maskująca nie zdoła utrzymać się na swoim miejscu, a męczenie się z nimi oznacza tylko nikomu niepotrzebną irytację.

Czekało ich kilka godzin cierpliwej obserwacji.

– „Drętwy”, jesteś gotów? – spytał „Robak”.

– Ruszamy? – upewnił się młody.

– Okopiemy się tam najpierw w bezpiecznej odległości. Osłuchamy teren wokół, a kiedy zrobi się całkiem ciemno, zachrzaniamy na drugą stronę.

– „Wedel” i Joe będą nas ubezpieczać od południowego wschodu?

– Tak, ale to nie oznacza, że będzie jak na grzybach. Prawda jest taka, że będziemy jak przynęta.

– Kurwa…

– Nie jęcz, plecy będziemy mieli zabezpieczone, a musimy tam przecież jakoś przejść.

Popołudnie zapowiadało się dość pogodnie. Teren opadał łagodnie w dół wąwozu, między dwoma pasmami wzgórz rozciągały się połacie wyschniętej, lecz wysokiej trawy i gdzieniegdzie tylko ponad to wszystko wyrastały zarośla z karłowatych dębów oraz sosen. Drzewa stanowiły świetne maskowanie. Snajperzy szli wolno, jeden za drugim, bardzo ostrożnie i cicho, w maskałatach oraz siatkach *gilly net* zarzuconych na plecaki. Byli niemal niewidoczni na tle otaczającego ich terenu. Od czasu do czasu tuż przed nimi przestraszone kozice albo muflony zrywały się z dziennych legowisk i czyniąc przy tym niemały raban, zwiewały gdzie pieprz rośnie. Wtedy przystawali na chwilę, by sprawdzić, czy przypadkiem wywołany przez zwierzęta rwetes nie zwrócił czyjejś uwagi. Niebo było bezchmurne, a wysoko nad nimi krążyły trzy jastrzębie. Zmysły „Robaka” i „Drętwego” wyostrzały się z każdą chwilą.

Kapitan nagle się zatrzymał, osunął wolno na kolana, wskazując gestem, by partner zrobił to samo. Odchylił ostrożnie ręką kępę trawy i ujrzał ścieżkę. Cofnął się o krok, odwrócił do kolegi i przecinając powietrze dłonią w zielonej, nomexowej rękawicy na wysokości swojego gardła, dał znak, że mają przed sobą niebezpieczną strefę. „Drętwy” natychmiast to zrozumiał. „Robak” zdjął plecak, odczołgał się kilka metrów w bok, jeszcze raz zawrócił i bezszelestnie się wychylił. Na piaszczystej ścieżce ujrzał ślady kopyt, ale dość stare i rozmyte, najpewniej przez wczorajszą mżawkę. Z początku pomyślał, że to tropy jelenia lub może muflona, ale wydały mu się trochę za duże. „Dziwne – przemknęło mu przez myśl – nieważne, najważniejsze, że nie było śladów człowieka”.

Cofnął się ponownie do „Drętwego”.

– Weź radio i połącz się z Joe. Napisz im tekstem hasło „Wyrwa”.

Oznaczało to, że są tuż przy mostku.

– Jasne – odszepnął „Drętwy”.

Po chwili otrzymali informację zwrotną: „*Roger that, we got wyrwa visual*”. Oznaczało to, że zrozumieli i też mają nasz mostek w zasięgu wzroku.

– Napisz im: „Co z Jugolem i tym snajperem?”.

Odpowiedź znowu przyszła szybko: „*Yougol never seen again, no snipers aquired so far*” [Jugola nie widać. Nie namierzono też żadnych snajperów].

– Dziwne to trochę – mruknął „Robak”.

– I trochę jakby… za skomplikowane – dodał „Drętwy”.

Z kieszeni na ramieniu młody wyjął kompas i ustalił na nim nowy azymut. Przekręcił limbus kompasu na strzałkę północy, potem oddalił się kilkanaście metrów w głąb trawy, postawił karabin na nóżkach obok siebie, klęknął i rozpiął spodnie. Poszło mu nie za dobrze, bo je sobie obsikał.

– Fuck! – zaklął pod nosem, zapiął wielkie guziki rozporka, ustabilizował strzałkę kompasu, wziął karabin i czołgając się na łokciach, zawrócił do „Robaka”. Ten spojrzał, westchnął bezgłośnie i wrócił do obserwowania ścieżki. Do kładki pozostało jakieś pięćdziesiąt metrów. Teraz trzeba było poczekać, aż zapadnie zmrok i zrobi się wystarczająco ciemno. Popatrzył jeszcze przez chwilę przed siebie i postanowił, że pozwoli sobie na krótki sen, który przyszedł szybciej, niż się spodziewał.

– Widzisz cel? – zapytał Larry.

– Tak – odparł „Robak”, nie odrywając oka od muszki i szczerbinki.

– Nie śpiesz się i wal! Jeden strzał, jeden trup – rzucił amerykański instruktor z jednostki specjalnej Delta Force.

To był chyba jeden z najważniejszych strzałów w jego życiu. Później oddał ich jeszcze wiele, ale tego dnia było wyjątkowo. Leżąc na piasku, podenerwowany „Robak” pierwszy raz miał w rękach przydzielony mu karabin snajperski i nie był to rosyjski SWD Dragunow, jakim przez ostatnie lata posługiwały się wojska Układu Warszawskiego. Tym razem miał w rękach prawdziwe cacko. I właśnie wtedy, na tamtej strzelnicy, Larry, amerykański snajper, weteran wojny w Wietnamie, decydował, który z nich ma zadatki na wytrwałego i precyzyjnego strzelca.

Pierwsi snajperzy GROM-u strzelali w 1992 roku z karabinów amerykańskiej piechoty morskiej M-21, w wersji ulepszonej i snajperskiej, z otwartymi przyrządami celowniczymi. Jasne, takimi bez lunety, ale i tak

były to mercedesy w porównaniu z tym, co Sowieci przydzielali do tej pory żołnierzom Układu Warszawskiego.

Zadaniem Larry'ego była swoista „selekcja po selekcji" w GROM-ie. Wiadomo, że nie wszyscy nadają się do takiej roboty, byli tacy, co nie wyobrażali sobie wielogodzinnego czołgania się i czekania na cel. Niektórzy słabiej strzelali na większe odległości, inni woleli zostać ratownikami medycznymi czy saperami. Na samym początku było ich jedenastu, po wyszkoleniu mieli stanowić grupę zwiadu głównych sił szturmowych w operacjach antyterrorystycznych i działaniach specjalnych w terenie miejskim i otwartym. Prawda jednak była taka, że aby zostać zawodowcami, musieli przynajmniej przez dwa lata szkolić się od podstaw na poligonach w lasach i w budynkach miejskich.

– *Take your time and shoot! One shot, one kill*.

„Robak" wziął ostatni oddech przed strzałem, raz jeszcze poprawił położenie szczerbinki oraz muszki na celu i spokojnie, płynnie pociągnął za spust, tak aby sam strzał, jak wymaga sztuka, go „zaskoczył". Pocisk szarpnął gwintowaną lufą karabinu.

Zbudził się nagle i dość gwałtownie. Rozejrzał się, by sprawdzić, czy wszystko gra, i uznał, że chyba jest bezpiecznie. Zerknął na zegarek, minęło pół godziny. Na lewym policzku miał odciśnięte ślady po trawie, z twarzy otrzepał drobinki piasku. „Drętwy" leżał bez zmian, ale kapitan widział tylko jego plecak i buty. Pewnie też przysnął. Byłoby lepiej, gdyby nie spali jednocześnie.

I właśnie wtedy, przez prześwit w kępach traw, zauważył na ścieżce sylwetkę mężczyzny odwróconego plecami!

Ciarki przeszły mu po grzbiecie jak stado mrówek.

Potrzebował kilku sekund na wyrównanie tętna i zgaszenie adrenaliny. Facet wydał mu się znajomy. Jugol? Zmrużył oczy, aby nabrać pewności. Mężczyzna odwrócił się w jego kierunku. Jugol. „Robak" bezszelestnie sięgnął do kabury pistoletu przymocowanej przy tylnym stelażu plecaka, przez cały czas obserwując ręce skurczybyka. Jugol kręcił się nerwowo w miejscu, jakby chciał rozpoznać ślady na ścieżce, aż wreszcie zaczął się

oddalać w kierunku mostka. „Robak” najszybciej, jak to było możliwe, doczołgał się do „Drętwego” i położył mu dłoń na ustach, żeby kretyn nie pisnął nawet. Młody zareagował jednak rozważnie i mrugnął tylko oczami, dając do zrozumienia, że wie, co jest grane. Obaj snajperzy ułożyli się obok siebie i po kilku sekundach usłyszeli odgłos kopyt. Drogą szły leniwie dwa muły obładowane do granic możliwości zwisającymi im po bokach parcianymi torbami; zwierzęta były wyraźnie zmęczone ciężarem i być może długą trasą, jaką przebyły. Prowadziła je dwójka dzieciaków, za którą podążali jeszcze dwaj starsi, ale chyba bez broni.

– To tylko cywile – szepnął „Drętwy”.

Grupa minęła po chwili zamaskowanych snajperów. Młody opuścił lufę swojego pistoletu trochę niżej.

– Taaak! – syknął „Robak”. – Może masz rację. To tylko kilku gnojków i dwa muły. Schowaj gnata i wyjmij aparat fotograficzny, jak ta cała ekipa wejdzie na mostek, zrób im tyle zdjęć, ile tylko się da.

„Drętwy” wyjął z plecaka futerał z aparatem i teleobiektywem, poprawił siatkę maskującą na kapeluszu i wsunął się w krzaki o jakiś metr głębiej. Podnosił się powoli, najpierw na kolana, a potem ostrożnie wstawał, by następnie opaść na ziemię i przemyśleć zapamiętany widok przedpola. Następnie znów się prawie wyprostował, nie wychylając się jednak poza obrys krzewów grabu, wycelował aparat i zaczął robić zdjęcia. Potem zwrócił się do „Robaka”.

– Widziałeś? Ten Jugol tam jest. Nic z tego nie rozumiem. Kim on jest? To jakiś podwójny agent czy co?

– Raczej „czy co” – odparł spokojnie kapitan. – Pewnie współpracuje z rządowymi w Kosowie, a przemytnikom z Albanii pomaga tutaj przechodzić przez granicę.

– Co robimy?

– To, że kwitnie tutaj handel, to nic nadzwyczajnego, ale żeby walić do żołnierzy z sił międzynarodowych, to jednak nowość. W ten sposób sami strzelają sobie w stopę.

– Wydaje się im, że KFOR-owcy nie mogą im nic zrobić.

– Ale my to inna sprawa. Mamy swoje metody. Na razie meldujemy, że istnieje tutaj proceder nielegalnego przerzutu oraz handlu bronią i narkotykami. Nie będziemy ich zatrzymywać, to jest dla nas jasne. Ale jeśli zaatakują nas „mundury” lub zorganizowani partyzanci, to potraktujemy ich poważniej, zgodnie z ROE[3].

– Spójrz na radio, jest meldunek od Joe. Też ich namierzyli – zauważył „Drętwy”.

– Odpowiedz im, że ogarniamy sprawę.

Zapadła noc, która jak to w górach, wydawała się ciemniejsza niż zwykle, mimo dobrej pogody. „Drętwy” raz jeszcze poprawił szelki plecaka, dociągając je na taśmach z przodu, i ułożył dokładniej siatkę maskującą na górnej klapie. Potem wsunął ramiona pod szelki i z pewnym wysiłkiem uniósł ciężki plecak z ziemi. „Robak” ostrożnie złożył nóżki mcmillana.

– Gotów? – spytał dla pewności.

– Tak.

– Ruszaj!

„Drętwy” wychynął z trawy, spojrzał przez lunetę na ścieżkę po lewej stronie, uznał, że jest tam bezpiecznie, i przesunął lunetę noktowizyjną w prawo, w kierunku mostka. Przez sekundę popatrzył jeszcze nieco wyżej, na przeciwległą skarpę wzgórza. Bezpieczniej chyba już nie będzie. Podniósł się i wbiegł na mostek. Jeszcze parę kroków i będzie po sprawie, ale właśnie w takich chwilach często coś się chrzani. I rzeczywiście, nagle, z przodu i całkiem niedaleko, zabłysły latarki. Zdążył skręcić za mostkiem w prawo i uskoczyć na bok w zarośla. Teraz trzeba jeszcze uspokoić oddech i nie narobić ze strachu w gacie. Będzie dobrze. Tyle że właśnie rozdzielił się z „Robakiem”, a to w tej sytuacji wyjątkowo zła wiadomość. Zamarł i skupił się na wsłuchiwaniu w odgłosy, na początku niewyraźne, ale już po chwili dało się usłyszeć rozmowę prowadzoną chyba po albańsku. Naturalnie nie miał pojęcia, o czym gadają. Nie minęły nawet trzy minuty, a dwie dość mocne latarki oświetlały teren wokół mostka. To mógł być patrol macedońskiej straży granicznej, ale nie musiał, mundury, szczególnie w nocy, nic mu nie mogły powiedzieć. Szli dość pewnie i nie wyglądali na

wystraszonych. „Drętwy” powoli się uspokajał. Dobrze wiedział, że bez termowizora, w ciemnościach, oświetlając teren latarką, nie zauważą go w krzakach czy w trawie, nawet gdyby byli metr od niego. Każde zarośla, a tym bardziej wysoka trawa, doskonale rozpraszają światło i musieliby mu wejść na głowę, żeby się zorientować, że tu jest. Z dwóch powodów czuł jednak niepokój: po pierwsze, mogli mieć ze sobą psa, a to zmieniłoby sytuację, a po drugie, właśnie rozdzielił się z „Robakiem” i nie miał z nim żadnej łączności.

Pomyślał, że „Robak” pewnie już dawno siedzi spokojnie w krzakach. A gdyby mieli psa, to już obaj by o tym wiedzieli. Nie wyjmą go przecież nagle z plecaka. Próbował uporządkować myśli: jak to możliwe, że w tym odludnym górskim terenie zrobił się nagle ruch jak na autostradzie? Na szczęście widział teraz wszystko jak na dłoni. Sześciu gości, dwóch w polówkach, czwórka po cywilnemu, ale z kałasznikowami na plecach, dość beztrosko przekroczyło mostek i stukając butami o drewniane przęsła, nie zważając na nic, szło w stronę „Robaka”. Przez kilka minut „Drętwy” nie zmieniał pozycji, a na mostku znów rozbłysły bardzo jasne światła. Wrócili, tym razem jednak coś ich wyraźnie zaniepokoiło. Rozmawiali głośno, dwóch nerwowo rozglądało się po piasku na ścieżce zaraz za mostkiem. Młody zamienił się w plamę trawy, bokiem położył na ziemi swój karabin w trawiastym kamuflażu, lewą ręką naciągnął siatkę z plecaka do przodu, na kapelusz. Wyjął pistolet, Glock 17, i czekał gotowy do strzału i szybkiego odskoku w dół wąwozu. Leżał z głową przy ziemi i nagle poczuł, że strumień oślepiającego światła z latarki pogranicznika padł na niego. Wiedział, że to wcale nie musi go zdradzić, poczekał chwilę na reakcję właściciela latarki, który raczej nie strzelałby bez ostrzeżenia. Zdradziłby go jakiś przejaw zaskoczenia, przestrachu czy szoku, a snajper GROM-u zorientowałby się i miałby co najmniej sekundę, a może dwie na reakcję. Sekunda nie jest wcale taka krótka, jak się czasem zdaje, trwa tyle, ile przeczytanie słów sto dwadzieścia jeden. Światło pomknęło jednak gdzieś dalej i mógł powoli podnieść głowę. Może ze dwa metry przed nim stał cywil w wojskowych butach i z jakąś plakietką, chyba Albańskiej Armii Wyzwolenia, oraz z kałachem opuszczonym luźno i podtrzymywanym lewą

dłonią na wysokości kolan. Jeśli koleś zrobi jeszcze krok lub zachowa się podejrzanie, „Drętwemu” nie pozostanie nic innego, tylko wpakować mu parę kul i błyskawicznie zmienić pozycję, zanim inni się połapią, co jest grane. Strumień światła powrócił i raz jeszcze, na chwilę, zatrzymał się na sylwetce młodego trzymającego już od dłuższej chwili palec na języku spustowym glocka. Właściwie już podjął decyzję, że jeszcze parę sekund i kończy sprawę, ale właśnie w tej chwili usłyszał huk, potem jego echo odbite po przeciwległej stronie stoku, a moment później odgłos jakby drugiego wystrzału. Wiedział, że cokolwiek to było, odwróci uwagę kolesia i reszty co najmniej na kilka sekund. Nie mylił się. Facet, który omal go nie zdemaskował, najpierw odruchowo padł na ziemię, a potem zerwał się i pobiegł w stronę mostka. Po jakiejś minucie zamieszania zapadła głucha cisza – nikt nie biegał, nikt nic nie mówił. „Drętwy” uniósł nieco głowę i nasłuchiwał. Przemknęło mu przez myśl, że to może Amerykanie, że może któregoś z nich kropnęli. Wystrzał padł raczej z ich kierunku. Po kilku minutach grupa będąca największym obecnie kłopotem „Drętwego” zdecydowała się na odwrót. Zaskakująco cicho i w dość uporządkowany sposób, zniknęli tak, jak się pojawili.

Postanowił nie zmieniać pozycji. Wiedział, że choć minęło kolejne pół godziny, to „Robak”, jeśli żyje, dołączy do niego. Czekając na kolegę, wysunął się trochę z trawy, wyjął kompas, otworzył wieczko i dostrzegł, że paski luminescencyjne naładowane poprzednio światłem latarki były jeszcze widoczne. Przyklęknął i zaczął jednostajnie machać kompasem z góry na dół. Po chwili, z przeciwległej strony wąwozu, dostrzegł podobny sygnał. „Ok, chyba gramy dalej” – pomyślał. „Robak” pojawił się na mostku, jakby wyrósł spod ziemi, i zbliżył się do „Drętwego”. Porozumieli się bez słów, jeden za drugim zeszli kilka metrów niżej, w krzaki, przyklękli plecami do siebie i jeszcze raz nastawili uszu. W końcu kapitan trącił lekko ramię partnera i obaj, krok za krokiem, zaczęli wchodzić dalej, na skos, mając wąwóz po swojej prawej stronie, w dole. Zmierzali na pobliskie wzniesienie, ale nie mogli już iść dalej w górę ścieżką, bo zrobił się tam zbyt duży ruch i mogło się to źle skończyć. Przedzieranie się przez

zarośla nie było zbyt przyjemne, ale woleli to od bonanzy, którą prawdopodobnie wywołaliby na nieoczekiwanie ruchliwej drodze.

„Robak” co jakiś czas sprawdzał butem kolejne miejsce, na którym zamierzał postawić stopę, ale po chwili i tak wpadł w jakąś wyrwę w ziemi. „Drętwy” miał łatwiej, bo widział, jak sobie radzi idący przed nim, zlany potem kapitan i uważnie obserwował jego zmagania z niegościnną przyrodą. Płuca pracowały jak miechy, zużywając mnóstwo energii, pocili się, wydalając sporo ciepła na zewnątrz. W takich warunkach ciało pod maskałatem po prostu się gotuje, twarze i oczy zalewa słony, gryzący pot zmieszany z farbą maskującą pokrywającą skórę. Wiedzieli, że tak musi być, że nie ma innego wyjścia, że nocny marsz po krzakach w nieznanym terenie to ogromny wysiłek. „Robak” pocieszał się, że i tak mają fart, bo nie idą w upalne południe, lecz podczas dość chłodnej i raczej przyjemnej nocy. Mimo zmęczenia czuł się pewnie.

„Robak” był uczniem słynnego amerykańskiego snajpera Larry’ego Freedmana, który przed laty wpoił mu, jak się należy poruszać w takim terenie, z tą jednakże różnicą, że tamte treningi odbywały się podczas upalnego lipca. „Robak” pamiętał, że pod rozkazami Amerykanina wielokrotnie był o włos od „pęknięcia”. Żar lał się z błękitnego nieba, siatka maskująca bez przerwy zaczepiała się o zeschnięte ciernie krzaków i nawet niski, na pozór zupełnie nieszkodliwy wrzos rwał kawałki maskowania. Cholery można było dostać. Pamiętał, że miał wtedy wsuniętego w boczną kieszeń pokrowca od karabinu ruskiego zenita, sporą i niewygodną lustrzankę. I za każdym razem, kiedy próbował pociągnąć mocno do przodu, niedopięty zamek błyskawiczny złośliwie się rozsuwał, a on, dostając niemal piany na ustach, co chwila musiał wpychać aparat z powrotem do futerału. Larry szedł obok i ciągle powtarzał: „Niżej głowa, niżej!”. Nie krzyczał. Spokojnie, systematycznie i upierdliwie go pouczał, co na jedno wychodziło. W pewnym momencie „Robak” był już tak wyczerpany, że przestawał myśleć, mózg po prostu odmawiał mu współpracy. Od czołgania się po trawie i piasku miał poobcieraną skórę na policzkach. Był obolały i wkurzony, skupiał się więc na mrocznej wizji, że

przyjdzie taki moment, kiedy rozwali ten debilny aparat, najlepiej tuż po treningu, rzucając nim o ziemię, a następnie rozdepcze go, zamieni w pył.

Amerykanin wiedział, co robi. Uczył ich tego, co najtrudniejsze – pokonywania własnych słabości. Brzmi prosto, ale w rzeczywistości nie jest łatwe i komuś, kto tego nie przeżył, trudno to pojąć. Kiedy wreszcie „Robak" dostał szansę, żeby przygotować sobie stanowisko strzeleckie, co w porównaniu z pierwszą częścią ćwiczeń jawiło się jako niewyobrażalna frajda, Larry nie odpuszczał: „Głowa niżej! Głowa i karabin niżej!". Snajperowi zdawało się, że zaraz kark mu pęknie od tego ciągłego „wciskania w podłoże". Niemal niemożliwe wydawało mu się obserwowanie szczerbinki i muszki M-21, nie mówiąc już o tym, by jakoś zidentyfikować cel trzysta metrów dalej. Gdy tylko pomyślał, że tym razem jest już dobrze, podchodził Larry i walił ten swój kretyński tekst: *„If you will keep your fuckin' head so high, you would be a very great target to another sniper. And you will be dead!"* [Jak będziesz trzymał swój cholerny łeb tak wysoko, to staniesz się świetnym celem dla snajpera. I będziesz martwy]. Zawsze znalazło się coś do poprawienia. Myślicie, że zimą było łatwiej? Co to, to nie! Zimno, mokro i błotniście. To było jeszcze gorsze piekło. „Robak" czasem miał ochotę wsadzić pieprzonemu Amerykańcowi lufę między zęby i wywalić w niego cały magazynek. Zrobił to ktoś inny. Kilka lat później, 22 grudnia 1992 roku, Larry Freedman zginął podczas akcji w trakcie amerykańskiej interwencji w Somalii. Był jednym z najlepszych instruktorów, jakich „Robak" poznał. Na co dzień spokojny, ciekawy świata i ludzi, miłośnik harleyów-davidsonów. W akcji – piekielnie groźny snajper amerykańskiej Delty, na ćwiczeniach – surowy, ale cierpliwy i konsekwentny nauczyciel bardzo trudnego zawodu. Na terenie siedziby jednostki GROM ulice mają swoje nazwy, jedna z nich nosi imię Larry'ego Freedmana.

W 1993 roku „Robak" sprawdził swoją wytrzymałość i profesjonalizm podczas pierwszych poważnych ćwiczeń w Bieszczadach, organizowanych już bez pomocy amerykańskich instruktorów. To była polska impreza. Wiadomo, Polak zawsze musi lepiej działać w terenie i być odporniejszy nawet od żołnierzy amerykańskich sił specjalnych. Musi być supermanem.

Musi być lepszy od wszystkich na całym świecie. Z taką myślą organizowano te ćwiczenia, zdarzało się, że bez map. Bo po co komandosowi mapa? Przecież ma wyobraźnię, niech sobie radzi. Między nami mówiąc, „Robak” do dziś nie pojął założeń i celu operacyjnego, jaki miał zostać wówczas osiągnięty. Z punktu widzenia działań specjalnych wojsko PRL miało jedną idiotyczną cechę: żołnierz ma nie myśleć, za to musi bez namysłu „iść w bój”, a najlepiej zginąć. I to niekoniecznie w walce. W wojskach pancernych nazwaliby takie działania rozpoznania bojem. Jak rozkaz, to rozkaz. Chrzanić logikę.

W 1993 roku były już nowe czasy. Oczywiście od pierwszego dnia na ćwiczeniach zaczął padać ulewny deszcz i z krótkimi przerwami lało przez kilka dni. Deszcz najpierw zmywa warstwę ochronną i pałatka nie pomoże. Wilgoć i zimno dostają się wszędzie, skóra bieleje, twarz się kurczy i czujesz to wszystko aż do kości. Resztę załatwia wiatr, a na deser żrą cię owady, na czele z komarami. Jesienią w Bieszczadach noce i ranki są zimne, natomiast w południe bywa upalnie. A kiedy stale leje deszcz, to jest tylko zimno, organizm zwalnia, rozum tępieje, a żołnierz musi myśleć i jeszcze w miarę sensownie działać.

Pod koniec ćwiczeń „Robak” i reszta jego kompanów słaniali się na nogach. Rozpoznali chyba ze trzy wioski i potrzebowali na to aż dwóch dni. Naprawdę niezłe jaja – oddział „Robaka” ocalił pobliskie i niedawno opuszczone budynki świniarni. Sowieci mieli tu niegdyś bazy wojskowe i zaplecze logistyczne w postaci jednego z wielu gospodarstw rolnych. Wprawdzie betonowe chlewy przeciekały i w środku też tworzyły się kałuże, ale ściany dawały przyjemne poczucie, że chronią przynajmniej przed nieznośnym i zaciętym wiatrem. Patrol „Robaka” znalazł sobie kawałek suchego miejsca i żołnierze odczuwali z tego powodu niemałą ulgę. Położył się w mokrym mundurze polowym na betonowej posadzce, śmierdzącej od odchodów trzody chlewnej, która rezydowała tam przez ostatnie trzydzieści lat. No, po prostu PKP (pięknie – kurwa – pięknie). Odór był nie do zniesienia, ale po doświadczeniach dwóch ostatnich dni „Robak” uznał warunki w chlewni za komfortowe. Trząsł się cały, drżał z wyziębienia, wszystko miał przemoknięte do suchej nitki, ale miał rzecz,

która mogła wnieść nieco optymizmu. W takich surwiwalowych sytuacjach jedna niewielka rzecz czy pozytywna myśl robi różnicę i wiele zmienia. W ciemnościach sięgnął po omacku do plecaka i wyjął zapakowany w reklamówkę wełniany sweter. Zdjął z siebie mokrą bluzę, bieliznę i wreszcie zrobiło mu się cieplej, a ciało odzyskało trochę energii, co jest w takiej sytuacji najważniejsze. Trzej pozostali snajperzy postąpili podobnie, jeden nawet przeciął nożem wełnianą skarpetę i założył ją sobie na głowę jako opaskę.

Po kilku godzinach musieli jednak ruszać dalej, co prawda został już tylko marsz do miejsca ewakuacji, ale trzeba było pokonać aż dziewięć kilometrów. Noc była tak ciemna, że trzymali się jeden drugiego za ramię. Prowadził „Robak", za nim szedł snajper z noktowizorem na głowie. Był to stary model PVS 7 z nagłowiem taśmowym i ostatni, jaki jeszcze działał. W tamtych latach noktowizory szybko rozprawiały się z bateriami i działały najwyżej kilka godzin, snajperzy używali ich więc po kolei, nigdy nie włączano wszystkich jednocześnie. W pewnej chwili chłopak idący z tyłu złapał „Robaka" za ramię:

– Uważaj, bo już idziesz w poprzek drogi, w las.

Gdyby zrobił jeszcze jeden krok, spadłby z żużlowej drogi dwa metry w dół. Wciąż padał deszcz, a żołnierze byli już odwodnieni. Zdając sobie sprawę z odwodnienia i jego konsekwencji, wyziębnięci snajperzy zatrzymywali się przy kałużach, klękali i pili wodę jak zwierzyna leśna. Nikt się temu nie dziwił.

Od czasu tamtych ćwiczeń „Robak" zawsze miał w plecaku coś na zmianę, solidnie zapakowane w specjalne torby foliowe. I to nie jedno ubranie, ale przynajmniej dwa komplety, a bywało, że i więcej. Kiedy więc zadawał sobie pytanie, po grzyba ich tak męczyli w tych Bieszczadach, odpowiedź nasuwała się sama i była jasna. Nowoczesne siły specjalne w Polsce już nigdy nie stosowały tej kretyńskiej, ruskiej taktyki polegającej na niepotrzebnym narażaniu żołnierzy, niedokładnej i nieprofesjonalnej. Teraz za jednym razem rozpoznawaliśmy nie trzy wioski, ale co najwyżej kilka budynków w jednej wsi, i to w ciągu całego tygodnia działań! Sztabowcy zmienili swoje podejście do planowania ćwiczeń i przy

pierwszej okazji też przeszli trening w polu. Jak sam nie poczujesz, co jest grane, czasem ciężko to zrozumieć. No i potem kilku z nich odeszło na własną prośbę z wojska do cywila.

„Robak” i „Drętwy” wciąż przedzierali się przez gęste zarośla, idąc pod górę. Plecaki, choć niezbyt duże, i tak ważyły przynajmniej po dwadzieścia pięć kilogramów, do tego karabiny snajperskie. Wierzcie mi, to nie takie proste iść nocą w trudnym terenie, z takim sprzętem, mając świadomość, że w każdej chwili można się na kogoś natknąć. Dotarli wreszcie do miejsca, gdzie znajdowało się niewielkie zagłębienie zachęcające do założenia tymczasowej bazy, w której mogli przeczekać do rana. Zrzucili z siebie toboły i po dłuższej ciszy odezwał się „Drętwy”:

– Jak myślisz, kto do kogo strzelał?

– Myślę, że Amerykanie, tylko nie wiem po co. Do tych gości na mostku? Bez sensu. Poza tym któryś by już leżał. – „Robak” nabrał powietrza w płuca i dodał: – Sprawdź radiostację.

Młody nakrył się peleryną, włączył radiostację i zaczął obserwować zielonkawy wyświetlacz: „Awaria. Namierzyli nas. Snajper na waszej jedenastej. Zabrał plecak, »Wedel« cały. Meldunek do bazy poszedł. Obchodzimy ich”.

– To są obcy snajperzy, „Robak”, oni walą do Amerykanów – jęknął „Drętwy”.

– Nadaj do bazy, co ustaliliśmy do tej pory i że dalej działamy w kierunku naszej strefy.

– Ok.

– No, to zrobiła się zadyma na całego – mruknął ponuro „Robak”. – Ten albański snajper musi mieć noktowizor, skoro strzela po nocy w lesie.

4

Polowanie na snajpera (sporo wcześniej)

Jeśli chcesz zapolować na snajpera albo na patrol wojskowy, to nie ganiaj za nim jak kubański partyzant, tylko… zorganizuj zasadzkę. Nie szukaj go, nie trop, nie idź za nim. Sam do ciebie przyjdzie. Wytypuj drogę, dukt leśny, szlak górski i poczekaj. Jak długo? Dzień, dwa, może dłużej. Ale przyjdzie. Jak mawiają Chińczycy: „Jeśli masz wroga, którego nie możesz pokonać, to usiądź spokojnie nad rzeką i poczekaj. Kiedyś jego ciało wypłynie na powierzchnię”. „Robak” świetnie znał tę zasadę, wiedział, że cierpliwość plus wiedza oznacza sukces. Było już ciemno, ale na horyzoncie światło księżyca przebijało się przez korony kasztanowców i wysokich, drzewiastych akacji tworzących piękną aleję będącą niezbyt często uczęszczaną drogą leśną.

„Robak” był teraz sam. Wybrał to miejsce bez wielkiej wiary w sukces, ale instynkt mu podpowiadał, że jeśli ktoś ma wpaść w jego ręce, to właśnie tu. Zaczaił się niedaleko drogi i czekał, aż jeszcze bardziej się ściemni. Siedział niezbyt głęboko w lesie, żeby usłyszeć wszystko, co było do usłyszenia. Zwyczajna taktyka myśliwego, który wie, że kiedy zwierzyna idzie na żer, to wybiera łatwe drogi, a czym różni się człowiek, szczególnie niezbyt jeszcze doświadczony, od zwierzęcia w takim momencie? Niczym. Prędzej czy później, chcąc pokonać większy dystans i szybko zmienić swoje położenie, tajemniczy snajper skorzysta z tej drogi. Zwykły śmiertelnik być może uznałby, że to trochę straszne siedzieć w takim miejscu samemu, odgłosy lasu nie pozwalają spokojnie myśleć. „Robak” nie był jednak zwyczajnym śmiertelnikiem. Przyciągnął do siebie kawałek przegniłej karpy, ułożył ją pod drzewem, przylgnął do drzewa i „zniknął” na tle pnia. Tak przeczeka do świtu, a jeśli do tego czasu nic się nie zdarzy, to nad ranem pójdzie głębiej w las, a tutaj wróci na kolejną noc.

Człowiek ma słaby wzrok, marny słuch i nieporównywalnie gorszy od zwierząt węch. Żeby dać sobie radę w lesie, musi uczyć się od dzikiej natury, od której bardzo się oddalił. Musi uczyć się od zwierząt, zrozumieć, że sztuką nie jest usłyszeć czy nawet zobaczyć, lecz odróżnić. Kiedy „Robak” usłyszał w oddali przytłumione trzaśnięcie suchego patyka, od razu wiedział, że to nie sprawka borsuka czy jelenia. Drogą szedł ostrożnie i powoli inny snajper. Trzask twardej podeszwy wojskowego buta. Łatwizna. Nie podniósł głowy i nie poruszył się, bo dobrze wiedział, że jeśli tylko drgnie, to spłoszy swoją zwierzynę. A jednak, ku jego zaskoczeniu, nieznajomy, zamiast spokojnie wpaść w zastawioną pułapkę, zatrzymał się na ścieżce, niemalże na wprost niego. „Robak” bardzo ostrożnie podniósł głowę i spod kapelusza oraz siatki maskującej dostrzegł ciemną i wysoką postać, która jak na zamówienie właśnie w tym miejscu obróciła się do niego plecami i przyklęknęła. Potem ten człowiek zapalił małą latarkę, czołówkę z czerwonym światełkiem, wyjął z bocznej kieszeni kombinezonu mapę i zaczął czegoś na niej wyszukiwać. „Robak” uśmiechnął się pod nosem, święta przyszły w tym roku szybciej niż zazwyczaj. Jeszcze przez chwilę czekał, uważając, by nie parsknąć śmiechem. Dzieciak był niedoświadczony, świeżak już na pierwszy rzut oka. Nagle nieznajomy drgnął i, co wyglądało nieco sztucznie i jakby na pokaz, obrócił się w stronę „Robaka”, podniósł się i najpewniejszym krokiem, na jaki było go stać, zaczął się oddalać. Trzymając w rękach zamaskowany skrawkami materiału długi karabin z lunetą, robił coraz dłuższe kroki, po kilkudziesięciu metrach nieco odwrócił głowę i nie przerywając marszu, spojrzał za siebie. Broń wciąż trzymał przed sobą. Wreszcie wyraźnie przyśpieszył, a nawet zaczął biec. „Robak” pokręcił z politowaniem głową.

– Stój – odezwał się spokojnie. – Nie masz najmniejszych szans. Jestem z tyłu, a ty nawet nie znasz mojego położenia. Jestem wypoczęty, ty nie. Dopadnę cię bez problemu!

Dzieciak się zatrzymał. Wyglądał, jakby zwątpił we wszystko. Obrócił się i ujrzał stojącego za nim zamaskowanego snajpera z wycelowanym w niego karabinem.

– I co teraz? – spytał głupio.

– Nie żyjesz – odparł spokojnie „Robak”. – Numer operacyjny?

– Dwieście.

– Dobra, spadaj.

– Tak… po prostu?

– Kontynuuj akcję.

– Aha. No tak.

– I zapamiętaj to sobie.

– Ale co?

– To, co się stało w ostatnim odcinku *Na dobre i na złe*, kurwa, jak to co?! To, jak tu cię zastrzelono! Jeśli już musisz popełnić jakiś błąd, zrób go raz. Może będziesz miał szczęście i stanie się to na ćwiczeniach, jak teraz.

– No tak.

Potem młody spiął się w sobie i zaczął biec naprzód.

– Hej, młody, masz jakieś imię? – dopytał go „Robak”.

– Nazywają mnie tu „Drętwy”– odparł przerażony młodziak i jeszcze przyśpieszył kroku.

– Co za kretyńska ksywa. – „Robak” pokiwał głową z niedowierzaniem. Tej samej nocy i na tej samej drodze złapał jeszcze dwóch innych młodych snajperów.

Jako instruktor „Robak” uczestniczył w wielu szkoleniach. Bywało, że saperką musiał odkopywać „świeżego” snajpera, który ze strachu przed wykryciem i wyrzuceniem z kursu zakopał się podczas szkolenia w sypkim piasku tak, że tylko czubek lufy wystawał z ziemnego nasypu. Gdyby nie osobista radiostacja, toby się tam biedak udusił, bo wykopana przez niego góra piasku zwaliła się na niego, gdy położył się w dole. Za bardzo wziął sobie do serca uwagi instruktorów dotyczące wtapiania się w teren. Ale zaangażowanie jest ważne i „Robak” to doceniał.

5

Strach (wschodnia granica Polski, dwa lata wcześniej)

Kapitan zwinął mapę ze stołu i dał znak, że można się rozejść. Już po chwili uczestnicy odprawy zniknęli za drzwiami z wyjątkiem porucznika Marka, dobrego znajomego „Robaka”, i nieco zmieszanego tym, co zobaczył kilka minut wcześniej, „Drętwego”.

– Jakieś pytania? – spytał młodego Marek, który miał jeszcze coś do obgadania z „Robakiem” w cztery oczy.

– Zostałem, bo… ty zostałeś. Jesteśmy przydzieleni do tego samego stanowiska – bąknął zapytany.

Marek na odprawie zachowywał się trochę dziwnie, zaciskał nerwowo usta i „Drętwy” odniósł wrażenie, że porucznik niemal zamarł, gdy się dowiedział, jakie zadanie mu przydzielono.

– Tak, jesteśmy przydzieleni do jednego stanowiska – odparł z nieukrywaną irytacją Marek. – Ale teraz chciałbym za twoimi plecami pospiskować z kapitanem, więc może poszedłbyś sprawdzić, czy nie ma cię za drzwiami? A najlepiej na dworze?

– Trochę zimno. – „Drętwy” zamrugał nieco bardziej nerwowo niż zwykle.

– To się, kurwa, ubierz. I bądź gdziekolwiek, tylko nie tu.

Młody zerknął na kapitana, który skinął spokojnie głową, i żołnierz wyszedł bez słowa na zewnątrz.

– Co ty wyrabiasz?! – „Robak” zrugał Marka po wyjściu młodego. – Co to za teatr? Jesteśmy w GROM-ie czy w przedszkolu?

Porucznik wstrzymał na chwilę oddech, starając się przybrać minę pokerzysty.

– Wysyłasz mnie z tym świeżakiem?– wydusił po dłuższej chwili.

– Nie zaczynaj znowu, a już szczególnie nie rób tego przy wszystkich. – „Robak” pokręcił głową z zażenowaniem.

– Niczego nie robiłem przy wszystkich.

– Marek! – warknął „Robak” z rzadkim u niego rozdrażnieniem. – Masz wypisane na czole, co ci chodzi po głowie. To jest wojsko, a nie towarzystwo wzajemnej adoracji! Weź się w garść!

– Dlaczego udajesz, że nie wiesz, o co mi chodzi? – bronił się porucznik.

– Prosiłem cię już, nie zaczynaj! Macie pójść do punktu C-154, zająć pozycję na tamtym wzgórzu w lesie i obserwować ruch przemytniczy. Robiliśmy to już wielokrotnie.

– W nocy też mamy tam być?

– To miało być śmieszne? – skrzywił się „Robak”.

Marek cofnął się dwa kroki od stołu i pokiwał głową z nieszczerym uśmiechem.

– Ok. Pójdziemy na 154. Zajmiemy pozycję i wykonamy zadanie.

Kapitan nie odpowiedział, sądząc, że skończyli rozmowę, ale Marek nie miał jeszcze zamiaru wychodzić.

– Proszę tylko o radę… – W jego głosie wyraźnie dało się wyczuć nutę wahania. – Co mam zrobić, jeśli to znów się stanie? Młody nigdy jeszcze tam nie był i nie wie tego, co my wszyscy.

– Nic się nie stanie – odparł chłodno kapitan. – A ty jesteś tam po to, by być głosem rozsądku. Macie obserwować przemytników.

– Mam, podobnie jak ty, w dupie przemytników. Ale „to” może…

– Nic nie może! – uciął.

– Tak? A co, jeśli „Drętwy” spanikuje? Będzie noc, ciemny las, góry, a do tego naprawdę mogą wyskoczyć nam jacyś przemytnicy! Proszę, odwołaj go ze 154. Ja tam mogę pójść z kim innym.

– Nie – mruknął „Robak”. – Mam dość gadania o C-154. To taki sam punkt obserwacyjny jak każdy inny.

Marek pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Doskonale wiesz, że nie taki sam. Ty też tam byłeś i wiesz, co się może stać.

„Robak” jako dowódca uznał, że najwyższy czas na tekst motywująco-prestiżotwórczy:

– Jesteśmy żołnierzami – zaczął trochę nazbyt uroczyście. – I nie pękamy. „Drętwy”, nawet jeśli nie potrafi opowiadać kawałów, to nie jest pierwszym lepszym ciołkiem z Głupotkowa. To zdolny snajper i da radę. A ty przypilnujesz, żeby w razie problemów wszyscy mocno stali nogami na ziemi. To wszystko, poruczniku!

Śnieg chrzęścił pod nogami, a mróz stawał się coraz bardziej dokuczliwy. Marek i „Drętwy” brnęli uparcie w górę, by zdążyć przed zapadnięciem całkowitych ciemności. Z każdym krokiem las gęstniał, co utrudniało im marsz, ale ułatwiało maskowanie i pozostawanie niewidocznymi. Zimą było trochę trudniej, bo przy niskiej temperaturze i dużej wilgoci ciężko jest poruszać się bezszelestnie. W dzień granica była dość spokojna, ale nocą już niekoniecznie – w tym rejonie stale nielegalnie przekraczali ją przybysze z Dalekiego Wschodu. Latem bywało przyjemniej, bo widoczność lepsza, a czasem zwierzęta podchodziły pod samo stanowisko. Kiedy w 1998 roku „Robak” po raz pierwszy był tu z Markiem, wówczas snajperem z rocznym stażem, spotkali się oko w oko z dzikami, sarnami, a nawet źrebakiem z mamusią, która jak się okazało, była średnio przyjazna, więc chcąc nie chcąc, musieli ją potraktować gazem pieprzowym. Wtedy mogli nawet samodzielnie skrzesać ogień metodą prehistoryczną, taką, jaką można zobaczyć w filmie *Walka o ogień*, za pomocą łuku ogniowego.

Być może, kiedy latem idziecie do lasu na grzyby, to wydaje się wam, że wchodzicie do miejsca, gdzie po prostu rośnie dużo drzew i ładnie pachnie. Myślicie tak, bo po dwóch czy trzech godzinach jesteście z powrotem w domu. Tymczasem, jak pisaliśmy w książce *Cel za horyzontem*, żeby mieć jakiekolwiek pojęcie o lesie, trzeba w nim spędzić co najmniej dwa tygodnie. I to bez przerwy, bez jakiegokolwiek kontaktu z cywilizacją. Dopiero wtedy można się przekonać, czym jest natura w całej swojej okazałości. Z jednej strony deszcz, wilgoć, owady, zwierzęta, z drugiej wy. I to wówczas odbywa się najdotkliwiej odczuwana walka natury z cywilizacją, zarówno w jej dobrych, jak i złych aspektach. Korzystając z rozmaitych dobrodziejstw cywilizacyjnych, coraz mniej wiemy o sobie

samych. Zapominamy, że wyrośliśmy z fauny, robiąc kariery, goniąc za sukcesem i dobrobytem, gubimy wiedzę o tym, czego jesteśmy częścią. Przestajemy zdawać sobie sprawę, że będąc ssakami i jednocześnie strunowcami, łożyskowcami, kręgowcami, nie zdołamy uciec od środowiska naturalnego stanowiącego odwieczne otoczenie człowieka. I o tym właśnie przypomina nam las, gdy w końcu wyrwiemy się z domów z betonu i spędzimy w nim dwa, trzy tygodnie bądź, jak się to niektórym zdarza – większość życia. Dla wychowanego w pobliżu lasu „Robaka” nie była to żadna tajemnica. Natomiast dla świeżaka „Drętwego” puszcza stanowiła wyzwanie – tajemnicze, ponure i piękne zarazem, kto wie, może nawet pozwalała mu poczuć coś transcendentalnego.

Obaj GROM-owcy dotarli do obszaru C-154, obejmującego dość rozległe i gęsto zalesione wzgórze, w niektórych punktach dobrze usytuowane wobec granicy. Z zasady było tak, że im gorsza pogoda, tym większa szansa na pojawienie się przemytników. Tamtego dnia mróz okazał się mniej dokuczliwy, termometr wskazywał zaledwie trzy stopnie poniżej zera, co w nocy nie było aż tak bardzo nieprzyjemne. „Drętwy” szedł zdecydowanie, pewnie, choć może trochę za głośno, czym drażnił kroczącego trzy metry przed nim Marka, który jednak nie dawał poznać po sobie zniecierpliwienia. Co pewien czas, nawet się nie zatrzymując, pokazywał prawą ręką, żeby młody próbował iść ostrożniej, choć wiedział, że prawdopodobieństwo natknięcia się tutaj o tej porze na kogokolwiek jest nikłe. W zasadzie…

„Drętwy” postanowił przyśpieszyć, żeby trzymać się nieco bliżej partnera, ale tamten przystanął na chwilę i powstrzymał go ręką.

– Trzymaj odpowiednią odległość – powiedział najciszej, jak tylko potrafił, aby partner usłyszał. Miał chłodny, skupiony wyraz twarzy. Sprawiał wrażenie zanurzonego we własnych myślach, choć tak naprawdę starał się nie myśleć o niczym innym, jak tylko o zadaniu oraz zachowaniu ostrożności, by pozostali niezauważeni. Wyjął teraz zalaminowaną mapę i włączył niewielką latarkę. W lesie nastał już niemal całkowity mrok, niebo było zachmurzone, a tym samym bezgwiezdne i bezksiężycowe. Porucznik skierował latarkę na zaznaczony punkt, a że przez chwilę się nie

odzywał, sprawiał wrażenie, jak gdyby coś analizował lub próbował podjąć decyzję.

– Daleko? – spytał wreszcie „Drętwy”.

Marek przymknął na chwilę oczy, jakby chciał odpocząć.

– Odpoczywamy?

– Nie mów nic przez chwilę. Próbuję coś usłyszeć – chłodno odparł Marek.

– Co? – wyszeptał, rozglądając się na wszystkie strony „Drętwy”.

– Nic się nie dzieje, uspokój się. Daj mi kilkadziesiąt sekund ciszy. – Porucznik zdawał się zniecierpliwiony.

– Ok.

Wyglądało na to, że istotnie nic się nie dzieje. Las oddychał w swoim zwyczajnym rytmie, a delikatny szum spokojnego wiatru tworzył raczej atmosferę senności niż zagrożenia. Wiatr, czy raczej wietrzyk, muskał gałęzie, które z czapami śniegu na igliwiu były nieco cięższe niż w innych porach roku. Nie było w tym nic niepokojącego.

– Dobra – westchnął po dobrej minucie Marek. – Idziemy.

– Daleko jeszcze?

– Zmęczony jesteś? – w tonie porucznika nie dało się wyczuć zatroskania, raczej rozdrażnienie.

– Nie, pytam dla porządku.

Marek zrobił ruch wskazujący wyraźnie, że zbiera się do dalszej drogi, ale jeszcze na chwilę się wstrzymał.

– Najpierw musimy zadbać o bezpieczeństwo sytuacyjne, a to oznacza wykopanie półtorametrowej jamy o długości dwóch i pół metra i szerokiej na dwa. Po tym wszystkim trzeba jeszcze przykryć kryjówkę drągami z faszyną i potem porządnie zamaskować darnią.

– Wiem.

– Więc pewnie wiesz także, że w takich warunkach pogodowych jest to na tyle trudne, że grzebalibyśmy się do rana, a przy siarczystym mrozie, zważywszy na to, czym dysponujemy, to właściwie niemożliwe.

– Tak jest.

Wobec sztywnego tonu porucznika „Drętwy” postanowił rozmawiać z nim w sposób bardziej oficjalny.

– Skorzystamy z letniej kryjówki „Robaka”. Jest bardzo dobrze zamaskowana.

– Znajdziemy ją pod tym śniegiem?

– Tak. Bo w tej kryjówce ostatnio byłem z „Robakiem”. Spędziliśmy tu dwa tygodnie. Zostało nam około dwudziestu minut marszu w takim tempie jak do tej pory. Idź ciszej.

Marek bez większego problemu odnalazł zamaskowany dół, choć z zewnątrz nie można się było domyślić, że pod śniegiem znajduje się kryjówka. Niecałą godzinę zajęło im przygotowanie ziemianki do użytku i kiedy wszystko było z grubsza gotowe, mogli odpocząć. Marek marzył o chwili ciszy i spokoju, ale słusznie podejrzewał, że „Drętwy” mu jej nie da.

– Nie lubisz mnie, co? – spytał nagle młody, zaskakując porucznika pytaniem.

– Co ty opowiadasz?

– Gadanie kiepsko mi idzie, ale jestem dobrym snajperem, odpornym na trudne warunki w terenie i chyba nie brakuje mi jaj, jak przychodzi co do czego.

– Czy ja muszę tego słuchać? – mruknął zirytowany Marek. – Połóż się, odpoczywaj i daj mi żyć. Za godzinę zaczniemy usuwać ślady.

Zbyt wiele śladów mogło przysporzyć sporo kłopotów. Straż Graniczna nie miała pojęcia, że GROM się tu znajduje, i tak miało pozostać. Gdyby któryś z psów pograniczników złapał trop, zrobiłoby się nieciekawie, a nawet mogłoby dojść do wymiany ognia. Chłopcy mieli obserwować teren przygraniczny i czekać, aż trudniąca się przemytem azjatycka mafia wpadnie im w ręce. Takie było ich zadanie. Do miejscowych trzeba było podchodzić z bardzo ograniczonym zaufaniem, bo niemal na pewno brali udział w przemycie. Tereny nie należały do zamożnych, a ludzie chwytali się czegokolwiek, żeby zarobić, nawet polska Straż Graniczna mogła być skorumpowana. Istniały ku temu wyraźne przesłanki, cała sprawa była delikatna, więc akcja wymagała działania pod pełnym przykryciem

taktycznym. Dlatego też Marek i „Drętwy” byli pozostawieni samym sobie i nie mogli liczyć na nikogo. Ich zmiana trwała znacznie krócej niż letnia, ale nie wpływało to na stopień trudności zadania.

– To nie tak, że cię nie lubię. Nie byłem po prostu za tym, żeby ktoś, kto jest tu pierwszy raz, od razu został posłany do C-154 – burknął po dłuższym milczeniu Marek.

– Kiedyś musi być ten pierwszy raz…

„Drętwy” ułożył się wygodnie i przykrył zimowym śpiworem.

– Ale nie tu. To trudny teren. Zdarzały się tu pewne kłopoty.

– Z czym? Przemytnicy to przecież dla nas…

– …nie z przemytnikami – wszedł mu w słowo porucznik. – Nie chcę o tym gadać, to już przeszłość. Tłumaczę tylko, dlaczego nie byłem dla ciebie zbyt miły. Nie przejmuj się. Wiem, jesteś dobrym snajperem i nie nawalisz. Spróbuj odpocząć, będziemy mieli sporo roboty ze śladami na tym śniegu, a i psy Straży Granicznej nie mogą nas wywęszyć.

– Ok, ale… – nie dawał za wygraną „Drętwy” – może powinienem wiedzieć wcześniej, co może być nie tak? Chodzi o tutejszych ludzi? Chciałbym być przygotowany.

– To było dość dawno temu. Nie przejmuj się tym.

– Tutejsza ludność? „Robak” opowiadał mi, że jak był tu na dwutygodniowej zmianie, to goniła was jakaś kobyła, która miała świra na punkcie swojego źrebaka. Podobno nigdy tak szybko żeście nie spieprzali.

Młody uśmiechnął się po raz pierwszy, odkąd zaczęli maszerować.

– Coś w tym stylu – mruknął porucznik i zamknął oczy.

Nie chciał spać, po prostu tak lepiej odpoczywał. „Drętwy” nieoczekiwanie zamilkł i nastąpiła błoga cisza, której Marek tak potrzebował. Zostało jeszcze pięćdziesiąt minut odpoczynku.

Umiejętność mylenia przeciwnika i zacierania po sobie śladów ma długą tradycję. Niemal każde zwierzę leśne, a już na pewno każdy ssak, doskonale rozpoznaje ślady swoich wrogów lub, jeśli jest drapieżnikiem, ofiar. Zwierzęta o wiele lepiej niż ludzie wyczuwają w pobliżu obecność wrogów, ofiar czy przedstawicieli swego gatunku. Człowiek, choć po

urodzeniu jest zupełnie bezradny i w porównaniu z innymi ssakami podobnych rozmiarów wyjątkowo słaby fizycznie, jako bodaj jedyny przedstawiciel ziemskiej fauny umie skutecznie zacierać swoje ślady. Mamy słaby wzrok, marny węch i słuch, ale fenomenalnie rozwinięty ośrodkowy układ nerwowy pozwala nam niwelować różnice między nami i naszymi naturalnymi przeciwnikami i jeszcze wytworzyć znaczną przewagę, także w terenie. Nie tylko w naszym, powiedzmy, naturalnym środowisku, czyli w betonowej dżungli zwanej miastem. Ślady zostawia każdy ssak. My rozpoznajemy je niemal wyłącznie wzrokiem. Już ludzie pierwotni potrafili rozpoznawać i zacierać ślady, a czynili to przede wszystkim z dwóch powodów: po pierwsze, żeby zapewnić sobie pożywienie, i po drugie, by wytropić wrogów, którymi zwykle byli inni ludzie.

Brak nam atutów fizycznych, które stawiałyby nas w roli drapieżników. Gdyby nie nasza inteligencja, bylibyśmy zupełnie bezradni. A jednak ważący zaledwie tysiąc trzysta gramów biologiczny komputer umieszczony w naszych głowach zadecydował, że opanowaliśmy planetę i podporządkowaliśmy sobie jej florę i faunę.

Skądinąd to ciekawe, dlaczego natura nam na to pozwoliła. Mamy typowo roślinożerny układ trawienny, a żywimy się w znacznej mierze mięsem. Być może stało się to dlatego, że w którymś momencie nauczyliśmy się rozpalać ogień, czego nie potrafi żadne inne zwierzę. Staliśmy się najgroźniejszymi i trzeba przyznać, perfidnymi drapieżnikami, nie mając pazurów czy zębów, nie wspominając już o sile fizycznej czy zmysłach. Jednak w lesie człowiek, który nie ma broni, znajduje się w sytuacji pierwotnej: dość wyrośnięty, ale bezradny ssak z kiepską orientacją, niemal żadną siłą fizyczną i na dodatek prawie pozbawiony przydatnych zmysłów naprzeciw potęgi natury. Bo choć wydaje nam się, że świetnie widzimy i słyszymy, to w porównaniu z innymi mieszkańcami lasu czy puszczy jesteśmy niemal ślepi i głusi.

Jak zatem oszukać psy, których węch jest siedem razy wrażliwszy i bardziej selektywny od węchu człowieka? Albo niedźwiedzie mające – o czym nie każdy wie – lepsze nosy od psów? No cóż, możemy zrobić to

w naszym stylu, czyli uciekając się do inteligencji, podstępu, korzystając z dobrodziejstw chemii, zarówno tej organicznej, jak i nieorganicznej. Większość ludzi sądzi, że ślady węchowe to przede wszystkim to, co zostaje na ziemi. Nieprawda. Psy tropiące umieją iść za śladem, ponieważ ciało, szczególnie ludzkie, pozostawia rodzaj niewidocznej mgiełki zapachowej, która bardzo długo utrzymuje się w powietrzu. Im bardziej jesteśmy rozebrani, tym więcej zostawiamy zapachu. Wystarczy zatrzeć dłonie i zostawimy tyle materiału zapachowego dla psa tropiącego, jakbyśmy umieścili w tym miejscu wielki billboard z napisem „Tu byliśmy!”. Tak więc to nie buty pozostawiają zapach, tylko nasze ciało. Zimą, a szczególnie podczas deszczu, o trop zapachowy jest znacznie trudniej i dlatego Marek i „Drętwy” mieli trochę łatwiejsze zadanie. Wiedzieli też, jak i co mogą zrobić, więc po dwóch godzinach ich ślady w promieniu kilometra były mniej więcej zatarte. „Mniej więcej”, bo na tyle stać człowieka z jego sprzętem, doświadczeniem i inteligencją. Nigdy nie usuniemy śladów całkowicie, ale umiemy dość dobrze zmylić ewentualnego przeciwnika.

– Kończymy? – spytał „Drętwy”.

– Chyba tak. Na wszelki wypadek rozejrzyjmy się jeszcze i wracajmy do naszej „nory”. Tam wyjmujemy sprzęt i obserwujemy. Śpimy na zmianę.

Marek spał cicho. Był szczupły, cieszył się dobrym zdrowiem, więc właściwie nie chrapał. Czasem tylko westchnął głębiej przez sen, co nie przeszkadzało „Drętwemu” nasłuchiwać i obserwować przez noktowizor granicę. Mimo śniegu była ona dość dobrze widoczna z miejsca, gdzie się usadowił, niecałe sto metrów od kryjówki, w której drzemał drugi snajper. Gdyby jednak ten miał głośny sen, to nawet z tej odległości, w nocnej ciszy, słychać by go było doskonale. Od pewnego czasu „Drętwego” zaczął intrygować inny dźwięk, coś jakby zawodzenie, a może płacz dziecka. Na razie dźwięk ten dochodził z oddali, ale z minuty na minutę stawał się coraz wyraźniejszy, czemu przysłuchiwał się z zainteresowaniem. Wiedział, że najbliższe zabudowania znajdowały się co najmniej dwa kilometry stąd. Skąd w lesie, w środku zimy, o pierwszej w nocy, płacz dziecka?

„Drętwy” rozważał przez chwilę, czy ma wrócić do Marka, czy powinien sam sprawdzić, co się dzieje. Płacz stawał się coraz wyraźniejszy, tak jakby malec szedł prosto w jego stronę. Wreszcie złożył nóżki karabinu snajperskiego, chwycił mcmillana w prawą dłoń i ostrożnie ruszył w kierunku dźwięku. Dziecko nie mogło mieć więcej niż trzy latka, jeśli więc dźwięk się zbliżał, to ktoś musiał je nieść. „Ludzie z przemytu? – pomyślał. – Na Boga, jak mogli zostawić matkę z dzieckiem?! Ale spokojnie, nie ma co od razu lecieć i zdradzać swojej pozycji. Ostrożnie, ale, cholera, nie walczymy tu przecież z całym światem, tylko z jakimiś pieprzonymi przemytnikami”. „Drętwy” ruszył w dobrym, jak sądził, kierunku, pilnując własnych śladów, gdy nagle usłyszał coś, co sprawiło, że stanął jak wryty:

– Nie płacz. Jeszcze chwilka. Zaśpiewać ci?

Snajper nie miał wątpliwości, że powiedziała to kobieta. Młoda i przestraszona. „Co wy tu robicie o tej porze?!” – żachnął się w myślach coraz bardziej zdenerwowany żołnierz. Na ośnieżonej połaci pomiędzy wysokimi drzewami zauważył w oddali jakby dwie ciemne, podłużne plamy. Szybko założył gogle z noktowizją i postanowił znacznie dokładniej przeskanować teren, każde drzewo, krzak, każdy fragment lasu. „Na razie w zasięgu wzroku – nic. Jak to możliwe? Głosy kobiety i dziecka są tak wyraźne, że to niemożliwe, aby były dalej niż pięćdziesiąt, sześćdziesiąt metrów!”.

Młody wstrzymał na chwilę oddech. Pomyślał, że może teraz schowały się za którymś z drzew. A może to przemytnicy? Tyle że to się, kurwa, nie trzyma kupy, bo kobieta gada po polsku! Przecież nie wyniosła z domu dzieciaka na mróz, żeby pomagać Azjatom w przemycie. Wszystko to nie ma sensu!

Kiedy tak rozmyślał, nagle znowu nastała cisza. Nic. W tej samej jednak chwili za swoimi plecami wyczuł bardzo blisko stojącą postać, którą słuchając płaczu dziecka, karygodnie przegapił. Odwrócił się raptownie, gotowy do walki, i w tym momencie Marek chwycił go za rękę. Stał tuż za nim.

– Obu… obudziłeś się? – wydukał kompletnie zaskoczony „Drętwy”.

– Co za kretyńskie pytanie – skrzywił się z lekkim zniecierpliwieniem Marek.

– Oczywiście wiedziałem, że idziesz – skłamał nieporadnie. – Ale usłyszałem płacz jakiegoś gówniarza i dlatego próbuję…

– …drzeć się na cały las, zdradzając swoją pozycję?

– Głośno szeptałem.

– Na jedno wychodzi w tej głuszy. Wracaj do ziemianki!

Młody stanął jak wryty.

– Jak to do ziemianki? Nie słyszałeś, co powiedziałem? Tu wyraźnie płakało jakieś dziecko, a kobieta próbowała je uspokoić. Zadanie zadaniem, ale oni bez pomocy tu zamarzną!

– Ja się tym zajmę – zadecydował Marek.

– Jak?

– Znajdę ich i im pomogę.

– Ale miałeś spać.

– Wykonaj rozkaz. Idź i się zdrzemnij. Znam ten teren lepiej niż ty. Wracaj do kryjówki.

– Tak jest – odparł „Drętwy”.

Minął porucznika i poszedł w kierunku ziemianki. Gdy był dość daleko, Marek wyjął komórkę, żeby połączyć się z „Robakiem”.

– Co jest? – odezwał się zaspany głos. – Dlaczego dzwonisz z patrolu?

– Awaria… to znowu się zaczyna – odparł cicho Marek.

Usłyszał w słuchawce, jak „Robak” wciąga powietrze do płuc, a potem je wypuszcza.

– „Drętwy” to słyszał?

– Tak.

– Co zrobiłeś?

– Na razie panuję nad sytuacją.

– Jak on reaguje?

– Chce ich szukać.

„Robak” przez chwilę milczał.

– Jasne. Dotrwaj do końca nocy, rano zabierze was transport. Uważaj na Straż Graniczną, bo po tym telefonie mogli was już, kurwa, namierzyć.

– Co mam mu powiedzieć?

– Ściemnij, ile się da, rano ja z nim pogadam. I tylko mi nie mów: „A nie mówiłem”. Przez ostatni rok nic w C-154 się nie działo, a było sporo patroli. Bez odbioru.

„Drętwy” ułożył się w ziemiance i starał się wszystko poukładać sobie jakoś w głowie, i wykombinować, skąd w tym dzikim, ogromnym lesie, tak oddalonym od domostw, znalazła się kobieta z dzieckiem. I na dodatek ukrywająca się przed nim, jakby się czegoś bała. Nieco uspokajał go fakt, że Marek obiecał, że sam załatwi sprawę, a argument o znajomości terenu istotnie na niego podziałał. Nie dawało mu to jednak spokoju i nie mógł zasnąć, chociaż nigdy dotąd nie bał się ciemności, ani w lesie, ani w żadnej innej sytuacji. Być może jakiś pijany facet wygonił ją z domu albo postradała zmysły.

Pomyślał, że pewne jest to, że porucznik już jej szuka, a przecież kobiecina z dzieckiem nie powinna uciec zbyt daleko. Niezależnie od tego, co się stało, była na tyle blisko, że Marek nie mógłby jej przegapić. Trochę go wkurzało, że kazał mu wracać do „bazy”, ale z drugiej strony miał rację. Nie można zostawiać na dłużej niezabezpieczonej ziemianki ze sprzętem. „Drętwy” powoli się uspokajał, chociaż dalej wytężał słuch. Prócz lekkiego wiatru niczego jednak nie było słychać, a już na pewno nie płaczu dziecka i głosu kobiety. Na wszelki wypadek raz jeszcze usiadł, by się rozejrzeć dookoła, i właśnie wtedy, dosłownie w jednej sekundzie, poczuł, jak kark mu sztywnieje, palce wpijają się w śpiwór, a ciarki przebiegające po plecach paraliżują ciało. Jakby go ktoś poraził prądem. W zaschniętym gardle poczuł nagle ogromny, a do tego dziwny i trudny do określenia ból, tak jakby ktoś wbił mu w szyję setki igieł. Strach i przerażenie, których dotąd nie znał, sparaliżowały go do tego stopnia, że nie mógł ruszyć żadną częścią ciała – kobiecy głos, który słyszał kilkanaście minut wcześniej, tym razem szeptał mu prosto do ucha. Miał wrażenie, że wydobywał się z ust oddalonych nie dalej niż pięć centymetrów. Głos był melodyjny i śpiewny.

Uśnijże mi, uśnij albo mi urośnij,
Może mi się przydasz, w pole owce wygnasz,
Miałabym wygodę, nosiłabyś wodę

Izbę byś zamiotła, warkoczyki byś splotła,
Mogłabyś się przydać, w pole owce wygnać…

„Drętwy” nie był w stanie drgnąć nawet powieką, gdy nagle usłyszał już nie płacz, lecz delikatny śpiew dziecka. Cichszy, jakby nieśmiały, wkradający się do umysłu z sekundy na sekundę głębiej:

A ja nie urosnę, owiec paść nie będę,
Usiądę w kąciku i bawić się będę…

Dopiero po dłuższej chwili żołnierz usłyszał własny przeraźliwy, niepowstrzymany i trudny do opisania krzyk. Jakby nie kontrolował głosu, który właśnie wydobywał się z jego gardła. Nie spostrzegł nawet, kiedy Marek znalazł się przy nim, by zasłonić dłonią jego usta i stłumić wrzask.

– Młody! – porucznik krzyknął mu wprost do ucha.

„Drętwy” zamilkł, złapał gwałtownie oficera za mundur i wycedził przez zaciśnięte zęby:

– Gdzie ona jest?!

– Młody… – Marek powtórzył jeszcze raz, widząc, że „Drętwy” odlatuje. – Nie ma tu nikogo.

– Co?

– Jej tu nie ma. I nigdy nie było.

„Drętwy” patrzył na Marka nie ze strachem, lecz z gniewem. Nic nie mówił, tylko nerwowo rozglądał się wokoło. Widział tylko ciemność, las, śnieg. Słyszał tylko ciszę.

– Weź się w garść, musimy zmienić pozycję, i to natychmiast. – Porucznik nim potrząsnął. – Tak się wydarłeś, że jeśli jakiś pogranicznik albo pieprzony przemytnik był w pobliżu, to jesteśmy spaleni. Zbieraj sprzęt, zabezpieczamy kryjówkę i się zrywamy. Rano zabierze nas transport. Czaisz, co do ciebie mówię?

„Drętwy” wciąż miał zaciśnięte usta, siedział bez ruchu.

– Młody! – Marek raz jeszcze niemal wrzasnął.

– Wykonuję – odpowiedział zaskakująco spokojnie żołnierz.

Kiedy do kwatery wkroczył „Robak”, „Drętwy” siedział spokojnie na łóżku, a na jego zamyślonej twarzy nie odbijały się strach czy tym bardziej

panika. Był poważny i skupiony.

– Przespałeś się trochę?

– Z godzinkę – odparł „Drętwy”. – Nie ma potrzeby więcej, ale chciałbym z panem porozmawiać, panie kapitanie.

– Oczywiście, po to tu jestem.

„Drętwy” milczał przez chwilę, zbierając myśli, i zaczął trochę niepewnie:

– Pamiętam, jak pan nas szkolił. Pamiętam nawet, jak pierwszy raz się spotkaliśmy, chyba na drodze, złapał mnie pan podczas ćwiczeń. Ale nigdy z panem bezpośrednio nie pracowałem…

– Zapytaj wprost. Śmiało!

Młody znowu przez moment zbierał myśli.

– Co to było?

– Nie wiem. Naprawdę nie wiem. Czasem tak bywa, że czegoś nie rozumiemy – odrzekł spokojnie dowódca.

– Ktoś oprócz mnie to słyszał albo widział?

– Coś widziałeś?

– Tylko słyszałem.

Tym razem „Robak” przez chwilę zastanawiał się, co powiedzieć.

– Tak. Kilku chłopaków słyszało podobne rzeczy, ale ostatni raz zdarzyło się to dość dawno temu. Zwykle jest tam spokój.

– I nie raportowaliście tego wyżej? – spytał ze zdziwieniem „Drętwy”.

– To nie nasza sprawa – odparł „Robak”.

– Ale chociaż z ciekawości!

Kapitan zaczął spacerować po pokoju.

– Dziwne rzeczy czasem się zdarzają. Czasem układ skał, drzew, wiejący w danym momencie wiatr powodują, że wydaje nam się, że ktoś do nas mówi albo że śnimy. Zostaw to, „Drętwy”. Było, minęło. W tej robocie przydarzy nam się wiele znacznie ważniejszych rzeczy.

– To były jakieś, kurwa, duchy?

– Nie wierzę w duchy. – „Robak” wzruszył ramionami.

– Ale coś to, do cholery, było!

– Czasem ludzie coś usłyszą albo zobaczą i skojarzy im się z czymś, co zobaczyli w durnych horrorach. Nie ma duchów. Są różne rzeczy, które trudno wyjaśnić, ale duchy istnieją tylko w filmach. Jak powiedziałem: zostaw to.

– Zostawić?

– Tak. Czasem po prostu trzeba sobie powiedzieć: „Nie wiem”. Nie jesteśmy wszystkowiedzący. Jesteśmy tylko ludźmi. Ale też żołnierzami. I to komandosami. Inaczej nie byłoby nas w tej jednostce. Jeśli psycholodzy czy naukowcy chcą badać, co się tam dzieje i dlaczego, niech badają, od tego są. My jesteśmy od czego innego.

Kapitan podszedł do drzwi, otworzył, wyszedł i cicho zamknął je za sobą. „Drętwy” i „Robak” pracowali później ze sobą wiele razy w różnych miejscach świata. Nigdy nic podobnego im się nie przytrafiło. I nigdy więcej nie rozmawiali na ten temat.

6

Z powrotem w Kosowie, Albania, 2001 rok

Szczyt wzgórza był słabo osłonięty, sporo otwartej, płaskiej przestrzeni. Wokół trochę wystających skałek, łaty zielonej, przesuszonej i dość niskiej trawy. „Robak” wyjął kevlarową łopatkę i rzucił do „Drętwego”:

– Okopiemy się tutaj. Będziemy mieć dobry widok na tamten grzbiet w oddali.

Poluzował pokrętło, rozłożył lemiesz, potem podciął trochę darni z wrzosem i zrobił z niej zasłonę. Następnie złożył nóżki karabinu i ustawił go na małej górce z darni. Poprawił nieco położenie tułowia, wcisnął krawędzie butów w twardy, ale sypki grunt i zaparł się w wygrzebanych zagłębieniach. Zbliżył głowę do lunety celowniczej, przytulił kolbę do policzka i skupił wzrok. Lewą ręką ustawił paralaksę z boku lunety i wówczas obraz stał się wyraźniejszy. Środek cienkiego, jakby złotawego na brzegach krzyża z siatką celowniczą Mil-Dot okazał się trochę przesunięty od zamierzonego celu obserwacji. „Robak” jeszcze odrobinę przesunął w prawo broń spoczywającą na darni. Zamknął oczy i po chwili je otworzył. Teraz był gotowy do obserwacji i strzału na długi dystans.

– Zerknij na drugą – mruknął do „Drętwego”. – Na te trzy osły i obstawę. To znowu jakaś mała karawana, idą powoli, ale w naszym kierunku.

– Tak, poczekaj. – „Drętwy” również lekko przesunął swój karabin w prawą stronę od stanowiska obserwacyjnego. – Widzę. Jakiś kilometr stąd. Idą do mostku?

– Ciekawe, czy to ci sami co wczoraj. I czy jest z nimi nasz znajomy Jugol.

– Tak czy owak będą próbowali tu przejść.

– Bardziej martwi mnie co innego. Spójrz na dziesiątą, w dół stoku. Widzisz ich?

Widzieli sylwetki dwóch gości w cętkowanych, oliwkowych maskałatach. Szli w odległości kilkunastu metrów od siebie, podążając ostrożnie jeden za drugim. Trzymali przed sobą długie karabiny snajperskie. Zachowywali wprawdzie odstępy między sobą, ale nie kryli się za bardzo, szli jakby na pewniaka na spotkanie z karawaną.

– Mają SWD. Będzie z sześćset metrów. To albańscy partyzanci z Kosowa. Widzisz naszywki? – mówił „Robak”.

– Nie za bardzo.

– No to weź i się przyjrzyj! Skręcili w naszą stronę. Na razie siedzimy cicho! Przeładuj! Jeśli dalej będą szli na nas, to walimy w nich na trzystu metrach. Ja strzelam pierwszy. Potem trzeba wezwać śmigłowce ze wsparciem.

– Potem?

– Teraz nie pora na to.

– Jasne – przytaknął „Drętwy”.

Powoli, wspierając się na twardych czubkach butów oraz pomagając sobie łokciami i kolanami, dwaj GROM-owcy ułożyli się w najdogodniejszej pozycji do obserwacji wybranego kierunku i zamarli w bezruchu. Uprzednio „Robak” ostrożnie się obejrzał, sprawdzając, czy plecaki są dobrze wciśnięte pomiędzy głazy za ich stopami. Siatka i wrzos doskonale je maskowały.

– Jak to było? – zmagał się z pamięcią „Drętwy”. – Jeśli w dół stoku, to muszę mierzyć krzyżem trochę niżej, bo przestrzelę?

– Spokojnie. Czekaj i nie kombinuj.

– Ale zobacz, zalegli. Będą strzelać do tamtych z prawej. Kurwa mać!

– Widzę. Wygląda na to, że oni tu napieprzają do wszystkiego, co się rusza – odparł lekko zniecierpliwiony „Robak”.

– Co robimy?

– Muszę chwilę pomyśleć.

– Ale nad czym? Czekamy?

„Robak” westchnął głęboko, próbując zachować cierpliwość.

– Spójrz w lunetę – rzucił.

– Noo…

– Widzisz tego gościa niżej?

– Jasne.

– Ma noktowizor zamontowany na karabinie. Nie będzie strzelał w dzień, chyba że zaraz go odłączy i będzie walił z otwartych przyrządów [muszki i szczerbinki]. To obserwator. Muszę się zastanowić, jak to rozegrać.

– Może ja…

– Nie skończyłem.

– Jasne.

– Ja biorę tego z lunetą dzienną, bliżej nas. Ty obserwuj grupę z mułami.

– Przyjąłem.

Przesunął się znów na pierwotną pozycję, trochę w prawo i w górę. Wyszukał lunetą karawaniarzy, którzy byli już dość blisko, nie dalej niż w odległości pięciuset metrów. Szli z góry, prosto na snajperów.

– Trzy muły wraz z ich przewodnikami i jeszcze dwóch w patrolu. To razem pięć osób – zameldował dokładniej „Drętwy”. – Coraz wyraźniej widzę twarze, teraz to będzie… z trzysta pięćdziesiąt metrów.

– Dobrze, czekaj.

– Widzę naszego Jugola! On i ten drugi idący obok niego mają kałasznikowy.

„Drętwy” cały czas wyprzedzał ich krzyżem w lunecie, a następnie zasadził się w jednym, wybranym punkcie i czekał, aż wejdą mu w pole widzenia. Celował w głowy, raz jednego raz drugiego. Położył palec wskazujący na języku spustowym karabinu.

– Mam cię… – mruknął do siebie.

Dokładnie przymierzył i po chwili odpuścił. „Robak” też się przygotowywał. Uspokoił oddech, wycelował do pierwszego z dwóch leżących poniżej na stoku snajperów.

– Wiatr? – zastanowił się „Robak”.

– Trochę z prawej, połówkowy.

– Czterysta metrów?

– Trzysta osiemdziesiąt. Czterysta.

– Albańczyk składa się do strzału w kierunku zbliżającej się karawany – wyszeptał „Robak”, jakby pisał meldunek w myślach.

– Są już jakieś pięćdziesiąt metrów od nich – rzucił „Drętwy”.

Nagle głośny wystrzał zaskoczył GROM-owców. Strzelił ukryty za jasnymi, wapiennymi skałami albański snajper. Grupa szła wprost na niego. Przestraszone muły poderwały się, próbując uciekać w różne strony, ale przewodnicy, którzy padli na ziemię, nadal trzymali je mocno za uzdy i się czołgali. Choć zwierzęta wpadły w panikę, grupa pozostała zwarta, a przewodnicy starali się opanować sytuację. Jugol coś krzyczał, machał ręką, a w końcu schował się za pobliskim głazem. Snajper znów strzelił i wtedy Jugol wstał z kałasznikowem podniesionym nad głową w geście poddania się. Jego towarzysz, który oberwał pierwszym pociskiem, padł i się nie ruszał.

GROM-owcy uważnie obserwowali, jak jeden z albańskich snajperów podniósł się i ruszył szybkim krokiem, celując z SWD do klęczącego Jugola. Drugi pozostał na stanowisku, ubezpieczając kolegę. Snajper podszedł do Jugola, który wciąż trzymał nad głową karabin, i kopnął go mocno w klatkę piersiową. Tamten przewrócił się do tyłu, ale kiedy po chwili zaczął się podnosić, snajper wycelował SWD prosto w jego głowę. Obaj coś wykrzykiwali.

– „Drętwy”, dosyć tego. Zdejmij go! – zdecydował „Robak”. – Ja walę w obserwatora.

Przez kilka sekund „Drętwy” nie wykonał żadnego ruchu. Kapitan, który czekał na strzał kolegi, rzucił:

– Strzelaj, bo ich wszystkich porozwala!

Za bardzo się to przeciągało. „Robak” nie spuszczał swojego celu ze środka krzyża celowniczego, ale to „Drętwy” musiał strzelić pierwszy. Snajper na dole zdążył dobrze się ukryć za wystającymi skałkami, „Robak” widział tylko kawałek jego maskałatu, który najpewniej okrywał ramię. Słońce mocno już grzało, pot z czoła kropla po kropli napływał do oczu kapitana, który poczuł nagle, jak coś wpełza mu na plecy od strony lewego ramienia i powoli posuwa się w dół. Tylko nie to. Nie teraz!

7

Cztery lata wcześniej (miejsce akcji utajnione)

– Hej, *captain*?

Roy, miły, wysoki i dobrze zbudowany Amerykanin ze zwiadu, uśmiechnął się do „Robaka”. Miał nie więcej niż trzydzieści lat, prywatnie był miłośnikiem starych fordów mustangów. Równy gość. Lubili go wszyscy za humor i bezpośredniość, dystans do siebie samego oraz niechęć do hipokryzji.

– Yeah…

– Widzisz ten radar?

„Robak” podniósł lornetkę i spojrzał na wykryty przez Amerykanina cel.

– Ten tam, daleko, w młodniku. Zielona obręcz trochę wystaje łukiem z lewej – wyjaśnił na wszelki wypadek Roy.

– Widzę – odparł spokojnie „Robak”.

Wsparci na łokciach obserwowali przedpole.

– Elegancko ukryty – mruknął z uznaniem Roy.

Polak przytaknął, nie odkładając lornetki.

– No, to czekamy – westchnął Amerykanin. – Rozgość się. Spędzimy tu trochę czasu.

Polak odłożył lornetkę, z należytą ostrożnością rozejrzał się, raz jeszcze sprawdził maskowanie i przeniósł wzrok na obiekt.

– Masz jakąś rodzinę? – spytał niespodziewanie Roy.

„Robak” nie był zachwycony tym pytaniem.

– Żonę mam i syna.

– Ja mam żonę i dwójkę chłopaków. Chcesz zobaczyć?

– Jasne – skłamał gładko „Robak”.

Amerykanin wyjął nieco pomięte zdjęcie ryżej, szeroko uśmiechniętej dziewczyny z dwójką dzieciaków uwieszonych u szyi.

– Piękna kobieta – szczerze przyznał Polak.

– Ty masz zdjęcie swojej?

– Nie.

Roy lubił sobie pogadać, ale umiał też wyczuć moment, kiedy zaczynał być upierdliwy. Mimo wszystko jeszcze podjął temat:

– Jak jest ciężko, to dobrze mieć przy sobie takie zdjęcie.

„Robak” westchnął w duchu, a ponieważ zorientował się, że raczej nie ucieknie od tej gadki, postanowił przenieść ją w mniej męczące rejony.

– Wychowałem się w lesie – zaczął, zdobywając się na uśmiech. – Byliśmy i jesteśmy fajną rodziną. Mam poukładane w głowie.

– Żona, kobieta – powiedział w zamyśleniu Roy. – Ja w głowie mam wiele dziewczyn, ale ta jedna zawsze jest w sercu. – Poklepał się po piersi. – I dobrze od czasu do czasu spojrzeć jej prosto w oczy, żeby się pozbyć głupich myśli.

– Skąd jesteś? – „Robak” uśmiechnął się szczerze do Roya.

– Ze Wschodniego Wybrzeża. Boston. Nie wyglądam, co?

– Nie wiem. – Polak wzruszył ramionami.

Amerykanin zmienił pozycję, przesuwając się nieco w prawo.

– Jak to jest wychować się w lesie? Duże macie lasy w Europie?

– Duże. – Kapitan odetchnął w duchu, że Amerykanin dał się wciągnąć w gadkę o przyrodzie. – Puszcza Białowieska to największy naturalny las na kontynencie. Wiesz, naturalny, taki, co jest tam od zawsze. To rzadkość. Mamy tam żubry, takie europejskie bizony.

– Puścia Białowieścia…

– Białowieska – uśmiechnął się ponownie. – Wielki las. A jeśli jesteś ciekaw, to oprócz rodziny za nim tęsknię najbardziej.

Roy zamyślił się przez chwilę.

– Jestem z dużego miasta, nie łapię, jak można żyć bez kin, pubów i dziewczyn.

– Można. Nikt nie zawraca ci dupy, nie smrodzi pod oknem samochodami i o czwartej nad ranem nie budzą cię zachlane mordy. A dziewczyny, jak trzeba, to się znajdą. Nawet w lesie.

– Często bywałeś w mieście?

– Do czternastego roku życia nie wiedziałem, co to prawdziwe miasto.

Roy z wrażenia złapał się za głowę.

– Nie wyjeżdżałeś z rancza czternaście lat?!

„Robak” przytaknął.

– Mieszkałem w leśniczówce ojca, a potem trochę u wujka w sąsiedztwie. Wyjeżdżaliśmy z lasu, ale to nie były wielkie miasta, jak Boston czy D.C. Gdy parę lat później wylądowałem w Warszawie, to jakoś nie żałowałem, że dzieciństwo spędziłem tam, gdzie spędziłem.

– A Warszawa jest duża?

– Dwa miliony ludzi.

– O, to większa niż Boston. Byłeś kiedyś w Massachusetts?

– Nie.

– Nieduży stan, ale piękny. Massachusetts to w języku Indian z tego terenu „widok z wielkiego wzgórza”. Mamy najlepsze uniwersytety na świecie. Mój brat jest na MIT, to najlepsza politechnika świata.

„Robak” pokiwał głową z uznaniem.

– A siostra… – Roy przerwał na chwilę, jego wzrok zatrzymał się w jednym miejscu i po chwili znieruchomienia coś targnęło nim do tyłu.

– Co jest, Roy?!

– Fuck! Coś mnie urąbało w szyję. Cholera! Ale boli!

Rzucił lornetkę przed siebie i zwijał się z bólu, trzymając się za szyję. „Robak” odruchowo złapał nóż i rozejrzał się dookoła. Kilka metrów poniżej dostrzegł uciekającego czarno-żółtego, przynajmniej metrowego węża.

– Co mi jest kurwa, *captain*? – jęknął Roy.

– Pokaż szyję!

Na karku Roya dostrzegł dwa małe punkciki położone obok siebie.

„Nie – »Robak« jęknął w myślach. – Bungarus z jadem neurotoksynowym. Gdyby ślady po zębach były ułożone łukowato, byłaby szansa, że to jad hemotoksynowy, byłoby więcej czasu na podanie surowicy. A tutaj Roy właściwie nie ma szans”.

Włączył radiostację.

– MEDEVAC, MEDEVAC! Natychmiastowa ewakuacja!

– Co mnie ujebało?! Wiedziałeś?! – panikował Roy.

– Tak. Będzie dobrze, już po nas lecą.

– Nie mogę… nie mogę oddychać…

– To nerwy, adrenalina, normalna reakcja! Patrz na mnie i nie odpływaj! Lecą po nas!

To nie była normalna reakcja. Gdyby Roy dostał jad w nogę, mieliby może nawet kilka godzin, ale niestety wąż ukąsił go w szyję, miejsce najgorsze z możliwych. Tuż obok tętnicy, blisko mózgu. Po kilkudziesięciu minutach Amerykanin nie był w stanie mówić. Zlany potem, zwinął się w kłębek, co oznaczało początek końca.

Zmarł w śmigłowcu.

8

Kosowo, Albania, 2001 rok

– Ja pierdolę, co to za gad! – syknął „Robak”.

Poruszył energicznie lewym barkiem, gdy to coś, co wlazło mu na plecy, ruszyło zwinnie wprost na głowę, a następnie zeskoczyło mu tuż przed nosem na płaski kamień. Ulżyło mu, kiedy zobaczył, że to tylko szarozielona jaszczurka. Gadzina nabrała impetu i na widok wielkich oczu żołnierza żwawo pomknęła dalej, w kierunku znajdujących się niżej zarośli. „Robak” uspokoił wreszcie oddech.

– Strzelaj!

Padł strzał. „Drętwy” wpatrywał się w wir gorącego powietrza, który wzniecił wystrzelony pocisk, i dostrzegł, jak kula odrzuciła albańskiego snajpera za klęczącego przed nim przerażonego przewodnika. Obładowane muły znów w popłochu poderwały się do ucieczki w dół. Jugol z twarzą czerwoną od rozbryzganej krwi snajpera przez sekundę z niedowierzaniem popatrzył w kierunku „Drętwego”, potem rzucił się na ziemię, chwycił leżącego w trawie kałasznikowa i poczołgał się za najbliższą skałę.

Słysząc strzał kolegi, „Robak” zareagował natychmiast – rozszerzył źrenicę, płynnie pociągnął za język spustowy swojego karabinu i zauważył przez lunetę, jak za skałkami nad kawałkiem zielonego maskałatu uniosła się chmura kurzu. Nie był wcale pewny strzału i szukał wzrokiem „swojego” snajpera.

– Mój zimny na amen! – rzucił „Drętwy”.

– Ja nie widzę celu. Uważaj, schowaj głowę, bo mój chyba nie dostał albo dostał za słabo.

„Robak” nie odrywał prawego oka od lunety. Na dole stoku znowu padły strzały, tym razem to Jugol rąbnął serię z kałasznikowa, dobijając czołgającego się mozolnie w dół stoku snajpera postrzelonego przed chwilą przez „Drętwego”.

– Zawsze dobrze sprawdź. Zimny to on jest dopiero teraz – mruknął „Robak”.

Wszyscy pozostali karawaniarze zdążyli ukryć się w ostrokrzewach. „Drętwy” ciągle patrzył przez lunetę karabinu.

– Nie strzelałem, żeby zabić – szepnął po chwili. – Tak tylko powiedziałem. Myślałem, że starczy, a ten Jugol zaczął odpierdalać…

– „Tak tylko powiedziałem?!” Ten koleś to wyszkolony snajper, a nie jakiś wieśniak z tutejszych gór! Chcesz, żebyśmy obaj oberwali tu w czapę?

– Sorry.

– Dobra. – „Robak” starał się uspokoić. – Ja ubezpieczam. Nie wiemy, co z drugim. Wezwij wsparcie przez radio.

Nadlatujące od strony północnego Kosowa śmigłowce KFOR usłyszeli godzinę później. Z góry widok był znacznie lepszy, drugi snajper leżał bez ruchu, spoglądając martwym wzrokiem w niebo. Jego broń zsunęła się i leżała trochę niżej.

Na początku 2003 roku sytuacja w regionie znów bardzo się zaogniła, tym razem gorąco było między Albańczykami a Serbami. Na pograniczu kosowsko-macedońskim dochodziło do krwawych starć, które stanowiły poważne zagrożenie dla stacjonujących tam polskich oddziałów. Tamtego roku czteroosobowy patrol żołnierzy sił pokojowych wraz z miejscową tłumaczką wjechał na minę przeciwpancerną. Stało się to na drodze łączącej miasto Kumanowo i oddalone o kilkanaście kilometrów Skopje, stolicę Macedonii. Wszyscy zginęli. Niewiele później inna mina zabiła dwóch polskich żołnierzy.

6 sierpnia 2001 roku minister obrony Bronisław Komorowski poinformował, że komandosi z jednostki GROM wykonują zadania w Kosowie. Kilka godzin po ministrze także pułkownik Roman Polko, ówczesny dowódca GROM-u, po raz pierwszy przyznał, że podległa mu jednostka znajduje się w Kosowie i realizuje powierzone jej zadania. Polegały one – jak podała jedna z gazet, a za nią inne – na snajperskiej ochronie żołnierzy KFOR oraz bardzo niebezpiecznym patrolowaniu zaminowanych odcinków granicy między Kosowem a Macedonią. Podczas

wojny w byłej Jugosławii GROM przeprowadził wiele wyjątkowo ważnych akcji, między innymi zatrzymując jednego z wyższych rangą dowódców bośniackich Serbów, osądzonego później za zbrodnie wojenne. „Robak” i „Drętwy” cali i zdrowi wrócili z Kosowa do bazy w Polsce.

Były to akcje prowadzone wspólnie z amerykańskimi snajperami. Joe został jeszcze na dłużej w Kosowie, aby załatwić tam kilka innych „spraw” z kolejnymi najemnikami w górach. A „Wedel” został zrotowany do amerykańskiej bazy w Niemczech. Wrócił tam wraz ze swoim przestrzelonym od kuli snajperskiej plecakiem.

9

Irak, 22 marca 2003 roku. Port Umm Kasr

Burza piaskowa zwykle zaczyna się nagle. Kiedy wiatr cichnie, drobne ziarenka piasku, które jeszcze długo unoszą się w okolicy, i wilgotne powietrze od morza tworzą rzadko spotykaną brązową mgłę. Morze Arabskie wygląda wtedy bardziej ponuro niż zazwyczaj, bo zdarza się, że przez kilka dni słońce nie przebija się przez tę gęstą i dość tajemniczą mgłę wiszącą nad wodą. Oddychając, nie czujesz specjalnej różnicy, ale zdajesz sobie sprawę, że widzisz to, co wciągasz do płuc. „Robakowi" burzowa mgła nie przeszkadzała.

Było dość chłodno, kiedy wczesnym rankiem eskadra amerykańskich łodzi bojowych wpłynęła na wody Zatoki Perskiej. Jak wygląda taka eskadra? No cóż, robi ona spore wrażenie. Jednostki są wyposażone w wielkokalibrowe karabiny maszynowe znane jako pięćdziesiątki, z których strzela się pociskami mającymi ponad 1,2 cm średnicy u nasady i zdolnymi dosięgnąć celu z odległości trzech kilometrów. Takie pociski mogą przebić gruby pancerz lub burtę, więc wzbudzają respekt. „Robak" miał w pamięci niedawny incydent, gdy jedna z łodzi irackiej marynarki wojennej nie zatrzymała się na wezwanie, mało tego, przyśpieszyła i na pełnej prędkości zaczęła uciekać, co wróżyło więcej niż kłopoty. Wystarczyła jedna seria z pięćdziesiątki, by załoga natychmiast zrezygnowała z głupich pomysłów, i po kilku minutach Irakijczycy stali grzecznie na pokładzie z rączkami w górze.

Eskadra, o której mówimy, składała się z Task Force US Navy Seals oraz komandosów wodnego oddziału GROM-u wspartego amerykańskim sprzętem. Po nocnej burzy polskie i amerykańskie flagi były mocno sfatygowane, ale dumnie powiewały na masztach rufowych. Tuż przed następną operacją, zaplanowaną na noc, łodzie zmierzały na północ, do kolejnej, wysuniętej tymczasowej bazy wojskowej przy granicy wód

terytorialnych Kuwejtu i Iraku. Miały się tam przegrupować i zmienić szyk bojowy z utrzymywanego dotychczas na szerokich wodach Zatoki na rzecz bardziej dogodnego do działań rzecznych. Przez ostatnie tygodnie, przemierzając akwen, komandosi mogli wybierać sobie warunki do ataku, choć zdarzały się i takie dni, gdy niezależnie od stanu morza i warunków atmosferycznych musieli powstrzymywać przemytników. A ci z oczywistych powodów wybierali czasami fatalną pogodę do własnych akcji. I komandosi musieli się dostosować. Zresztą naprawdę groźny przemytnik zawsze wybierze sobie taką pogodę, podczas której nikomu innemu nawet nie przejdzie przez myśl, że mógłby wypłynąć. Tym razem jednak celem komandosów był iracki port morski Umm Kasr i północny odcinek kanału wodnego do Basry, leżący pomiędzy okopanymi w pustyni bardziej na północ siłami dywizji pancernej Saddama Husajna a idącymi od południa brytyjskimi oddziałami zmechanizowanymi.

Mijał czwarty miesiąc wspólnej operacji bojowej GROM-u i Navy Seals w Zatoce. „Robak” był już wtedy majorem, czyli starszym oficerem. Przez ostatnie dziesięć lat działał w różnych zakątkach świata: na Haiti, na Bałkanach, w Stanach Zjednoczonych, na wschodniej granicy Polski i w kilku innych miejscach. Nie był typowym wodniakiem, wywodził się nie z oddziału wodnego GROM-u, lecz z lądowego. I raczej średnio się czuł na otwartej przestrzeni wodnej, gdzie nie było lasu, gór czy innych elementów przyrody, w których umiał zniknąć. Dla snajperów takich jak on obszar lądowy oznacza po pierwsze bezpieczeństwo, a po drugie większą skuteczność. Wyszkolono go na snajpera, w ostatnich latach dowodził też zespołem młodych strzelców. Z pierwszego składu polskich snajperów sformowanego w 1992 roku w GROM-ie pozostał już tylko on i kolega, dowódca tutejszego kontyngentu w randze podpułkownika. Nazwijmy go „Lis”. „Robak” został zastępcą „Lisa”. Niedawno przełożeni w Polsce zaproponowali obu oficerom taką zmianę i równocześnie ich awansowali.

„Robakowi” niełatwo było się rozstać z karabinem snajperskim. W końcu przez ostatnie dziesięć lat zajmował się sprawami ściśle związanymi właśnie z tą bronią. Tak się akurat niezbyt szczęśliwie złożyło, że w tym czasie w GROM-ie grupę snajperów tworzyli mniej doświadczeni

strzelcy, ponieważ nieustająca zawierucha polityczna wokół jednostki powodowała, że wielu „starych” komandosów odeszło do cywila. Szkoleniowcy mieli kłopot, bo trudno ot tak, w ciągu roku wyselekcjonować w Bieszczadach dobrego kandydata na snajpera, nie wspominając o długim i trudnym szkoleniu, które żołnierz musi przejść. Snajper GROM-u jest nie tylko strzelcem wyborowym, lecz przede wszystkim taktykiem, szkolonym specjalnie do obserwacji i namierzania celów. To trochę taki podwójny komandos, choćby ze względu na to, że zawsze używa podwójnego sprzętu: szturmowego i snajperskiego.

„Robak” żywił dość uzasadnione przekonanie, że jeśli zostaniesz snajperem, to już nigdy nie przestajesz nim być. Naturalnie obaj z „Lisem” byli nieźle wyszkoleni w tak zwanej taktyce niebieskiej, czyli morskiej, i dobrze pamiętali swoje wodne treningi. „Robak” był jednak dzieckiem lasu i w takim właśnie terenie czuł się najlepiej. Gdy teraz wypływał na wody Zatoki, wracał czasem myślami do treningów na Bałtyku, co pomagało w trudnych chwilach. Można czegoś nie lubić, ale w tej robocie trzeba umieć się przystosować. „Robak” to potrafił i dlatego był komandosem uniwersalnym.

10

Zatoka Perska, Irak, 2003 rok

Od 2003 roku w Iraku przebywał już „Drętwy”, znany majorowi „Robakowi” ze wspólnej misji w Kosowie młody snajper, który od jakiegoś czasu służył w oddziale wodnym GROM-u, a w Iraku został dowódcą sekcji snajperów. Major z kolei zupełnie niedawno wrócił z trwającego kilka miesięcy kursu amerykańskich sił specjalnych w Forcie Bragg. To jeden z najtrudniejszych kursów dla komandosów, jakie istnieją. I właśnie w Stanach Zjednoczonych zrozumiał, jak wiele pod względem planowania operacji bojowych brakuje Polakom w porównaniu z Amerykanami. Polscy szturmowcy nigdy nie zetknęli się z tak drobiazgowym planowaniem amerykańskiego sztabu specjalsów. Wprawdzie GROM już od 1991 roku współpracował z Amerykanami i Brytyjczykami, ale nigdy w działaniach specjalnych na takiej wojnie jak ta z reżimem Saddama Husajna. Wcześniej nasi podoficerowie i oficerowie nie brali tak czynnego udziału w podejmowaniu decyzji i w wypracowywaniu planu akcji bojowej, więc w pewnym sensie byli zwolnieni z myślenia. Całą pracę wykonywał jeden człowiek – dowódca. Nie spał, nie jadł, słaniał się na nogach i „ciągnął” swoich, często dość zdezorientowanych żołnierzy, w bój. Lata zaniedbań z czasów PRL-u, klątwa polskiego wojska, powodowały, że tu, w Iraku, mimo koleżeńskiego i raczej pozbawionego kompleksów podejścia naszych do ich amerykańskich odpowiedników najzwyczajniej w świecie brakowało im narzędzi do współpracy w przygotowaniu działań. Po pierwsze, nie znali dobrze języka angielskiego. Po drugie, nie dysponowali odpowiednim oprogramowaniem, a nawet komputerami polowymi. Po trzecie, nie mieli bezpośredniego dostępu do informacji wywiadowczych – a zresztą do których mieli wtedy mieć wgląd? Tych z „polskich satelitów?”. Rosjanie trzymali swoje tajemnice wojskowe z dala od „przyjaciół” z Polski, nawet w okresie szczególnie zażyłej współpracy w ramach Układu

Warszawskiego. I tylko dzięki otwartym głowom i – nie ma co ukrywać – naszemu odważnemu podejściu do sealsów, potrafiliśmy wykorzystać niepowtarzalną szansę, by się tego wszystkiego nauczyć. Pracy do wykonania było mnóstwo i zazwyczaj „na wczoraj". Nie mieliśmy więc zbyt wiele czasu na naukę, analizę danych, nałożenie tego wszystkiego na elektroniczne mapy i zgranie kilkunastu elementów w jeden plan. Mieliśmy jednak niepowtarzalną szansę i wykorzystaliśmy ją, choć może trochę szkoda, że od razu w warunkach bojowych.

Misje, o których teraz mówimy, były niezwykle ważne, przełomowe. Nie chodziło w nich o to, by pokonać kompleksy i na siłę komuś coś udowodnić. „Robak" zdawał sobie z tego sprawę, a to, co go naprawdę martwiło, to wspomniany ogrom pracy, którą miał tu do wykonania, aby pomóc chłopakom. Bo na razie tylko on z grubsza kapował, o co chodzi. Wcielił się w rolę tłumacza, i to nie tylko w sprawach techniczno-operacyjnych. Asystował na przykład podczas zabiegu przeprowadzanego przez polowego dentystę, który sklejał jednemu z GROM-owców złamany w akcji przedni ząb. Był także przy tym, jak trzeba było zastosować u innego chłopaka lewatywę. Tłumaczył, ale też pomagał przy stole zabiegowym. Stojąc w białym kitlu z przepaską na ustach nad gołą dupą kolegi z oddziału, tłumaczył amerykańskim lekarzom, jak się przedstawia „bieżące samopoczucie poszkodowanego". Takie procedury. Bądźmy szczerzy, nie był tym zachwycony, czuł bowiem, że powinien zajmować się tutaj zupełnie innymi sprawami. Tęsknił za swoim karabinem snajperskim i działaniem w terenie, gdzie problemy życia codziennego zostawały daleko, w bazie, i wisiały tylko na kablu od jego radiostacji. Miał złe przeczucia, już miesiąc później mało brakowało, a znalazłby się w samolocie MEDEVAC-u (Medical Evacuation), który transportował rannych do bazy NATO w Ramstein w Niemczech.

11

Kuwejt, baza Camp Doha, 2003 rok

Pokój zajmowany przez „Robaka” był czworobokiem ze sklejki, o wymiarach dwa i pół na dwa i pół metra, który nazywano „prowizorycznym boksem mieszkalnym z piętrowym łóżkiem”. Dostał go po „Yodzie”, oficerze łącznikowym, który wrócił do Warszawy. Jego prowizoryczny boks mieszkalny mieścił się w ciągu innych bardzo podobnych pomieszczeń zajmowanych przez cały zespół szturmowy.

Tego dnia „Robak” siedział przy biurku z płyty wiórowej OSB nad swoim laptopem. W tym olbrzymim metalowym budynku hangaru po całym dniu wypełnionym zgiełkiem od godziny panowała cisza. Światło było przyciemnione, od czasu do czasu dało się tylko słyszeć przytłumiony głos lektora z filmu oglądanego przez kilku chłopaków w świetlicy znajdującej się na końcu blaszaka. W pewnej chwili zauważył, że lniana kotara pełniąca funkcję drzwi odsuwa się powoli na bok. Nie odwrócił się na swoim plastikowym krześle obrotowym, lecz siedział nieruchomo. Zamarł w pół ruchu i czekał. Było już po dwudziestej drugiej – cisza nocna i najwyższy czas, żeby iść do łóżeczka. To miała być pierwsza od dłuższego czasu pełna noc do przespania.

– Nawet nie mów! – zaczął „Robak”. – Nawet, kurwa, „Lisu”… Naprawdę lepiej nic do mnie nie mów!

Na chwilę zapadła niezręczna cisza, aż w końcu postanowił okazać dowódcy należny mu skądinąd szacunek. Zapytał:

– Ile jest czasu?

Pułkownik „Lis” ciągle stał na progu z ujmującym uśmiechem na twarzy.

– Jedna trzecia – mruknął.

Zazwyczaj podczas każdego zadania żołnierz ma tyle właśnie czasu na planowanie, a dwie trzecie na realizację. Oczywiście niezależnie od czasu

startowego „D-Day”.

– Jasne. Jak zwykle. Co się stało?

– Jeden z naszych zjeżdżał ze śmigłowca na linie i odpadł z trzech metrów na beton. Złamał nogę. Przetransportowali go jakieś czterdzieści kilometrów na północ, na pustynię, do bazy medycznej przy lotnisku Udairi w Kuwejcie. Nie byłem tam.

– Kto?

– „Długi”.

– Kurwa…

– Amerykanie jak zwykle chcą kogoś do tłumaczenia przy zabiegu. Dasz radę?

– Dam. – „Robak” skinął głową. – Masz transport?

– Przy bramie czekają Amerykanie w hummerze z czerwonym krzyżem.

– Dobra. Zbieram się.

Bazę szpitalną MEDEVAC oświetlało jaskrawożółte światło dużych lamp stojących na trójnogach. Lampy te jednak bardziej oświetlały wąskie, usypane z szarobiałego tłucznia drogi niż namioty. Nocą trudno było dostrzec rozmach, z jakim zbudowano całą tę bazę medyczną, natomiast słyszało się naprawdę cicho pracujące agregaty prądotwórcze oraz oczywiście klimatyzatory. Ogromne namioty kryły się teraz w ciemnościach i tylko ich uchylone poły oraz ustawione przy nich podświetlone czerwone tabliczki informacyjne z numerem oraz amerykańską nazwą funkcji od razu rzucały się w oczy. „Robak” bywał w podobnych miejscach, ale tutaj, w Udairi, poczuł się wyjątkowo nieswojo. Tym bardziej że kierowca hummera, z którego właśnie wysiadł, zatrzasnął za nim drzwi i po prostu sobie odjechał.

– No tak, skąd ja to znam – mruknął.

Stał przez chwilę zdezorientowany pośród kręcących się w pobliżu żołnierzy w kevlarowych hełmach i personelu medycznego. Wyjął telefon komórkowy, by się upewnić, że ma tu kontakt z „Lisem”. Zero zasięgu.

„Chrzanić to!” – fuknął w myślach.

12

Udairi, Baza Sił Powietrznych Armii Stanów Zjednoczonych, Kuwejt

„Robak” pomyślał, że sytuacja jest beznadziejna. Było w tym sporo racji.

„Udairi Army Air Base, Kuwait” – taki napis zauważył na bramie. Jasne. Tyle tylko, że nigdy tu wcześniej nie był. Zostawiono go nocą na pustyni, w ogromnej bazie medycznej. Amerykanie spierdolili w jakąś ciemnicę, a on nie miał pojęcia, w którym namiocie leży „Długi”, jego komórka nie łapała zasięgu i chyba z całych tych nerwów zaczął mieć wrażenie, że zapomniał angielskiego. Wtem ktoś chwycił go z tyłu za ramię i przerwał tok czarnych myśli.

– Halo, proszę pana, jest pan z Polski, nieprawdaż?

„Robak” odwrócił się, ale przez sekundę nie orientował się, czy ktoś go pyta po polsku, czy po angielsku.

– Tak, jestem z Polski – odpowiedział automatycznie. – *Yes, yes, I am!*

Stała przed nim młoda dziewczyna, pielęgniarka. Miała piękne niebieskie oczy, choć wyraźnie zmęczone, związane niedbale blond włosy, uprzejmy uśmiech. Jej fartuch dawno już przestał być biały – ubrudzony krwią oraz plamami w różnych kolorach: żółtym, czarnym, brązowym.

– To świetnie – zareagowała ze spokojnym, ale jednak entuzjazmem. – Proszę rozładować broń i pójść za mną. – Pokazała wejście do pobliskiego namiotu.

„Robak” ukontentowany, że najwyraźniej ktoś kompetentny się nim zajął, podszedł do najbliższego metalowego pojemnika z piachem, odpiął magazynek z amunicją, schował go do kieszeni, po czym odciągnął zamek, wyjął pozostały nabój z komory i zluzował dźwignię zamka. Oddał jeszcze pusty strzał kontrolny w kierunku specjalnego celu, ustawionego przy wejściu obok pojemnika z piachem.

– Czysto – rzucił w stronę dziewczyny.

– Okej. – Kiwnęła głową. Rozsunęła przeźroczyste plastikowe drzwi namiotu i zaprosiła go do środka.

Wewnątrz było zaskakująco jasno. Przez środek prowadziła wąska alejka wyłożona płytą wiórową OSB, a na końcu pomieszczenia dało się zauważyć kilka okrągłych, diodowych lamp operacyjnych.

– Proszę to założyć – poprosiła dziewczyna, podając mu wyciągnięty nie wiadomo skąd biały fartuch i maskę na usta.

Po kilkunastu sekundach „Robak” stał już w medycznym kitlu. Po raz kolejny.

– To jest doktor Owens. – Wskazała na zmierzającego ku nim potarganego mężczyznę. – On się będzie panem zajmował.

– Przyjąłem – odpowiedział służbiście. – Dziękuję.

Lekarz podszedł i się przywitał.

– Będziemy operować waszego żołnierza. Czy mógłby pan przetłumaczyć mu kilka zdań, majorze?

Lekarz, podobnie jak „Robak”, miał stopień majora, ale raczej nie dbał o konwenanse. Wyglądał na konkretnego gościa, który mimo trzech nieprzespanych nocy trzeźwo i przytomnie umiał przedstawić sytuację.

– Oczywiście. Gdzie mamy klienta? – dopytał „Robak”.

– Sala operacyjna numer dwa. To te drzwi na prawo. Niech pan tam teraz pójdzie, za chwilę ktoś się zjawi.

„Robak” kiwnął głową i pomaszerował we wskazanym kierunku. W środku zobaczył siedzącego na łóżku „Długiego”.

– Siemano, „Długi” – rzucił, rozglądając się uważnie po pomieszczeniu.

– Jezu, szefie, co pan tu robi?

– Taki tam wypad. Nocny. Wiesz, ostatnio nam się nudzi, śpimy całe noce i dnie, więc pomyślałem: „A strzelę sobie wycieczkę do Kuwejtu w środku nocy. Co mi tam!”.

– Jeśli wezwali pana do mnie… Niech się szef nie gniewa, nie jarzę po angielsku, a trochę się pochrzaniło.

– No to zeznawaj.

– Zjeżdżałem i dałem ryjem w beton – odpowiedział coraz bardziej niespokojny „Długi”. – No niezupełnie ryjem, tylko nogą, ale i tak jest mały

problem.

– To wiem, ale jak tego dokonałeś, Einsteinie?

– Byłem obładowany sprzętem na maksa, to raz. A dwa, tak dmuchnęło spod śmigła, że nawet rękawice mi nie pomogły. Odpadłem.

„Długi” był silnym, dobrze zbudowanym szturmowcem, pakerem, który przerzucił na siłowni tony żelastwa, ale – jak pomyślał „Robak” – *shit happens*. Nie pierwszy i pewnie nie ostatni upadek ze śmigłowca. Ciągle coś się dzieje. Zważywszy na ogromną liczbę zadań, i tak jest nieźle.

– Majorze… – „Długi” rozejrzał się, czy nikt nie wchodzi. – Mam prośbę niewielką. Chciałbym tu dotrwać do końca misji, dałoby się to jakoś załatwić?

– Pokaż tę nogę – mruknął „Robak”.

– Może lepiej nie…

– Młody! Wywlekli mnie z łóżka, do którego właśnie radośnie się kładłem, więc mnie nie wkurwiaj.

„Długi” złapał kawałek szpitalnego prześcieradła, które przykrywało ranę, i odsłonił nogę ułożoną pomiędzy dwoma pomarańczowymi, plastikowymi szynami. „Robak” nabrał do płuc dużo powietrza, bo cała piszczel prawej nogi była zgruchotana, obnażona kość wystawała nad zakrwawione bandaże mocujące.

– To ma być „mały problem”?

– Za parę dni wszystko będzie okej! –„Długi” uśmiechnął się szeroko, ukazując większość, na szczęście niewybitych jeszcze, własnych zębów.

– Naćpali cię czymś? Kapujesz w ogóle, o co chodzi?

– Dali mi coś na ból…

– A więc jesteś na morfinie i dlatego nic nie czujesz, i chyba także dlatego nierealnie, jak sądzę, oceniasz sytuację.

„Robak” pomyślał, że w ogóle nie widzi szans na dokończenie misji. Na sto procent zwiną go do Ramstein w Niemczech, a potem do Warszawy. Szkoda chłopa. Dla niego to koniec wycieczki. Oby tylko dobrze go poskładali….

Zamknął na chwilę oczy, próbując odgonić takie myśli.

– Panie majorze… – odezwał się znowu młody.

– Tak, „Długi!” – odpalił jak rażony piorunem. – Na razie się nie przejmuj! Dzisiaj cię tu poskładają, a jutro pogadamy. Na razie trzymaj się!

Do sali weszło dwóch chirurgów i kilku asystentów. „Robak” zaczął wyjaśniać „Długiemu” całą procedurę do momentu podania narkozy. Kazano mu liczyć na głos od dziesięciu wstecz, ale przy sześciu zasnął, a major, nie chcąc przeszkadzać, zaczął się powoli wycofywać z tego zamieszania. Ostatnie, co chciał teraz oglądać, to rozpiłowywanie przez lekarzy nogi kolegi z oddziału. Kiedy był już prawie w drzwiach, jeden z chirurgów obrócił głowę i niestety wyraźnym oraz zdecydowanym gestem zaprosił go, żeby usiadł na krześle obrotowym w kącie sali operacyjnej.

– Taka procedura – wyjaśnił lekarz, wymachując w powietrzu skalpelem. – Potrzebujemy tłumacza cały czas, na wypadek gdyby coś poszło nie tak.

– A mógłbym usiąść na ławce tuż za salą operacyjną? – spytał pełen nadziei.

Lekarz skinął głową i ponownie wziął się do krojenia „Długiego”. „Robak” wyszedł, usiadł na ławce, zdjął maskę i kilka razy zaczerpnął głęboko powietrza. „Znowu to samo” – pomyślał, kręcąc z niedowierzaniem głową. Minęła północ.

„Robak” wstał z ławki i zaczął spacerować po korytarzu. W wysokim namiocie nie było zbyt dużego ruchu, od czasu do czasu ktoś przechodził obok, pozdrawiał go i znikał na zewnątrz lub w którejś z salek operacyjnych. Poczuł się znużony i z coraz większym trudem zmagał się z ogarniającą go sennością. Wreszcie amerykańscy lekarze wyszli z sali, szepcąc coś do siebie. Jeden z nich zatrzymał się przy „Robaku”.

– Będzie z nim dobrze, jest gotowy do odlotu – poinformował Polaka lekarz.

– To świetnie. Bardzo panu dziękuję! – odparł.

Uścisnęli sobie dłonie, Amerykanin oddalił się w głąb korytarza, a „Robak” wszedł do salki operacyjnej i zobaczył, że „Długi” właściwie był już wybudzony. Leżał teraz obok stołu operacyjnego na transportowym łóżku szpitalnym, przypięty czerwonym, brezentowym pasem, żeby

niechcący nie zrobił sobie krzywdy. Dwie pielęgniarki pilnowały, by nie podnosił głowy za wysoko. Po chwili jedna z nich wyszła, by wrócić kilka sekund później w towarzystwie dwu korpulentnych czarnych kobiet, uzbrojonych w karabiny automatyczne M-16. Przejęły one łóżko z „Długim”, wyjechały z nim na korytarz, a następnie skierowały się ku wyjściu z namiotu. „Robak” myślał, że po operacji „Długi” przez pewien czas poleży w szpitalu polowym w bazie Udairi, ale wyglądało na to, że stanie się zupełnie inaczej. Wszyscy wyszli na zewnątrz. Amerykanki pchały jeszcze łóżko z pięćdziesiąt metrów i wjechały do kolejnego dużego namiotu otwartego przy obu końcach. Było tam sporo miejsca, stało nie więcej niż sześć, może siedem łóżek. „Robak” zorientował się, że to namiot przejściowy, w którym chorzy czekają na załadunek do samolotu transportowego. Łóżko z „Długim” stanęło na świecącym na jasnozielono numerze umieszczonym na podłodze. W oddali major usłyszał odgłos kołującego herculesa C-130, spojrzał na innych rannych i skonstatował, że wszyscy oni leżeli w miarę spokojnie.

– Szefie…– wychrypiał nagle „Długi”. – Niech pan im nie pozwoli załadować mnie do samolotu.

„Robak” przez chwilę nie wiedział, co na to odpowiedzieć.

– Posłuchaj… – zaczął ostrożnie. – Najlepiej, jak powiem ci krótko i prosto: to już koniec. Ale żyjesz i to jest najważniejsze. Teraz musisz zejść z boiska, bo przez parę tygodni ledwo będziesz dochodził do kibla, nie mówiąc o ganianiu po pustyni z gnatem.

– Szefie, przyjechałem tu miesiąc temu na całą zmianę. Na sześć miesięcy! Teraz mam zostawiać chłopaków? Tyle przygotowań w kraju i co? Koniec?

– Tak bywa. Jeszcze się nawojujesz.

W tym momencie podeszli do „Robaka” ludzie z ekipy załadunkowej, aby zabrać rannego na pokład samolotu.

– Niech pan wsiada! – krzyknął jeden z nich i złapał za łóżko „Długiego”.

– Że co? Słucham?!

– Zaraz odlatujemy. Niech pan wchodzi, majorze!

„Robaka” zamurowało, ale jednak wszedł po pochyło ustawionej rampie do środka herculesa stojącego w ciemności. Łóżko z „Długim” wjechało po chwili i zatrzymało się tuż obok niego. Rozejrzał się szybko dookoła, lekko szturchnął chłopaka w ramię i zbliżył usta do jego ucha.

– Skup się jeszcze na chwilę, młody. Muszę stąd jakoś zniknąć. Rozumiesz?

Tamten skinął głową.

– Pozdrów ode mnie Polskę.

– Powodzenia, majorze. Szkoda… – szepnął konspiracyjnie GROM-owiec.

– A pan dokąd? – krzyknęła zdziwiona Amerykanka, odrywając się od dopinania zabezpieczeń do łóżek.

– Wycofuję się na z góry upatrzone pozycje – powiedział i puścił do niej oko.

– Nie, niee, to absolutnie niemożliwe. Pan jest tutaj tłumaczem i mamy taką procedurę, że musi pan zostać przy swoim żołnierzu. Więc leci pan z nami – fuknęła bojowo.

– Wracam do bazy Camp Doha – odpowiedział grzecznie.

– Dokąd?

– Niech mnie pani dobrze posłucha. – „Robak” wbił w nią wzrok, dając do zrozumienia, że nie będzie dwa razy powtarzać. – To nie są moje procedury. Ja mam swoich ludzi w Camp Doha, skąd wyrwano mnie kilka godzin temu. Nie mogę ich zostawić na pustyni tylko dlatego, że macie procedury każące stać przy półprzytomnym żołnierzu po operacji, który jest pod doskonałą opieką, i tłumaczyć. Właściwie co tłumaczyć? Nigdzie nie lecę. Chłopak jest bystry i kiedy oprzytomnieje, na pewno dojdziecie z nim do ładu.

Odwrócił się jeszcze w stronę „Długiego”, kiwnął mu ręką na pożegnanie i zszedł z pokładu. Nie oglądał się już do tyłu, żeby nie wciągać się w dalszą niepotrzebną gadkę. Na płycie lotniska jeszcze przez chwilę zastanawiał się, czy dobrze zrobił. Wiedział, że „Długi” słabo sobie radzi z angielskim, ale rozumie co nieco i że nic złego nie powinno mu się

wydarzyć. Co innego skomplikowane słownictwo medyczne, ale to przecież ma już za sobą. Zresztą w Ramstein będą Polacy.

– Musisz sobie poradzić, młody – mruknął do siebie.

Minęła czwarta rano, a „Robak” szedł alejką z lotniska w stronę namiotu, w którego pobliżu wysiadł z hummera. Tyle że teraz żaden hummer na niego nie czekał. Tego był pewien. Wiedział, że za bramą bazy jest tylko kuwejcka pustynia i nie ma środka transportu. Spojrzał jeszcze raz na swoją nokię, która dalej nie miała zasięgu. Co teraz? Żeby nie tracić czasu, zabrał swoją broń, podpiął magazynek i odciągając energicznie tylny motylek prowadnicy zamka, przeładował M-4. Następnie założył karabin na pas nośny i wyregulował wygodnie, umieszczając go tuż przed sobą, lufą w dół. Po chwili namysłu doszedł do wniosku, że jeśli pójdzie w kierunku głównej bramy wyjazdowej, to może wykombinuje jakiś transport do Dohy. Problem polegał na tym, że choć odjeżdżały stąd najrozmaitsze pojazdy w bardzo różnych kierunkach, trafienie na odpowiedni o tej porze właściwie graniczyło z cudem. Jednak czasami cuda się zdarzają. „Robak” dostrzegł przy jednym z namiotów ciemnozielonego hummera z zabudowaną paką i znakami Czerwonego Krzyża. Karetka polowa. Okej. Wyraźnie zbierali się do drogi. Właściwie co miał do stracenia? Pieszo szedłby do Dohy przynajmniej dwa dni, po terenie pustynnym, bez zabezpieczenia. Prędzej po drodze zacząłby paść wielbłądy, niż dotarłby do bazy. Podszedł więc do wozu i zapytał, czy przypadkiem nie wybierają się do Dohy.

Bingo! Strzał w dychę. Tak się czasem szczęśliwie trafia, choć niestety rzadko. Miał szansę jedną na dziesięć, że będą jechali w tamtym kierunku, a fart okazał się podwójny: nie dość, że o czwartej rano ktoś w ogóle wyjeżdżał z bazy, to na dodatek w kierunku Dohy i z wolnym miejscem. Zielona, blaszana sanitarka wyjechała za bramę i skierowała się w głąb pustyni. Po drodze co jakiś czas widzieli rozstawione pojedyncze namioty pasterzy, a obok mniejsze lub większe stada wielbłądów. Czasami pasterz przeganiał im przed maską swoje zwierzęta i wtedy wszystko, co jechało, musiało się podporządkować. Pasterzy nie interesowały amerykańskie

problemy. Jeśli się nie dostosujesz do tutejszych „przepisów”, zaryjesz w ważące blisko siedemset kilogramów cielsko osadzone na długich nogach, a to się nie może dobrze skończyć. Dochodziła szósta rano, na pustynnym horyzoncie zaczynało się rozwidniać. Stada prowadzono wzdłuż, a czasem, niestety, i w poprzek drogi.

„Robak”, który nie spał już drugą dobę, miał twarz spuchniętą ze zmęczenia. Człowiek może umrzeć, jeśli przez dłuższy czas będzie pozbawiony snu. Pewne procesy zachodzą w organizmie wyłącznie w trakcie snu, a są ważne dla regeneracji. Tylko podczas snu rośniemy (dlatego dzieci tak dużo śpią), tylko wówczas zachodzą niektóre przemiany komórkowe, bez których byśmy nie przetrwali. Dlatego mniej więcej co kilkanaście godzin mózg, który wszystkim kieruje, zdecydowanie domaga się od człowieka odpoczynku. Jednak „Robak” oprócz ogromnego zmęczenia czuł też zadowolenie, bo w końcu wszystko się udało: chłopak poskładany, leci do Europy, a on sam właśnie dojeżdża do bazy. Z daleka rozpoznał duże skrzyżowanie ze światłami, które często pokonywał ze swoimi GROM-owcami po drodze na morskie misje. Hummer minął skrzyżowanie i podjechał pod bramę główną bazy wojskowej Camp Doha.

– To tutaj, majorze! – rzucił w kierunku tylnych siedzeń kierowca.

– Wiem. Nie moglibyście wjechać? – spytał trochę zaskoczony.

– Nie możemy. Taki układ. Ty wysiadasz, my jedziemy dalej – wyjaśnił jeden z sanitariuszy.

– No dobra. Dzięki. Trzymajcie się!

„Robak” pożegnał się i wyskoczył z wozu. Był szczęśliwy, że dotarł do bazy, ale uzmysłowił sobie, że właśnie stanął przed kolejnym problemem. Ubrany w cywilne ciuchy z daleka właściwie niewiele różnił się od przeciętnego terrorysty. Specjalsi zwykle poruszali się po Kuwejcie w takich właśnie strojach. Nikt z GROM-u się nie afiszował – czarna bluza z kapturem, dżinsy, adidasy, czarne, cienkie, nomexowe rękawiczki i, jeśli trzeba było, czarna wełniana czapka typu SAS. No i oczywiście ciemne okulary Oakleya, a do tego zawieszony na ramionach z przodu karabinek szturmowy. I wszystko byłoby dobrze, gdyby nie fakt, że „Robak” nie znajdował się jeszcze wewnątrz bazy, nie siedział też we wjeżdżającym lub

wyjeżdżającym samochodzie. Nie było szans, by ktokolwiek dostał się do bazy pieszo. Za ogrodzeniem był dla strażników znajdujących się na wysuniętych posterunkach ochronnych przed bazą po prostu potencjalnym terrorystą samobójcą. Nie było żartów – jakiś tydzień wcześniej, na tym właśnie skrzyżowaniu, tuż przed bazą, eksplodował samochód pułapka z islamistą samobójcą w środku. Kandydat do wniebowzięcia najpierw pokrzyczał: „Precz z Izraelitami! Niech żyje Palestyna! Allach jest wielki!”, a po chwili wysadził się obok Camp Doha i zabił kilku pracowników bazy wjeżdżających właśnie samochodem osobowym do środka.

Dwaj żołnierze amerykańskiej piechoty zmotoryzowanej, siedzący za uchylonymi pokrywami włazów swojego wozu bojowego Bradley, bez namysłu wycelowali zgrabną lufę działka w „Robaka”. Major, który stał jakieś trzydzieści metrów przed nimi, podniósł jedną rękę do góry i pomachał telefonem komórkowym na znak, że zadzwoni do bazy. Nie był to dobry pomysł. Jeden z żołnierzy siedzących we włazie od razu zanurkował do środka wozu, by w razie czego oddać strzał, a drugi zaczął nerwowo machać ręką, by „Robak” poszedł sobie, tam skąd przyszedł.

– Ja stąd przyszedłem, durniu! – mruknął pod nosem, ale po chwili zreflektował się, że jankes ma rację. Pokiwał głową na znak, że rozumie polecenie, i cofnął się o kilka kroków. Sytuacja nadal była nieciekawa, bo stał na środku asfaltowej szosy z dwoma pasami ruchu, a tutejsi Arabowie znani są z szybkiej jazdy i kompletnego lekceważenia jakichkolwiek przepisów. Rozejrzał się na boki i za siebie. Nie było żadnego pobocza, wszędzie tylko betonowe bloki ustawione jak ściana, jeden obok drugiego, tworzące z trasy coś na kształt betonowego koryta. Miał do wyboru – zginąć prędzej czy później na środku jezdni pod kołami pędzącego samochodu jakiegoś Araba lub ponieść śmierć od pocisku z bradleya, tuż przed wejściem do bazy.

Obserwując uważnie nadjeżdżające z naprzeciwka pojazdy, stał tak blisko krawędzi jezdni, jak się tylko dało. Szczęście w nieszczęściu polegało na tym, że odzyskał zasięg w komórce, więc wystukał szybko numer, ale „Lisu”, jakżeby inaczej, nie odebrał.

– Kurwa, jeśli tu zginę, będzie to najgłupsza śmierć w akcji, o jakiej słyszano na tej planecie! – warczał zły nieco na siebie i swojego cholernego pecha. Po kilku próbach wybierania numeru do innych znajomych w bazie na wyświetlaczu zaczęła migać ikonka sygnalizująca, że bateria telefonu jest na wyczerpaniu, a jego sytuacja jest wyjątkowo gówniana. Do bazy jeden po drugim zaczęły podjeżdżać różne pojazdy wiozące do pracy ludzi z porannej zmiany. Ci w środku zaczęli mu się kłaniać zza szyb zwalniających pojazdów, tak jakby był dzielnym wartownikiem i na bardzo wysuniętym posterunku strzegł całej tej bazy. Wreszcie, ku jego wielkiej radości, resztkami sił odezwała się komórka.

– Co jest? – zachrypiał zaspany „Lis”.

– Co jest?! Zajebiście jest, „Lisu!”. Stoję na pierdolonej drodze przed bazą, wykidajły do mnie celują, a ty nie odbierasz jebanej komórki! To jest.

– „Robak”?

– Nie. Jan Paweł II! No, kurwa, wyślij tu kogoś, bo mnie zaraz wartownicy zastrzelą!

– Wysyłam – rzucił „Lisu”, nie wdając się w dalsze pogawędki.

Minęło jednak kolejne piętnaście minut, zanim mitsubishi pajero z „Lisem” za kierownicą pojawiło się przed bramą. „Robak” wskoczył do wozu, pajero zawrócił na skrzyżowaniu i wrócił do bazy. Major zdążył jeszcze pomachać do chłopaków w bradleyu, którzy sprawiali wrażenie, że mają jego gest w dupie.

– Co z „Długim”? – zapytał „Lis”.

– Wszystko gra. Spakowałem go do samolotu i poleciał do Niemiec.

– Dobra robota. Idź teraz do siebie i strzelaj do każdego, kto spróbuje ci przerwać sen – mruknął, wypuszczając majora z wozu.

„Robak” wszedł do swojego prowizorycznego boksu mieszkalnego, usiadł na łóżku i w takiej pozycji zasnął. Sam nie wiedział kiedy.

13

Baza przejściowa sił specjalnych, cztery mile od Umm Kasr, 22 marca 2003 roku. Kuwejcka pustynia

Pod kuwejckim słońcem, w wojskowym namiocie bez nadmuchu i wentylacji jest jak w saunie, ciepło koncentruje się w jednym miejscu, nie ma żadnej cyrkulacji. Cholery można dostać. „Robak” uniósł powiekę i natychmiast ją zamknął, lewą ręką sięgnął do plecaka, by wymacać leżące na nim okulary przeciwsłoneczne. Po kilku chwilach zmagania się ze sobą podniósł się mozolnie ze skrzypiącego jak diabli łóżka i spojrzał mętnym wzrokiem dookoła. Stało tam jeszcze z dziesięć innych metalowych łóżek, ale tylko dwa były zajęte. Na drugim wypoczywał dowódca kontyngentu „Lis”.

Uczucie otępienia narastało za sprawą ścinającej z nóg temperatury i tumanów kurzu wdzierających się z zewnątrz przez poły namiotu. Potęgowało je kilka nieprzespanych nocy spędzonych na działaniach bojowych w rejonie Zatoki Perskiej. „Robak” wstał, chwycił rączkę futerału ze snajperką i położył go przed sobą na glinianym klepisku, odganiając przy tym kilka piekielnie szybkich małych skorpionów, które urządziły sobie pod nim schronienie przed lejącym się z nieba żarem. Odchylił dwie zapadki plastikowego, kompozytowego futerału, rozłożył go i uważnie popatrzył na karabin. Wyjął go i obejrzał nastawy lunety. Wszystko było w porządku, nic złego się nie działo. Otworzył jeszcze paczkę naboi, sprawdził, co trzeba, po czym ją zamknął. Podobnie postąpił z futerałem, który wsunął głębiej pod swoje łóżko. Teraz narzucił luźno bluzę munduru, wziął do ręki amerykański karabinek M-4 i wychylił się z namiotu, a następnie odetchnął pustynnym piaskiem i już po chwili miał go pełno w zębach.

Otoczony kłębami zasieków z drutu kolczastego i żyletkowej concertiny plac na pustyni znajdował się w pobliżu granicy z Irakiem, kilkaset metrów

od wybrzeża kanału rzecznego prowadzącego na północ do Umm Kasr i stanowił bazę tymczasową „specjalsów” z US Navy, Brytyjczyków, no i teraz polskich sił specjalnych, czyli GROM-u. Po lewej stronie stały rzędy brytyjskich namiotów, dość schludnie i pomysłowo zamaskowanych siatką kamuflażową. Kiedy „Robak” zobaczył je po raz pierwszy, zrobiły na nim ogromne wrażenie, przypomniały mu się kadry z filmu *Jak rozpętałem drugą wojnę światową*, kiedy to Franek Dolas trafił do pustynnego obozowiska Anglików. Tylko herbaty na *five o’clock* nikt tu nie miał zamiaru serwować. No, przynajmniej nie o dziewiątej rano.

Po prawej stronie placu, w oddali, widać było kilkanaście szarych ubikacji typu toi toi – przewróconych i z otwartymi drzwiami. Jeśli więc chciałeś skorzystać z kibla, to najpierw musiałeś go sobie postawić. Za nimi zlokalizowano lądowisko, a właściwie „startowisko” brytyjskich śmigłowców. Gdy taki chinook, czyli helikopter MH-47, albo bell AH1 cobra podnosił się ponad pustynnym czerwonobrunatnym klepiskiem i obracał wirnikiem dziesięć metrów nad ziemią, aby uzyskać właściwą pozycję do odejścia w powietrze, wszystko, co nie było z betonu albo nie zostało bardzo solidnie przytwierdzone metalowymi śledziami do podłoża, nie miało prawa ustać na swoim miejscu i zwyczajnie odfruwało. Wyobraźcie sobie, że jesteście w toi toiu w trakcie startu śmigłowca. „Przeminęło z wiatrem, człowieku” – jak mawiał jeden z tutejszych Amerykanów – wraz z całym gównem, które ci w tym momencie towarzyszy. Śmigłowce startowały i lądowały praktycznie na okrągło, zabierając plutony Brytyjczyków, których przerzucały do Basry. Robiły przy tym, jak pewnie się domyślacie, wiele zamieszania i hałasu, wzbijając niesamowite tumany czerwonego kurzu. Pierwsza chmura jeszcze nie zdążyła opaść, a już tworzyła się druga. „Robak” spojrzał przez ramię w kierunku namiotu. „Lis” był już na nogach i szedł ku niemu z mydłem w ręku i przewieszonym przez ramię brązowym frotowym ręcznikiem.

– Jak leci? – rzucił do majora.

– Mrozu nie ma.

– Nie łam się, nareszcie jakaś łaźnia jest – odkrywczo oznajmił „Lis”.

– Wiem, już wczoraj wieczorem ją namierzyłem, ale była pełna Brytoli, więc odpuściłem. Ale teraz tam właśnie się wybieram, rzucisz okiem na moją broń?

– Jasne. Słuchaj, tak przy okazji, jak ten „Drętwy” się spisuje?

– Myślę, że nieźle sobie radzi – odparł pewnie „Robak”.

– Pytam, bo pierwszy raz w życiu dowodzi ludźmi.

– Wczoraj na platformie pot się z niego lał, ale nie pękał. Twardy jest. Wytrwały. Byłem z nim w Kosowie dwa lata temu, wcześniej go szkoliłem. Nie zawsze łapał, co jest grane, ale się wyrobił. Świetnie strzela, trochę się gubi, gdy traci pewność siebie, ale tej dobrej pewności jest w nim coraz więcej. Więc raczej się o niego nie boję.

– Ten jego kumpel też ma zadatki na dobrego dowódcę – zauważył „Lis”.

– „Redi”?

„Lis” skinął głową.

– Tak, ale obaj muszą podszlifować angielski, bo przez radiostację nie idzie się z nimi dogadać. No i planowanie.

– Widziałem ich twórczość. Mają swoje pomysły.

– Tego się właśnie boję. Trzeba im to jakoś w głowach poukładać. Niech patrzą na Amerykanów jak najczęściej, jak najdłużej i jak najuważniej.

– Racja – zgodził się „Lis”. – Jak wrócisz z łaźni, wpadnij do sealsów. Dopytaj, o której ruszamy dalej.

– Jasne.

14

Wojna na żywo

Mówi się czasem, że życie specjalsów składa się z długich godzin nudy, czasem dni, a potem krótkotrwałych emocji podczas akcji, w której narażają życie. To nie do końca prawda. W wypadku GROM-owców stacjonujących w Iraku i Kuwejcie trudno było mówić o jakiejkolwiek nudzie. Wykonywali potwornie dużo zadań, zarwali wiele nocy, a krótkie chwile odpoczynku wykorzystywali bardzo skrupulatnie na sen, doprowadzenie się do stanu używalności (łaźnia) oraz konserwację sprzętu.

22 marca 2003 roku okazał się wyjątkowy. W noc poprzedzającą ten dzień chłopcy zdobyli platformę KAAOT, czyli najistotniejszy punkt strategiczny irackiej części Zatoki Perskiej. Do dziś uważa się, że to jedna z najważniejszych – jeśli nie najważniejsza – akcja polskich sił specjalnych po II wojnie światowej (opisaliśmy ją dość dokładnie w książce *Cel za horyzontem*). Mimo wydarzeń sprzed kilkunastu godzin nie było odświętnej atmosfery – po prostu kolejne zadanie zostało wykonane. Chłopaki czyściły amunicję i lufy karabinków z wszechobecnej rdzy, którą powodują słona woda morska oraz opary lepkiej wilgoci wymieszanej z tutejszym kurzem. Kilku żołnierzy spało, część poszła się porządnie umyć, a ci, którzy byli już czyści, wpadli do polowej świetlicy zabudowanej prowizorycznie sklejką po bokach i od góry. Była to otwarta świetlica, nie miała nawet drzwi, znajdowało się tam kilkanaście długich ław, a pod jedną ze ścian stał telewizor z wielkim ekranem. Tego dnia siedziało tam kilkunastu Brytyjczyków i co ciekawe – kilku cywili, reporterów z telewizji BBC. To wtedy przekonaliśmy się na własne oczy, co dziś nie jest już żadną rewelacją, że wojnę można relacjonować na żywo. Ci reporterzy na bieżąco zdawali relacje z sytuacji na froncie, wraz z brytyjskimi żołnierzami kryli się za barykadami w Basrze, latali z nimi w helikopterach, biegali za nimi, kiedy trzeba było biegać, i przekazywali obraz satelitarny online. Ci cywile

zupełnie nie znali strachu. Amerykańscy reporterzy potrafili nawet przymocowywać kamery do rakiet nakierowanych na konkretne cele, aby obraz telewizyjny mógł być oglądany dosłownie do samego końca!

Siedzący przed telewizorem pluton Brytyjczyków w mundurach bojowych i z karabinkami szturmowymi SA-80 w rękach czekał właśnie na kolejny śmigłowiec, mający w ciągu piętnastu minut dostarczyć ich prosto w rejon toczących się walk. Koledzy z BBC mieli lecieć razem z nimi. „Robak" usiadł z tyłu na ławce i patrzył z niedowierzaniem na ekran telewizora ukazujący miasto i pole walki. Słychać było komendy brytyjskiego dowódcy. Leżący w pyle i na gruzach jakiegoś budynku komandosi prowadzili ostrzał z moździerza i z karabinków w stronę kilkupiętrowego bloku, z którego ostrzeliwali się iraccy snajperzy. Nagle, wprost z chmur, wyłoniły się dwa brytyjskie samoloty myśliwsko-bombowe Tornado. Operator kamery, tam na miejscu, zrobił na nie bardzo dokładny dojazd i wszystko pokazał: jak są na kursie, biorą na cel blok mieszkalny i napieprzają w irackich snajperów. Siedzący przed telewizorem Brytyjczycy byli rozemocjonowani do granic, trzymali kciuki, co pewien czas pokrzykiwali, jakby znajdowali się na meczu piłkarskim. Potem tornada zrzuciły bomby na kilka budynków z tyłu i wtedy już wszyscy doznali zbiorowego orgazmu. Trochę szkoda, że najpierw rozwalili tych snajperów, bo byłoby więcej napięcia i radochy z suspensu. Po chwili padła komenda zza sali telewizyjnej i cała ekipa kibiców w mgnieniu oka włożyła na głowy kevlary i pognała w pośpiechu na lądowisko. Dokąd się udadzą? Właśnie tam, do miejsca, z którego relację chwilę wcześniej obejrzeli. Trzej dziennikarze w niebieskich koszulkach z napisami „BBC Press" minęli „Robaka" z uprzejmym „*Hallo!*" i zniknęli. Była też reporterka z mikrofonem, która również oddaliła się za nieistniejące drzwi świetlicy.

Major uznał, że powie chłopakom o możliwości pooglądania sobie walk w Basrze na żywo. „Linia frontu *live*! Krew, flaki, krzyki rannych, strzelanina i strasznie fajna wojna prosto z ekranu w domu każdego z was! Wystarczy, że usiądziecie wygodnie w fotelu, a my wam już wszystko zajebiście pokażemy w naszej fantastycznej BBC! Prosto z Iraku!"

22 marca już o 17.00 ekipa Task Force znów ruszyła w kierunku łodzi szturmowych. „Robak” wypiął ze swojej kamizelki taktycznej metalowy zatrzask zabezpieczający karabinek szturmowy Bushmaster M-4 – podczas działań na wodzie wszystko musi być do czegoś przypięte, bo wystarczy chwila nieuwagi, by sprzęt spoczął na dnie morza. Miał w pamięci doświadczenie sprzed kilkunastu dni, kiedy to niespodziewanie zrobiło się groźnie. Dość mocno kołysało, a słona morska woda regularnie zalewała całą łódź typu Mark V. Sternik nie miał lekkiego życia, czasem wstawał z siedzenia, usiłując jak najdłużej utrzymać łódź na kursie. Czarny kompozyt służący do sterowania przypominał raczej odwróconą kierownicę roweru z dżojstikami na końcach niż normalny ster.

Tamtej nocy „Robak” i pozostali szturmowcy siedzieli w środku łodzi, w kabinie pod blaszanym zadaszeniem. Nie wypinał się z czarnego skórzanego siedzenia. Czuł się tutaj bezpiecznie, w miarę komfortowo i kiedy czasem łódź szarpnęła w nieprzewidywalnym kierunku, specjalnie wyprofilowane siedzisko bardzo dobrze się sprawdzało. Jednak część ekipy leżała w wolnej, ale dość wąskiej przestrzeni zaprojektowanej pomiędzy dwoma rzędami siedzeń a tylną ścianką kabiny. Chłopaki spały, leżąc jeden przy drugim, ściśnięte jak sardynki w puszce. Chodziło o to, aby trochę odciążyć kręgosłupy. Płynęli nocą – wszędzie tylko ciemność i te cholerne fale. Właśnie jeden z żołnierzy leżących obok prawej nogi „Robaka” postanowił się podnieść, by zmienić pozycję. Gdy w końcu wstał, spojrzał zaspany na majora i ziewnął. I nagle, w tej samej dosłownie chwili, sternik z przodu krzyknął: „Uważajcie! Uważaaaajcie! Chłopaki, padnij!, Padnij!”.

Zanim ktokolwiek zdążył cokolwiek pomyśleć, wszyscy odruchowo rzucili się na podłogę lub mocno wcisnęli głowy za rurowe stelaże ochronne siedzeń. Od przodu łodzi dało się słyszeć silne uderzenie i szczęk gniecionych metalowych słupków wspornikowych dzielących przednie, dziobowe i kilka bocznych szyb. Na hełm typu Pro-Tec, który „Robak” miał na głowie, posypały się odłamki szkła z rozbitego bocznego okna.

Zdarzało się czasem, że podczas tak intensywnych rejsów po Zatoce przegrzewał się silnik łodzi (słona woda robiła swoje) i dlatego zespoły zawsze pływały w składach co najmniej dwóch jednostek, nigdy

pojedynczo. Jak coś się popsuło, zaczepiano linę holowniczą i prowadząca łódź ciągnęła za sobą tę drugą do bazy, gdzie dokonywano „uzdrawiającego” przeglądu technicznego. Nie były to częste sytuacje, ale się zdarzały. Nie oznaczały czegoś strasznego.

Jednak sytuacja, o której mówimy, okazała się groźna. W tej całej kotłowaninie, w zupełnych ciemnościach, zamieci wodnej wywołanej dość niespokojnym stanem morza i kilkoma stopniami w skali Beauforta, sternik jakoś zdołał ostrzec ekipę. Myślę, że uratowało to wszystkim tyłki. W ułamku sekundy zauważył pędzący ku nam kawał grubej na cztery centymetry liny, przypominający wkurzonego do granic możliwości olbrzymiego węża morskiego atakującego łódź. Jak do tego doszło? Lina oderwała się z cumy na rufie łodzi prowadzącej i strzeliła jak z bicza w sterówkę marka V, co uszkodziło kilka przednich i bocznych zbrojonych szyb. „Robak” widział, jak takie liny obcinały lub urywały ręce. Łodzią tak bujnęło na boki, że wszystko, co znajdowało się środku, zostało wymieszane jak w pralce. Kilku chłopaków z włączonymi czołówkami nerwowo szukało swojej broni i reszty sprzętu. To byli ci, którzy nie przypięli swoich gratów.

Broń powinna być zawsze przypięta na wysokości ramion karabińczykiem zaczepionym o pas nośny do kamizelki taktycznej. Zupełnie nie przeszkadza to w jej natychmiastowym dobyciu i oddaniu strzału. Plecaki zakotwicza się do siedzeń lub do pokładu łodzi, natomiast noktowizory, radiostacje i pistolety – na łatwo rozciągliwych, kablowych lonżach sprężynowych.

Parę lat później w Wojsku Polskim pomyślano o tym, aby w sytuacji, gdy któregoś z żołnierzy zmiecie do wody, miał on szansę na awaryjne pozbycie się sprzętu. Zdarzały się przecież momenty, kiedy podczas zaciekłego pościgu na metrowych falach za przemytnikami czy piratami ktoś ze szturmanów odpadał i lądował w morzu. W takich chwilach ważne jest, by cały ten sprzęt można było odczepić jednym pociągnięciem za pomarańczowy uchwyt. I wówczas w razie zagrożenia życia w niebezpiecznej wodzie rozbitek go zrzuca. Wszystko to razem może ważyć ponad sto pięćdziesiąt kilogramów! Oczywiście rzadko ktoś

decyduje się na zatopienie broni, ale dobrze mieć taką możliwość. To bardzo istotne z psychologicznego punktu widzenia. Zwolnienie komandosa od niepotrzebnych zmartwień pozwala mu się lepiej skupić, a przez to zwiększyć skuteczność. Rzecz jasna, decyzja musi należeć to tego, kto ratuje się w wodzie.

Część łodzi z grupy bojowej US Navy Task Force z wielkim katamaranem na dwóch mocno wystających na boki płozach, o minimalnym zanurzeniu, ale o dużej wyporności, zwolniła i pozostała teraz na miejscu na wysokości rozciągającego się po zachodniej stronie półwyspu Al-Fau. Kilka bojowych łodzi Mark V, w asyście mniejszych i szybkich łodzi pontonowych typu RIB (Rigid Inflatable Boats), popłynęło dalej. Znajdowało się tam jeszcze parę łodzi pamiętających wojnę w Wietnamie (zwróćcie na nie uwagę, oglądając film *Czas Apokalipsy*). Były to patrolowe rzeczne P.B.R. (Patrol Boat River). Cóż to za widok dla chłopaków z Polski! Spotkać na irackich rzekach i kanałach takie łodzie to jakby przenieść się na plan filmu o przygodach Rambo.

„Robak” z zaciekawieniem przyglądał się tej mieszance różnorakich łodzi. Zorientował się oczywiście, że łączyło je jedno: mogły wpłynąć na płytkie wody, tak płytkie, że czasem trudno było powiedzieć, czy to jeszcze rzeka, czy już mielizna. Jak się później miało okazać, znajdowały się tam jeszcze inne „łódki” bojowe. Tam, gdzie faktycznie były już mielizna, nadbrzeżne trzcinowisko czy piasek pustyni, grasowały co jakiś czas agresywne (tak też wyglądały), lekkie brytyjskie poduszkowce bojowe. Na styku wody i lądu takie ścigacze nie miały sobie równych. Co jakiś czas w parach patrolowały nadbrzeża, potrafiły nawet wbić się w wysokie trzcinowiska i wygnieść szerokie na trzy lub cztery metry długie korytarze prowadzące w głąb lądu. „Robak” zastanawiał się czasem, co jeszcze tutaj go zaskoczy.

Była szósta rano, wody Zatoki zawężały się, tworząc coś na kształt wąskiego gardła, i w pewnym momencie przed dziobami pięciu łodzi z piaskowego mglistego brązu wyłoniło się wybrzeże. Było to wejście do kanału prowadzącego do Umm Kasr. Po lewej stronie rozciągało się piaszczyste pogranicze Kuwejtu i Iraku, po prawej – wielkie połacie

pustynnego półwyspu Al-Fau, przez który przebiegała granica między Irakiem i Iranem. Dwa dni wcześniej, 20 marca 2003 roku, koalicja państw na czele z Amerykanami i Brytyjczykami zaatakowała reżim Saddama Husajna. Na tym właśnie półwyspie rankiem w dniu rozpoczęcia ataku brytyjskiej piechoty morskiej zginęli pierwsi żołnierze. W reakcji na inwazję irackie wojsko pośpiesznie zaminowało wybrane obszary nadbrzeża, a do kanałów zrzuciło miny głębinowe.

„Robak” po raz pierwszy w życiu widział delfiny, które pływały z nadajnikami i sensorami na grzbietach, współpracując ze swoimi brytyjskimi przewodnikami. Delfiny to najinteligentniejsze zwierzęta na Ziemi, część naukowców skłania się nawet do teorii, że ich potencjał intelektualny może być większy od tego, jakim dysponuje człowiek. Delfiny posługują się znacznie bogatszym językiem niż ludzie, potrafią rozmawiać z dwoma przedstawicielami swojego gatunku jednocześnie i na dwa różne tematy! Niczego nie produkują, nie interesuje ich tworzenie cywilizacji, na czym być może lepiej wychodzą niż my. Co ciekawe, jako jedne z nielicznych gatunków zwierząt uprawiają seks dla przyjemności. „Robak” myślał czasem o wykorzystywaniu delfinów w niebezpiecznych misjach, uważał, że nie powinno ich tu teraz być, ponieważ to podłe i nieludzkie. A tu nagle Brytyjczycy z delfinami w wodzie krzyczą i machają do nas płynących wolno obok na łodziach, żebyśmy natychmiast stąd wypieprzali, bo wykryli miny. Te delfiny świetnie wiedziały, co jest groźne, a co nie. Lepiej od nas. Skurczybyki fenomenalnie szybko pływały między minami i nigdy się nie zdarzyło, by zaczepiły o którąkolwiek z nich.

Brytyjczycy sporo się namęczyli, ale w końcu oczyścili ten teren, a także spory skrawek pustyni Al-Fau z min i wojsk irackich. Problemy jednak nie zniknęły, ponieważ na dużych stalowych, brązowych wrakach statków handlowych – czasem przechylonych i rdzewiejących od lat po obu stronach kanału, a także w trzcinach nad brzegiem – pozostawali snajperzy porozmieszczani tam na rozkaz dowódców wojsk reżimu Saddama. Większość z nich poddawała się, machając z daleka ku przepływającym łodziom koalicji. Machali białymi flagami, a i nierzadko irackimi

banknotami. Skąd mieli tę kasę? Jak się okazało, Saddam płacił im za każdego zabitego żołnierza koalicji. Niestety nie wszyscy się poddali.

Łodzie patrolowe podzieliły się na małe grupy składające się z jednej łodzi Mark V i dwóch pontonowych RIB-ów. „Robak” pozostał na marku i ze swoim amerykańskim odpowiednikiem nazywanym „J” rozmawiał o kłopotach czekających ich tego dnia. Z kolei „Drętwy” dowodził chłopakami siedzącymi w dwóch RIB-ach. Jego chłopcy mieli między innymi sprawdzać każdą jednostkę napotkaną w kanale. Ekipa z jednego RIB-a dokonywała kontroli, a druga pozostawała w odwodzie jako ewentualne wsparcie. Nie wchodzili wszyscy, bo padliby z wycieńczenia już po zbadaniu pięciu jednostek – pływało ich tam lub gniło na nabrzeżu tak dużo, że trzeba było kontrolować średnio dziesięć dziennie. Powiedzmy dla jasności: żeby pobieżnie sprawdzić większy statek, to znaczy mający kilka pokładów, jedna sekcja szturmowa potrzebowała co najmniej godziny. Napotykane statki miały najróżniejsze tonaże i wielkości, a nasi mieli za zadanie kontrolować wszystkie – od śmiesznych łupinek do dużych kontenerowców. Rozpoczynali od uważnej obserwacji mostka i ładowni, potem dokładnie lustrowali całość, szukając materiałów wybuchowych, min i oczywiście irackich snajperów. Łodzie Mark V pływały w oddali, ale naturalnie w zasięgu wzroku, a strzelcy pokładowi stali w rozkroku na metalowym pokładzie przy swoich wielkokalibrowych karabinach maszynowych. Prawdę mówiąc, w swoim ekwipunku – kevlarowych hełmach, strojach wodniaków, okablowani przewodami od radiostacji – wyglądali trochę jak posągi, a trochę jak kosmici. I tylko taśmy ze złocistymi i lśniącymi nabojami zwisały łukowato na dół spod pokrywy komory amunicyjnej pięćdziesiątek. Byli w stałej gotowości do „wyczyszczenia” wszystkiego, cokolwiek by tego wymagało w kontrolowanym przez GROM-owców statku. Wystarczyła krótka komenda przez radiostację od dowódcy zagrożonej sekcji.

Był jeszcze jeden problem – zdarzało się, że mniejsze kutry Irakijczycy wypełniali pod sufit minami przeciwpancernymi i morskimi, a następnie używali ich do ataków na wybrane przez siebie amerykańskie okręty

wojenne, by wysadzić je w powietrze, nierzadko były to ataki samobójcze. Kilka takich pływających IED-ów (Improvised Explosive Device, czyli improwizowany ładunek wybuchowy) udało się namierzyć i wypędzić z kanału na pełne morze, uprzednio nakłoniwszy przez megafony ich załogi, by wyskoczyły do wody. Potem amerykańscy saperzy wysadzili kutry.

Pierwszy dzień w porcie Umm Kasr okazał się bardzo pracowity. Trwała trzecia doba od rozpoczęcia wojny w Iraku. Patrole płynęły teraz dalej, w stronę najważniejszego tutaj miasta i portu dostępnego dla łodzi oraz statków tylko poprzez pogłębiony zachodni kanał wodny i naturalny wschodni kanał zlewowy utworzony w delcie dwóch rzek: Eufratu i Tygrysu. Porucznik „Drętwy” zakończył właśnie sprawdzanie ostatniego dzisiaj wraku statku i oba RIB-y podpłynęły znów do łodzi Mark V, a ich załogi przesiadły się na pokład jednostki „Robaka”. Jutro od rana to on zacznie rundę na RIB-ach, a „Drętwy” zajmie jego miejsce przy „J”, który dowodził tutaj komandosami z Navy Seals. Porucznik wskoczył na pokład, odbijając się mocno od pontonu. „Robak” przytrzymał go za rękę, pomagając utrzymać równowagę.

– Żyjesz? – spytał z lekkim uśmiechem.

– Przerąbane. Zaoramy się przy tym syfie. Trudno to nawet zliczyć. Widziałeś snajperów na poprzednim statku? Dobrze, że się poddali, bo wiesz, w innym razie byłby tu taniec jaszczurki na pustyni.

„Robak” przez chwilę próbował zrozumieć dowcip.

– Niech mnie skręci, te twoje ambitne żarty – mruknął, kręcąc głową. – Nigdy się nie zmienisz?

– O co ci chodzi?

„Robak” nie wierzył własnym uszom.

– „Drętwy”! Ja nie jarzę, co ty do mnie mówisz! Jaka jaszczurka? Na jakiej pustyni?!

– Przecież to proste!

Major machnął tylko ręką.

– Nieważne. Płyńmy do tej śluzy.

Powoli zmierzchało. Słońce już zaszło, ale patrol miał dziś jeszcze jedno zadanie do wykonania. Rozkaz dla nich brzmiał: „Popłynąć kanałem Basry kilka mil na północ i sprawdzić, jak wygląda śluza na kanale tuż przed miastem”. Płynęli spokojnie. Prowadził mark V, za nim – dwa RIB-y, wszystkie bez włączonych świateł. W takich chwilach każdy z operatorów zachowuje nadzwyczajną ostrożność, a uwaga jest szczególnie wytężona. Wybrzeże to tylko ciemna połać linii brzegowej, nie ma tam nic nadzwyczajnego, zupełna cisza, ale doświadczony żołnierz wie, że jeśli coś zaczyna się zbyt cicho, zwykle kończy się zbyt głośno. I jak na zamówienie niebo rozświetliła nagle seria silnych rozbłysków.

– Jakieś pięć kilometrów przed nami? – spytał cicho „Drętwy”.

– Co najmniej dziesięć – stwierdził „Robak”. – To nad Basrą, z zachodu, a tamto – pokazał na kolejne wybuchy – od północnego wschodu.

Z lewej na prawą i z prawej na lewą leciały w stronę miasta wystrzeliwane co kilka sekund przez Brytyjczyków rakiety napędzane rozgrzanymi do czerwoności silnikami odrzutowymi. Po kilkadziesiąt w jednej serii. Czasem nadlatywały w grupach, czasem rozproszone, ale w linii, jedna za drugą. Irakijczycy starali się odgryzać kilkoma podobnymi wystrzałami artyleryjskimi i zaczęły też być słyszalne coraz głośniej wystrzały z karabinów wielkokalibrowych oraz cichsze, lecz dość gęste strzały z lekkich karabinków bojowych. Co jakiś czas wszystko to milkło na moment i wtedy na niebie pojawiały się lecące pod ostrym kątem flary rozświetlające ciemność jaskrawymi biało-czerwonymi rozbłyskami. Oświetlające race na spadochronach powoli opadały i znikały w ciemnościach gdzieś nisko nad ziemią.

– Jak noc sylwestrowa, nie? – wyrwało się „Drętwemu” westchnienie pełne rozmarzonej zadumy.

Major stał z rozchylonymi lekko ustami i ze zdumieniem obserwował niebo.

– „Drętwy”, daruj na chwilę – jęknął, nie odwracając wzroku.

– To linia frontu! Pierwszy raz w życiu widzę coś takiego! – bronił się porucznik.

Wszyscy patrzyli z niemałym niepokojem w dal. Widok ten był zarazem niezwykły i przerażający. I dla sealsów, i dla GROM-owców.

– Koniec na dzisiaj – usłyszeli nagle głos „J”. – Wracamy. Darujemy sobie kowbojskie wypady w nocy.

Odwrót. Całe ugrupowanie patrolu „Alfa” szybko zawróciło do stacjonującego czterdzieści mil na południe od portu Umm Kasr okrętu bazowego. Silniki rozbujano na maksa, tak że równo dawały czadu. Z przodu poszły dwa RIB-y, jakieś trzysta metrów przed asekurującą je łodzią Mark V. Dzień zakończył się dla patrolu „Alfa” powrotem do pływającej bazy zorganizowanej tym razem na brytyjskim okręcie wojennym. Teraz na rzekę ruszy patrol „Bravo”. Ale to już nie my.

15

Baza GROM-u. Przygotowania do bitwy pod Al-Fau

– Czy wszyscy są obecni? – spytał „Robak”.

– „Drętwego” brakuje – zameldował bez emocji któryś z chłopaków siedzących na ustawionych w kręgu łóżkach polowych. Znajdowali się na wewnętrznym pokładzie statku.

– Niech ktoś go poszuka! – rzucił major.

„Raper”, jeden z bardziej doświadczonych, zerwał się i pobiegł w kierunku pralni, gdzie spodziewał się zastać porucznika.

– „Drętwy”, kurwa… Dawaj na zbiórkę!

Porucznik stał niewzruszony, wpatrując się w kręcący się bęben automatu z jego mundurem w środku.

– Jaką zbiórkę?– spytał.

– Sraką! – „Raper” był zdruzgotany widokiem kolegi ubranego w dres, w rozwiązanych polowych butach. – Mógłbyś się wreszcie obudzić?

„Drętwy” rozważał przez chwilę, czy aby na pewno może się rozstać ze swoim mundurem, wreszcie westchnął ciężko i ruszył za „Raperem”. „Robak”, który już wydawał polecenia, na widok wchodzących żołnierzy rzucił w ich stronę:

– Słuchajcie, jutro w Umm Kasr działacie w mniejszym składzie. Ty, „Raper”, przejmujesz ode mnie dowodzenie na patrolach rzecznych.

– Tak jest!

– Teraz skupcie się, bo zapodaję wam sytuację. – Major popatrzył na chłopaków. – Od strony irańskiej granicy, nie irackiej, tylko irańskiej, z nadbrzeża z ciężkiej broni ostrzelano łodzie patrolowe Amerykanów. Na razie były to tylko strzały ostrzegawcze, ale Jankesi, żeby nie wkurzać Persów, dodali gazu i znikli. Ale to nie koniec, bo Irańczycy przerzucają swoich bojowników na drugą stronę półwyspu Al-Fau, w tym snajperów, żeby tłukli do naszych. Przegięli, więc mamy „zlecenie” od sztabu. Razem

z amerykańskimi i brytyjskimi snajperami zabezpieczymy wybrane odcinki wzdłuż dorzecza na wschodnim brzegu Al-Fau. Mówiąc wprost, czeka nas robota antysnajperska. Wszyscy załapali, o co biega?

– Taa… – mruknęli zgromadzeni.

– „Drętwy”? Twój mundur już się wyprał? – zapytał z wymuszonym uśmiechem „Robak”.

Porucznik milczał, jakby wciąż był skupiony na wykładzie dowódcy.

– Zaczynamy pojutrze – uzupełnił „Robak”. – Idziemy na pierwszy ogień, ja i ty, „Drętwy”.

– Świetnie! – obudził się snajper.

– Ogólnie półwysep Al-Fau – ciągnął major – to strefa działań Brytyjczyków, więc musimy ustalić, i to dokładnie, kanały łączności, żeby nie było wtopy. Po tygodniu ja wracam, a ty, „Drętwy”, będziesz już sam rotował chłopaków.

– Tak jest!

– Amerykanie podrzucą nas tam śmigłowcami. Wyskoczymy na jakiejś przygodnej łacie piasku i ukryjemy się w trzcinowiskach, będzie ciekawie. Zorientujemy się, co i jak, a następnie dla zmyły pójdziemy pieszo, więc na początku zaliczymy trochę błota. Snajperzy, dobrze się do tego przygotujcie. To tyle na tę chwilę.

16

Na granicy iracko-irańskiej, 26 marca 2003 roku

Słońce było już bardzo nisko nad horyzontem, zmierzchało. Wieczór był tu bardzo krótki, bo zachód słońca trwa ledwie moment. Z oddali dobiegał na początku przytłumiony, ale po chwili już wyraźniejszy odgłos silników dwóch brytyjskich śmigłowców typu Bell AH-1 Cobra. Otaczające skrawek łaty pustynnego piachu trzcinowisko coraz mocniej kładło się pod naporem powietrza powstałym przy podchodzeniu helikoptera. Po chwili cobra znalazła się niewiele ponad metr nad ziemią, gnąc prawie do samego podłoża połacie trawy i wysokich na dwa metry trzcin, które ociekały błotem i wodą z podmokłego terenu. Helikopter nie wylądował, lecz zawisł na minutę, aby dwaj snajperzy mogli wyskoczyć, podczas gdy drugi śmigłowiec unosił się wyżej i bardziej z przodu. Chwilę później obie maszyny odleciały w kierunku granicy z Iranem.

Snajperzy zastygli na suchym kawałku lądu, nasłuchując uważnie, czy wszystko jest w porządku, potem się podnieśli i ruszyli do przodu zgodnie z kierunkiem wskazanym na GPS-ie. Kiedy dotarli na skraj trzcinowiska, „Robak” odchylił ostrożnie kępę wysokich traw, by sprawdzić, czy ujrzy za nimi poświatę odbitą od wody granicznego kanału.

– To już chyba Iran – syknął do „Drętwego”, nie spuszczając oka z przeciwległej linii brzegowej.

– Jakieś pół kilometra.

– Mniej więcej. Musimy poszukać tu jakiejś górki.

– Górki? Tutaj?

– Może głośniej. Bo może nas nie usłyszą – warknął major.

– Bardziej płaskiego terenu w życiu nie widziałem.

– „Drętwy”, skup się! Chodzi mi o *high ground* [teren położony nieco wyżej], a nie o góry z Kosowa.

„Robak” myślał o miejscu dającym przewagę taktyczną, a w tym przypadku o dogodnym miejscu do prowadzenia obserwacji, najlepiej takim bez trzcin, aby widzieli wszystko, nie będąc widzianymi.

– Azymut dwieście siedemdziesiąt stopni – podał major. – Trzymaj się teraz za mną, bo się tu pogubimy, jak na polu kukurydzy. Pójdziemy bardziej w głąb półwyspu, najpierw na zachód, a potem na północ. Powinny tam być pola uprawne, ryż albo proso, nieistotne. W każdym razie te, które mamy na mapie.

Snajperzy dość szybko, jeden za drugim, z przewieszonymi lufami do góry karabinami snajperskimi na plecach, przeszli około pięciuset metrów w głąb lądu. „Robak” spoglądał na świecącą igłę kompasu. Trzciny w końcu się skończyły, trawa sięgała teraz nie wyżej niż do kolan i zdawała się rzednąć. Było tak ciemno, że kiedy major nagle się zatrzymał, „Drętwy” rąbnął w niego z impetem.

– Sorry – bąknął, poprawiając kevlar na głowie.

„Robak” nie zwrócił na to uwagi.

– Teraz idziemy ze trzysta metrów na północ – rzucił cicho.

Ruszyli i nie minęło pół godziny, a poczuli powiew zimna z zupełnie otwartej przestrzeni.

– Dobra, nie wychodzimy tam – zdecydował „Robak”. – Nie możemy być widoczni. Tu nocujemy. Rano zobaczymy, co i jak. Nadaj przez radio do bazy, że jesteśmy EOT[4].

– Robi się. Ale tu zimno na tej pustyni, mogłoby już wyjść to słońce.

– Jak to na pustyni – mruknął „Robak”. – W dzień upał, w nocy zimnica. Taki jej urok. Rób tę łączność.

– Powiem ci, że jak tak zapieprzamy po błocie, to czasem żałuję, że nie jestem pilotem, choćby śmigłowca. Im tam w górze przynajmniej dupska nie marzną.

– Ja wolę działać tu, na glebie – odparł „Robak”. – Nie śpieszy mi się do nieba, wody też nie lubię.

– No tak, chyba tak… – mruknął „Drętwy”. Przez chwilę tkwił jeszcze w bezruchu i zabrał się do uruchamiania radiostacji.

– Tu będzie dobrze. – „Robak” wskazał wypatrzone miejsce. – To są te pola uprawne z mapy, przed nami. Tam są nawet jakieś pojedyncze budynki. Trzeba uważać. Przesuniemy się może trochę w prawo, na tamtą łatę piachu.

Pełzając na czworakach, zmienili pozycję o jakieś trzydzieści metrów, „Drętwy” wyjął z plecaka łopatkę, wybrał z przodu trochę piasku, położył na to pałatkę i narzucił trawę.

– Wyrwij jeszcze kilka kęp trawy i wkop je przed nami – polecił „Robak”.

Major leżał obok stojących na nóżkach dwóch karabinów McMillan. Wsparł się na łokciach i przez lornetkę obserwował odległą plażę po irańskiej stronie. „Drętwy” wciąż pracowicie krzątał się przy maskowaniu, co trochę rozpraszało „Robaka”, więc na chwilę oderwał się od lornetki i zerknął na porucznika.

– Dobra, wystarczy. Nie jest źle, dobre miejsce.

Słońce zdążyło już nagrzać ciała snajperów mających stosunkowo bezpieczne i wygodne stanowiska strzeleckie, co na takim terenie stanowiło niemały sukces. Zdecydowali, że nieco odpoczną, kiedy „Robak” zaczął pociągać nosem.

– „Drętwy”, czujesz? Śmierdzi paliwem.

– No, trochę tak – przyznał porucznik.

„Robak” uważniej przyjrzał się koledze.

– Spójrz na swoje spodnie na kolanach i na buty – westchnął, zgadując, skąd wziął się ten cały swąd. – Masz tłuste plamy. W coś ty się wczołgał?

„Drętwy” przeciągnął palcami po nogawkach spodni, a następnie powąchał dłoń.

– Ropa… – Zwiesił głowę.

„Robak” rozejrzał się.

– Popatrz, tam z przodu, między trawami, ta czarna plama. To chyba też kałuża ropy. W irackich złożach jest takie ciśnienie, że ropa czasem sama tryska z ziemi.

– Słyszałem o tym. Bogato tu.

– Trzeba będzie uważać, żeby czegoś nie zaprószyć i na bogato nie wylecieć w powietrze.

– Gorzej jak trzeba będzie strzelać.

– Jeśli to ropa bez gazu, nic się nie stanie. A gaz poczujemy. Chyba…

„Drętwy” przytaknął i żeby czymś się zająć, postanowił sprawdzić nastawy na lunecie z naklejoną i ofoliowaną na wewnętrznej stronie kolby tabelą z odległościami. Obaj dobrze wiedzieli, że jeśli przyjdzie im oddać stąd strzał, to na pewno na odległość większą niż pół kilometra – bliżej nic nie powinno się dziać – co nie jest takie proste, kiedy się strzela .308 WIN, standardowym pociskiem używanym w NATO. „Robak” dalej obserwował przedpole, ale że nic się tam nie działo, po pewnym czasem odpuścił, dając odpocząć mięśniom karku. Oczy, które przez dłuższy czas patrzą przez lunetę, męczą się tak bardzo, że same domagają się odpoczynku. Dlatego trzeba wtedy opuścić głowę na dół i popatrzeć przez chwilę na coś innego, na przykład na ziemię przed sobą. I właśnie w chwili, kiedy „Robak” postanowił popatrzeć na ziemię, zauważył trzy nieznane mu małe żyjątka. Wyglądały jak skrzyżowanie małych rybek (nie było tam wody), żabek i jaszczurek. Dziwoląg ochoczo biegały dookoła „Robaka”, nie zważając na to, że ten przysypywał je czasem garściami piachu. Nie zniechęcały się i wracały, drocząc się z nim, jakby chciały się pobawić, a może obronić swój teren.

– Ty, „Robak”, czy tu są krokodyle? – wystrzelił nagle „Drętwy”.

– Przestań, to tylko małe… – Major spojrzał na kolegę. – To jeden z tych twoich prześmiesznych żartów?

Tym razem „Drętwy” był śmiertelnie poważny.

– Spójrz przez lunetę, dziewięćdziesiąt metrów przed nami przy tej brązowej grudzie ziemi, na pierwszej.

„Robak” zerknął przez okular, przesunął krzyżem celowniczym lekko w prawo, nagle oderwał się od niego, spojrzał raz jeszcze, skręcił paralaksę na lunecie i wyostrzył zbliżenie.

– Uszczypnij mnie, bo chyba śnię. To jebany krokodyl!

– Walimy w niego?

– Ani się waż! Może pójdzie w cholerę.

– Skąd tu krokodyl?

– A czy ja, kurwa, wyglądam na Steve’a Irwina?![5] – „Robak” był coraz bardziej rozdrażniony.

– To chyba nie krokodyl! To jakiś jaszczur, taki duży, albo waran, może jak ten z wyspy Komodo? – powiedział z nadzieją „Drętwy”.

„Robak” jeszcze raz spojrzał przez lunetę.

– Może i wygląda jak jaszczur. Całkiem fajny. – Major rzadko tracił pewność siebie, ale to chyba był właśnie ten rzadki moment, kiedy głos zaczął mu drżeć.

Nikt chyba już się nie dowie, co to był za zwierzak. Znajdował się za daleko i raczej nie zauważył snajperów, a nawet jeżeli ich wyczuł, to się nimi nie zainteresował. Zresztą krokodyle zdecydowanie wolą żerować w wodzie, na lądzie czują się zbyt odkryte i powolne. W pewnym momencie zwierzę zaczęło się wolno oddalać, aż zniknęło z pola widzenia żołnierzy. Jeszcze przez pewien czas „Drętwy” i „Robak” baczniej obserwowali otoczenie, aż uznali, że tajemniczego stwora już nie spotkają. Może to i lepiej, bo dla obu stron mogłoby się to skończyć bardzo niedobrze.

Minęły cztery dni. I właśnie czwartego dnia, o godzinie dwudziestej, tuż przed zachodem słońca, na rzece pojawiła się nieznana kanonierka.

– Widzisz to? – upewnił się „Drętwy”.

– Tak – odparł „Robak”. – To nie nasi, to bandera Iranu. Jak się tu spotkają z Amerykanami, może być przykro.

– Dobrze ich stąd widać – zauważył „Drętwy”.

Major odwrócił się w stronę kolegi.

– Tylko nie odpal tam przypadkowo, bo rozpętasz trzecią wojnę światową.

– Oni coś kombinują. – „Drętwy” jakby nie usłyszał uwagi „Robaka”. – Na rufę popatrz. Zsuwają jakiś ponton.

Przez chwilę obaj obserwowali rozwój wypadków. Do pontonu niezgrabnie zeskoczyło z rufy okrętu sześciu żołnierzy i popłynęło za kanonierką. „Robak” wyciągnął przed siebie rękę i na małym wzgórku

usypanym z piasku z prawej strony wymacał ukrytą pod ponczo radiostację. Kanonierka i ponton nie zmieniły kursu i powoli popłynęły dalej, w górę rzeki, by zniknąć im z oczu za zakrętem kanału, w odległej poświacie zachodzącego słońca. Snajperzy odetchnęli, wyglądało na to, że jeśli będą kłopoty, to jeszcze nie teraz.

– Oni coś kombinują? – spytał „Drętwy”.

– Nie kracz!

Nie minęła minuta i jak na złość z kierunku zachodniego, od strony rzeki, dobiegł ich dudniący odgłos kilku wystrzałów. Chwila przerwy, a potem kolejna salwa. I kolejna.

– I patrz, kurwa! – warknął „Robak”. – Musiałeś wykrakać? Zawracają!

Sięgnął po lornetkę i spojrzał na odczyt dalmierza.

– Pięćset trzydzieści metrów.

– Daleko – pocieszył się „Drętwy”.

Kanonierka znów parokrotnie wystrzeliła, ale tym razem kilka pocisków przeleciało im tuż nad głowami. Pociski groźnie zagwizdały i wbiły się w pas wysokich trzcin sto metrów za stanowiskiem GROM-owców.

– I co?! – warknął zeźlony „Robak”. – Daleko? Gdybyśmy byli tam, gdzie wczoraj, właśnie by nas rozpieprzyli w drobny mak!

„Drętwy” chwycił karabin i przylgnął jeszcze mocniej do ziemi. Po chwili znów poleciała seria pocisków, a potem jeszcze jedna. Na środku rzeki huczało od wystrzałów. „Robak” szybko połączył się z bazą.

– Walą w plażę, zupełnie niesprowokowani. Ostrzeżcie inne patrole, bo rąbią na oślep!

– Widzą was? – usłyszał w radiostacji.

– Raczej nie. Walą jak popadnie. W przeciwnym razie bylibyśmy już… wszędzie.

– Poczekaj chwilę. – Radiostacja zamilkła przynajmniej na minutę, po czym baza znów się odezwała: – Brytyjczycy mówią, że to prowokacja Iranu. Strzelają, bo jeszcze wczoraj w górnej części rzeki, na styku swojej granicy, robili ręczne odwierty na plażach i pobierali próbki ropy naftowej. Spróbujcie nie oberwać i nie reagujcie. Realizujemy SOP[6].

Ostrzał plaży trwał jeszcze jakieś dziesięć minut, po czym kanonierka odpłynęła tam, skąd przybyła, czyli w dół rzeki. Tym razem na dobre. Dwa dni później brytyjskie śmigłowce desantowały snajpera, który zastąpił „Robaka”. Kiedy odlatywali, usiadł blisko otwartych drzwi bella i popatrzył z góry na okolicę, obserwował przez chwilę oddaloną linię brzegową Iranu.

„Znów byłem na kolejnej linii frontu, tym razem z Iranem – pomyślał ze smutnym uśmiechem. – Co to za miejsce. Jak oni mogą tak żyć?”

17

Bagdad, listopad 2003 roku. Osiem miesięcy później

To była kwadratowa klitka, z sufitu sypał się spleśniały od żółtych zacieków tynk, a z olejnej lamperii na ścianach odchodziły płaty ciemnoniebieskiej farby. Major „Robak” ustalił jednak sam ze sobą, że jest przytulnie, tej wersji zamierzał się trzymać. Z lewej strony, tuż za sprężynowym łóżkiem polowym, znajdowało się małe, zrobione z drewna okno, przysłonięte zawieszoną chyba ze sto lat temu firanką, teraz będącą już tylko swoim zżółkniętym wspomnieniem. Za dnia przez okno wpadało sporo światła, co poprawiało „Robakowi” nastrój, a to jest ważne, kiedy jest się trzy tysiące kilometrów od swego domu w Polsce. Na wprost łóżka tkwiły drewniane drzwi i tam właśnie dla „Robaka” zaczynał się Irak. Teraz słońce nie wpadało do pomieszczenia. Zastępowała je umieszczona na suficie ledwo świecąca pojedyncza żarówka. W pokoju był jeszcze kapitan „Drętwy”, który właśnie kończył czyścić swój karabin snajperski ustawiony na nóżkach na podłodze. Złapał jeszcze za lufę i z pewnym wysiłkiem podniósł dość ciężką broń, obracając ją kolbą do tyłu, pod to właśnie nikłe światło. Wnętrze gwintowanej lufy błyszczało imponująco, więc „Drętwy” uznał, że sprawa załatwiona.

– Glanc, nówka! Może być, czysta – mruknął do siebie zadowolony.

Przetarł szmatką dłonie przybrudzone resztkami spalonego prochu oraz tłustego oleju i chwycił kulkę długiego, stalowego zamka leżącego u jego stóp na drewnianej podłodze obok karabinu. Wsunął to wszystko od tyłu, na prowadnicę komory zamkowej, powodując przyjemny klekot nasmarowanych i dobrze współpracujących ze sobą elementów karabinu. Dopiął zamek, prowadząc go wewnętrzną częścią prawej dłoni w półobrocie, w dół. Lubił ten dźwięk i tę broń. Palce miał prawidłowo wyprostowane, bo zawodowi snajperzy z nawyku tak właśnie ładują broń – dłoń jest silniejsza niż pojedyncze palce, a ta metoda się sprawdza,

szczególnie zimą, na mrozie. Podobnie postępuje się przy odciąganiu zamka – robi się to wewnętrzną częścią dłoni, wtedy łuska wyjdzie bezproblemowo, a przecież zawsze może się zdarzyć nabój z defektem. Czasem łuska rozszerza się po wybuchu, przez co wcale nie jest łatwo cofnąć zamek, i wtedy niedoświadczony snajper podnosi się trochę wyżej na łokciach, aby sobie jakoś poradzić. A to czasem wystarczy, by został dostrzeżony, nawet z bardzo dużej odległości.

– Gotowy – mruknął raz jeszcze „Drętwy”.

To była pierwsza doba „Robaka” w Bagdadzie. Poprzedniej nocy przyleciał tu z częścią polskiego kontyngentu i oczywiście już podczas lądowania nie obyło się bez kłopotów. Iraccy rebelianci walili w ich samolot z rakiet i moździerzy, ale na szczęście niedokładnie, bo nie byli w stanie podejść na tyle blisko, by staranniej wycelować. Na widok nadlatującego samolotu po prostu grzali na oślep w stronę lotniska, licząc, że a nuż może w coś trafią. Na szczęście olbrzymi amerykański transportowiec nie oberwał i wszyscy w miarę bezpiecznie dotarli na miejsce. Przyjemnie nie było, ale nikt nie obiecywał wakacji, a jeśli już, to z przygodami. Takimi, jakie pamięta się przez resztę życia.

Całym zgrupowaniem sił specjalnych dowodzili tu oczywiście Amerykanie, natomiast „Drętwy”, teraz już kapitan (awansowany tuż przed wylotem na kolejną zmianę do Bagdadu za działania w czasie ataku GROM-u na platformę olejową KAAOT w Zatoce Perskiej), został przełożonym jednej z grup szturmowych i kilku snajperów GROM-u. „Robak” formalnie miał wesprzeć misję „Drętwego”, jednak w praktyce pełnił funkcję starszego oficera łącznikowego. Młodszy kolega zawsze szanował jego zdanie, w końcu to „Robak” go szkolił. Baza Camp Jenny Pozzi znajdowała się niedaleko lotniska, punkt dowodzenia zorganizowali sobie w tym betonowo-ceglanym budynku.

Obu snajperów zaniepokoił dziwny hałas dobiegający z zewnątrz.

– Co to, do cholery, może być? – rzucił „Robak” i spojrzał na siedzącego naprzeciw kolegę, który podniósł głowę.

Bez dłuższego zastanawiania wyszli na zewnątrz. Przed ich kwaterą był mały placyk. Po prawej stronie podwórza łącznościowcy stawiali wysoką

na dziesięć metrów antenę – za pomocą trzech stalowych linek przypięli ją na odciągach i metalowymi śledziami zakotwiczyli w spalonym słońcem glinianym klepisku. Obok rozłożyli kilka białych i czarnych siatkowych talerzy satelitarnych. Byli pracowitą ekipą, nie trzeba było im niczego powtarzać dwa razy i aż miło było patrzeć, jak pracują. Całe obozowisko wyglądało dość bojowo już choćby ze względu na siatki maskujące rozciągnięte nad kilkudziesięcioma namiotami wojskowymi rozstawionymi z tyłu, za budynkiem. Namioty rozbito w czterech rzędach i trzeba było przyznać, że ciekawie się skomponowały z rosnącymi tu okazałymi palmami daktylowymi.

Był wieczór. Drżące od upału powietrze i cała ta zieleń otaczająca placyk przed kwaterą „Robaka” i „Drętwego” kojarzyły się raczej z wakacjami gdzieś w Tunezji. Tę sielską atmosferę zakłócał tylko ostrzał, którego odgłosy dobiegały zza wysokich, betonowych murów. Można by pomyśleć, że jest się na jakimś przyjemnym i ciekawym obozie surwiwalowym w egzotycznym kraju. Nie był to jednak obóz przetrwania, lecz piekło z małymi przerwami na przetkanie sobie uszu po kolejnym wybuchu. A potem następnym i następnym. Oficerowie podnieśli głowy ku niebu. Nad nimi, na wysokości nie większej niż trzysta metrów, podchodził do lądowania gigantyczny transportowiec amerykańskich sił powietrznych Boeing C-17 Globemaster. Jeden z czterech silników maszyny został właśnie trafiony z granatnika RPG-7 lub ruskim pociskiem rakietowym ziemia–powietrze Strieła-2. Z lewego zewnętrznego wirnika wydobywał się długi warkocz ciemnego dymu. „Robak” otworzył szeroko oczy. Po chwili usłyszeli jeszcze jeden strzał z granatnika, tuż za murami ich bazy. Przygwoździł ich do klepiska podwórka ryk płonącego silnika, okropne wycie. Widok był niesamowity i przerażający: imponująca sylwetka transportowca na tle szarego nieba, nieco teraz rozjaśnionego przez poświatę z obrzeży Bagdadu. Wszystko wskazywało na to, że za chwilę staną się świadkami katastrofy lotniczej, jednak ku ich zdumieniu i wielkiej uldze, pilot zdołał wyłączyć trafiony silnik i pełną mocą pozostałych trzech poderwał ciężką maszynę mocno w górę. Samolot odleciał na drugi krąg w ciemne niebo i tylko z oddali słychać było, że ponownie podchodzi do

lądowania, ale już z przeciwległego kierunku, wypuszczając za sobą dwa sznury przeciwrakietowych flar.

– Da radę – mruknął „Drętwy”.

I obaj, kręcąc głowami, wrócili do swojej kanciapy.

– Będzie tu ostro, „Robak” – rzucił kapitan. – Dziś na odprawie mówili, że do naszych walą snajperzy Saddama, są usadowieni na wieżach, przy murach wokół bazy, wszędzie. W dzień ich nie znajdziesz, bo ich tu normalnie nie ma, ale gdy tylko zapadnie wieczór, to zaczynają strzelać do wszystkiego, co się rusza. Nawet, a może szczególnie, do samolotów. Czasem, skurwiele, podchodzą całkiem blisko. Bywa, że skaczą przez mury naszego obozowiska, ale głównie strzelają z oddali, z dachów budynków mieszkalnych, zza murów lotniska. Trochę na chybił trafił, jak ci od moździerzy. Ale nie jest to fajne. Wprawdzie non stop, w dzień i w nocy, latają patrole blackhawków, ale nic to nie daje. W nocy dobrze się kryją, a w dzień znikają w rodzinnych domach i udają pierdołowatych mieszczuchów. – Przerwał na chwilę, spojrzał przez okno, jakby chciał zebrać myśli. – Ostatnio wypracowali nową taktykę. Za dnia strzelają z pobliskich plantacji palm daktylowych. Śmigłowce się podrywają, a oni biorą granatniki i walą do nich jak do kaczek. Mają gdzieś, że zaraz śmigłowiec AH-64 Apache rozpieprzy ich w drobny mak. No, co za jatka…

18

Nazajutrz, godzina 8.00, Camp Jenny Pozzi, Bagdad

– Ej, „Drętwy”! – „Robak” poklepał kolegę po ramieniu. – Co ty jeszcze robisz w tym spleśniałym śpiworze? To, że nie wylazłeś na śniadanie, mogę jeszcze zrozumieć, ale chyba pomyliłeś ten przybytek z plażą Waikiki.

Major był uśmiechnięty i ogólnie zadowolony, że znowu pracuje ze swoim dawnym uczniem.

– Jak jest? – spytał zaspany „Drętwy”.

– Za dziesięć minut odprawa u sealsów.

„Robak” ziewnął, odsunął firankę i spojrzał w górę, na mury bazy. Słońce już dawno grzało, ale rano było tu jeszcze dosyć chłodno.

– Wyłaź, młody! Bo cię tu szuszwole[7] ustrzelą jak ten samolot wczoraj – rzucił wesoło, a potem podszedł do „Drętwego” i złapał go za piętę.

Dopiero jednak po dłuższej chwili długi prawie na dwa metry, czarny i cienki oraz pomięty w każdym możliwym miejscu śpiwór się poruszył. Najpierw wychylił się z niego palec i „Drętwy” powoli rozsunął suwak, ukazując swą rozczochraną czuprynę. Usiadł na łóżku, wyprostował nogi, popatrzył z lekka jeszcze nieprzytomnym wzrokiem najpierw przed siebie, a potem przez okno, przeczesał palcami sterczące włosy i podrapał się po dość już długiej, rudej brodzie.

– Ty w butach śpisz? – spytał zdziwiony „Robak”, widząc, jak kolega stawia stopy na ziemi.

– Też się czepiasz. Nad ranem jest zimno, a poza tym byłem na nocnej zmianie w QRF.

Ziewnął i niespodziewanie naciągnął na siebie śpiwór.

– Dobra, dobra, nie rozczulaj się już tak nad sobą – ponaglił go „Robak”. – Wstawaj, idziemy na odprawę sealsów.

„Drętwy” znów nieśpiesznie zasunął suwak śpiwora i schrypniętym głosem zaproponował:

– Panie majorze, myślę, że dobrze byłoby, gdyby na odprawę poszedł tylko jeden z nas. Ku chwale Ojczyny.

I definitywnie zaciągnął za sobą suwak śpiwora.

– Jak możesz oddychać w tym szczelnie zamkniętym worku?

W odpowiedzi usłyszał coraz bardziej miarowe chrapanie.

– Nie rób sobie jaj, wyłaź, trupie, z tego kokonu! – spróbował jeszcze.

Wiedział, że „Drętwemu” nie chodziło tylko o zmęczenie nocną służbą na hummerach w Camp Jenny Pozzi, lecz głównie o to, że nie lubił amerykańskich odpraw. Zauważył to już osiem miesięcy wcześniej, kiedy byli na misji w Kuwejcie i stacjonowali w Camp Doha. Kapitan znał wprawdzie angielski, ale coś go blokowało przed mówieniem w tym języku. Poza tym procedury stosowane w analizowaniu danych wywiadowczych i używane przez amerykańskich specjalsów standardy planowania operacji wciąż stanowiły dla niego wyzwanie. „Robak” zdawał sobie jednak sprawę, że skoro „Drętwy” jest już kapitanem, to musi się przełamać i zacząć odgrywać tu znaczącą rolę jako przedstawiciel dowództwa GROM-u. Zdążył go już naprawdę dobrze poznać i uważał, że to dobry i pojętny chłopak i tylko czasem wyskakuje z jakimś dziwacznym dowcipem, wyciągniętym ze swojego bogatego arsenału kretyńskich żartów, ale to akurat nie jest problem na froncie. Major nigdy jednak nie robił niczego na siłę.

– Nie to nie. – Machnął ręką. – Twoja sprawa, jak sobie chcesz. Może rzeczywiście lepiej zginąć w łóżku od ostrzału moździerzowego (mniej stresu) niż na tej okropnie stresującej odprawie!

Na te słowa „Drętwy” wyskoczył ze śpiwora i rzucił:

– Aleś ty upierdliwy. Chodźmy już na tę pieprzoną odprawę.

W sali odpraw panowała względna cisza, każdy ze specjalsów był czymś zajęty przy komputerze albo przy tablicy z wywieszonymi mapami Iraku. W salce ze ścianami ze sklejki dawało się wyczuć orzeźwiający

i przyjemny zapach porannej kawy – prawie każdy trzymał w dłoni styropianowy kubek z czarnym płynem.

– Dzień dobry, panowie – przywitał się dowódca sealsów, major Zii, wchodząc do sali odpraw zorganizowanej pod dużym namiotem. Pozdrawiał też oficerów lekkim kiwnięciem głowy.

Zaczął jednak szef sztabu sealsów, sierżant sztabowy:

– Zaczynajmy. Jedziemy z tym koksem.

I jak co dzień rozpoczęło się wstępne planowanie nadchodzących operacji specjalnych, które w polskim żargonie wojskowym określa się jako „orientowanie". Odprawa trwała około godziny. Polscy oficerowie dostali zadanie do zaplanowania i w ciągu kilku godzin razem ze swoimi chłopakami mieli wszystko opracować, by na wieczornej odprawie przedstawić plan działania amerykańskim sztabowcom. „Robak" wiedział, że może liczyć na chłopaków, bo większość z nich była z tego samego składu GROM-owców, który w 2003 roku brał udział w ataku na platformę naftową KAAOT w porcie Umm Kasr, a także w działaniach snajperskich w czasie bitwy pod Al-Fau. Wtedy szkolił ich na szybko, na bojowo, w Kuwejcie, teraz trzeba było tylko doszlifować niektóre rzeczy. „Drętwy" też już nieźle radził sobie na tym polu, musiał się tylko przełamać, aby zgrabniej poukładać całość i nie pękać podczas odpraw. Major co jakiś czas mu powtarzał: „Musisz być pewny siebie. Nie spinaj się, wyluzuj, przecież umiesz żartować, więc na początku, zanim zaczniesz, rzuć im jakiś dowcip i dalej samo pójdzie. Tylko nie ten o słoniach, błagam!".

„Robak" pamiętał swoje początki u Amerykanów, kiedy miał przedstawić plan dla dowódcy batalionu grupy sił specjalnych i rozpocząć omawianie operacji. Misja wydawała się bardzo trudna, ale kiedy przyszła jego kolej, wyszedł spokojnie, przedstawił się stopniem i nazwiskiem (bo tak wypadało, tak robili Amerykanie), odczekał chwilę i zaczął:

– Dziś wieczorem GROM się nigdzie nie wybiera.

Zapadła grobowa cisza. Amerykanie dopytywali się siedzących między nimi Polaków, czy aby dobrze go zrozumieli. Po czym „Robak" wciąż z poważną miną dodał:

– Żartowałem.

Po sekundzie sala wybuchła śmiechem razem z amerykańskim pułkownikiem. „Robak” umiał szybko rozładować panujące napięcie i spowodować, by zmordowani ciągłymi zadaniami specjalsi choć przez chwilę się wyluzowali. Współpraca pomiędzy sealsami i GROM-owcami układała się dobrze i przyjaźnie, amerykańscy i polscy żołnierze darzyli się zaufaniem, a swoim bezpośrednim sposobem bycia „Robak” jeszcze bardziej skrócił dzielący ich dystans. W siłach specjalnych trudno cokolwiek zdziałać bez elastycznego podejścia. Kiedyś po odprawie podszedł do niego amerykański sierżant i zaproponował kawę.

– Czemu nie, napijmy się – uśmiechnął się Polak.

Po omówieniu kilku ważniejszych kwestii Amerykanin spytał na koniec:

– Powiedz, jak myślisz, czy my, sealsi, różnimy się czymś od was, GROM-owców?

„Robak” nie filozofował.

– Myślę, że ogólnie to niczym szczególnym. Macie supersprzęt i doskonałe zabezpieczenie, a my nie zawsze. Wiesz, jak jest. Ale poza tym jest spoko.

Rozmówcę najwyraźniej usatysfakcjonowała ta odpowiedź. „Robak” krok po kroku budował zaufanie sealsów do GROM-owców i do znudzenia powtarzał „Drętwemu”: „Lęk bierze się z niedostatków wiedzy. Zawsze tak było i będzie. Ludzie boją się tego, czego nie znają, natomiast wiedza cholernie dużo zmienia. Gdybyś zawsze wiedział, co cię spotka, co będzie jutro, czy wrócisz w jednym kawałku, nigdy niczego byś się nie bał. Ale my jesteśmy żołnierzami i ta niepewność jest naszym chlebem powszednim. I to jest w porządku. Ale co do pozostałych rzeczy, takich jak angielski, taktyka, zachowanie w terenie – wiedza jest decydująca. Wiesz, kiedy zyskasz pewność siebie? Kiedy będziesz wypełniony tą wiedzą po uszy i – co ważniejsze – kiedy zdasz sobie sprawę z tego, że ją masz. To cała tajemnica”.

19

Życie na chybił albo trafił. Bagdad, listopad 2003 roku. Baza sił specjalnych

Podeszwy wojskowych butów dudniły przy każdym kroku stawianym na spieczonej słońcem czerwonawej ziemi. „Drętwy” w T-shircie koloru khaki pędził tak szybko, jak to tylko było możliwe, podtrzymując prawą dłonią przewieszony przez plecy karabinek maszynowy M-4. Do najbliższego schronu miał jeszcze trzydzieści metrów, z prawej strony muru, zza betonowych, wysokich na co najmniej trzy metry płyt, coraz wyraźniej słychać było świst nadlatującego granatu moździerzowego. Nauczył się rozpoznawać już niemal każdy rodzaj ostrzału prowadzonego w kierunku ich bazy. Nasilający się w tej chwili gwizd zapowiadał poważne kłopoty dla kapitana, który znajdował się w bardzo niewłaściwym miejscu i czasie. Ataki na bazę nie były żadną nowością, ale akurat teraz, jak nigdy dotąd, ładunek nadlatywał po łukowatej trajektorii dokładnie tam, gdzie znajdował się polski żołnierz wracający właśnie z kąpieli do swojego pokoju w Camp Jenny Pozzi.

Uznał, że zostały mu nie więcej niż dwie sekundy – jak pamiętacie, sekunda to sporo czasu, a co dopiero dwie, ale teraz to było niestety za mało. „Drętwy” mógł jedynie paść na glebę, szorując nakolannikami po ziemi. Próbując wyrzucić karabin jak najbardziej do przodu, uderzył w twarde klepisko. Wyrżnął lewym łokciem w podłoże, przylgnął do ziemi i czekał. Minął jeszcze ułamek sekundy i świst nadlatującego pocisku zamienił się w silną eksplozję, wzbijając tuman czerwonego kurzu, który zasypał rozpłaszczonego Polaka.

„Drętwy” poczuł drżenie ziemi pod sobą i dookoła. Poleciały na niego odłamki odległego o czterdzieści metrów betonowego muru i pokryła go warstwa kurzu. Oszołomiony hukiem, przez pewien czas słyszał tylko metaliczne brzęczenie w uszach, między zębami zgrzytały mu ziarenka

piasku i rozkruszony beton. Otarł z oczu czerwony pył, próbując oprzytomnieć w całym tym zgiełku i zorientować się, czy jest w jednym kawałku i czy jego głowa działa jak należy. Zdarza się bowiem, że rzut adrenaliny powoduje, iż nawet bardzo poważnie ranny żołnierz nie zdaje sobie sprawy ze swojego stanu. Poszkodowany nie czuje bólu, jego mózg pracuje tak, jakby był pod wpływem silnych narkotyków, a świat wydaje się mniej realny. Zanim sygnalizacja międzykomórkowa zacznie działać prawidłowo, może upłynąć sporo czasu. Podwyższony poziom noradrenaliny potrafi utrzymywać się naprawdę długo. Reakcją na silny stres może być oszołomienie, zawężenie pola świadomości czy zaburzenie orientacji. Po wybuchu ranny dość długo może nie odczuwać nawet utraty którejś z kończyn. Bywa, że na polu walki żołnierze w stanie szoku oglądają ze zdziwieniem swoją oderwaną przez pocisk nogę i mają trudności z pojęciem, co się stało. Ból przychodzi później – straszliwy, niewyobrażalny, przekraczający granice wytrzymałości.

„Drętwy” miał jednak sporo szczęścia. Obraz obozowiska powoli zaczął mu się wyostrzać, widoczne z prawej strony poszarpane elementy zbrojenia betonowego muru zyskały wyraźne kontury. Mur jeszcze stał, natomiast po pięciometrowej rozłożystej palmie daktylowej pozostały tylko drzazgi. Pokiereszowane liście opadły niczym śnieg na ziemię wokół leja po eksplozji pocisku moździerzowego, a korzeń drzewa wylądował zaledwie parę metrów od „Drętwego”. Kapitan wiedział mniej więcej, w co przypieprzył pocisk, teraz przyszedł czas na najtrudniejszy moment: ocenę strat. Spojrzał przed siebie. Z lewej strony w odległości dwu metrów dostrzegł ciemne, wąskie i prostokątne wejście do betonowego schronu okrytego szczelnie oliwkowozielonymi workami i drucianymi koszami z kruszywem. „Miałem szczęście czy pecha?” – przemknęło mu przez myśl. Zrozumiał, że zabrakło jednego, góra dwóch susów, a byłby bezpieczny w środku. Ale nie zdążył i to mógł być jego ostatni w życiu niefart. Powoli się uspokajał. Nieśpiesznie wracał mu słuch, wyłapywał już pojedyncze słowa wypowiadane w oddali.

– Panie kapitanie, „Drętwiak”! Dawajcie szybko na pakę.

Zaczął się oklepywać i szybko uznał, że chyba nic mu nie jest. Teraz trzeba wstać, otrzepać się, przejrzeć na oczy, zobaczyć, czy ciało reaguje prawidłowo. Z oddali któryś z dyżurnych dowódców patrolu szybkiego reagowania krzyczał coś na całe gardło i „Drętwy” zorientował się, że to nie koniec kłopotów. Jeśli to możliwe, powinien się stąd jak najszybciej zbierać. Podniósł się z ziemi i złapał równowagę. Ponad wszelką wątpliwość miał obie ręce i obie nogi, zakładał, że i z głową raczej także wszystko w porządku. Chwycił mocniej za rękojeść karabinka szturmowego i zaczął iść, a po chwili nawet biec. Nie czuł bólu, tylko zawroty głowy, z którymi będzie musiał sobie jak najszybciej poradzić. W biegu zdążył jeszcze przeładować broń, dopadł drzwi parterowego betonowego budynku, chwycił za klamkę i wszedł do swojej kwatery. Podbiegł do ściany obok łóżka, na które rzucił na chwilę broń, zdjął z haków kamizelkę kuloodporną i taktyczną, narzucił je na siebie i dopiął dużą plastikową klamrę pasa nośnego. Chwycił jeszcze hełm, który dość ostrożnie włożył na głowę z niedopiętym, wiszącym w okolicach podbródka paskiem. Jeszcze tylko okulary przeciwsłoneczne, karabinek i gramy dalej. Był już w pełni przytomny i gotowy do walki. Przez małe kwadratowe okno pokoju widział i słyszał odpalone przed chwilą trzy hummery. Gunnerzy wpinali szerokie taśmy amunicji, energicznie dociskając profile blaszanych klap na pokładowych karabinach maszynowych. „Robaka” nie było wtedy w bazie, uczestniczył w tym czasie w odprawie w HQ (Headquarters), czyli w kwaterze głównej sztabu połączonych sił specjalnych.

„Drętwy” wyszedł na zewnątrz i wskoczył do najbliższego ruszającego powoli hummera. Cała kolumna odjechała w kierunku wewnętrznej bramy obozu. O nic nie pytał, podobnie jak jego koledzy z wozu doskonale wiedział, że to kolejna próba przeprowadzenia punktowego, miejscowego zorganizowanego ostrzału – „szarpanego napadu” bojowników irackich na wybrany odcinek amerykańskiej bazy wojskowej. Takie nękanie przez Irakijczyków było na porządku dziennym: ostrzał z granatników, moździerzy, przy użyciu rakiet różnego kalibru nie był – o czym już wiecie – niczym nadzwyczajnym. Zdarzało się, że przebrani w cywilne

ciuchy wojskowi obalonego reżimu Saddama Husajna nocą usiłowali przedrzeć się przez podwójne ogrodzenie, a gdy im się to jakoś udało, w kilkuosobowych grupach przemieszczali się po bazie, między budynkami, kontenerami i namiotami, próbując zabić choćby jednego „niewiernego". Na szczęście te próby niemal zawsze kończyły się przy ogrodzeniu, i to najczęściej po jego zewnętrznej stronie. System ochronny i obronny bazy działał dwadzieścia cztery godziny na dobę i zwykle się sprawdzał. Nikt z GROM-u nie zginął wskutek napadu intruzów z zewnątrz.

Hummery wyjechały za mury Camp Jenny Pozzi, kierując się szutrową drogą do kolejnej bramy, bo najprawdopodobniej stamtąd został przeprowadzony atak. Kolumna miała do pokonania jeszcze jakieś dwieście metrów. Jednak zaledwie kilkanaście metrów za bazą zatrzymały ją gwałtowne serie z broni automatycznej. Pierwszy hummer zdążył się jeszcze przemknąć i schować za pierwszym napotkanym betonowym budynkiem. Drugi pojazd oberwał długą serią pocisków, która przeorała maskę, ale na szczęście nie spowodowała większych szkód i kierowca zdołał dojechać do miejsca, gdzie stał pierwszy wóz. Kierowca trzeciego zahamował jeszcze w bramie i obserwował całą sytuację, czekając na odpowiedni moment. Po chwili ruszył gwałtownie, chcąc dołączyć do pozostałych. Irakijczycy, jak się okazało, prowadzili ostrzał zza lasu palmowego, mniej więcej trzysta metrów od bramy wyjazdowej.

„Drętwy" rzucił okiem na zewnętrzne ogrodzenie po prawej – podwójne, bardzo długie i naprawdę wysokie. Wzdłuż muru, w równych odległościach wznosiły się wieżyczki obserwacyjno-ochronne ze sklejki, obłożone workami z piaskiem. Po kilku sekundach od momentu gdy „Drętwy" właśnie tam zaczął wypatrywać napastników, umilkł na chwilę karabin maszynowy, a nagły wystrzał z granatnika RPG-7 zagłuszył wszystko. Pocisk rakietowy lecący długim poziomym łukiem w kierunku wieży wartowniczej wpadł w jej otwór okienny i wypadł z drugiej strony, mknąc dalej w głąb bazy wojskowej. I dopiero tam, na terenie martwej strefy pomiędzy dwoma ogrodzeniami, eksplodował. „Drętwy" przymknął na chwilę oczy, bo miał poważne wątpliwości, czy aby na pewno z jego

wzrokiem i głową wszystko jest w porządku, tym bardziej że zaledwie kilka minut wcześniej wybuch w bazie omal go nie zabił.

Dwaj żołnierze w kevlarowych hełmach natychmiast podnieśli się z podłogi wieży wartowniczej, jakby z niedowierzaniem, ciesząc się jak dzieci, bo właśnie cudem uniknęli śmierci.

– Walcie w nich, no! Dawać chłopaki, na ostro! Na taniec szczęścia jeszcze przyjdzie czas! – fuknął pod nosem „Drętwy”, z niepokojem obserwując sytuację.

Na poprawkę nie musieli długo czekać. Rakieta z drugiego RPG-7 tym razem uderzyła trochę poniżej, na wysokości wysuniętych z okna wieży worków z piaskiem. W środku wieży zakotłowało się i zadymiło, ale wieżyczka wytrzymała i to uderzenie. Tym razem Amerykanie odpuścili sobie świętowanie i zaczęli pruć ze swoich karabinów maszynowych w stronę lasu palmowego, z którego odpalono kolejne rakiety wycelowane w bazę. Kolumna hummerów ruszyła do przodu i podjechała kilkadziesiąt metrów do następnego, nieco niższego budynku, który miał stanowić pozycję wyjściową do przeprowadzenia kontrataku. Gdy tylko pojazdy się zatrzymały, natychmiast wysypali się z nich szturmowcy pod dowództwem kapitana „Milimetra” (miał ponad dwa metry wzrostu), młodego i krzepkiego oficera. „Drętwy” nie komentował tej decyzji, ale zachowywał czujność, pilnując, by sytuacja nie wymknęła się spod kontroli niezbyt jeszcze doświadczonemu „Milimetrowi”. Obsługa granatnika Carl Gustaf wdrapała się na dach budynku, przy którym zgrupowały się hummery, czy raczej tego, co z niego pozostało, bo chałupa już wcześniej oberwała z granatnika, i to pewnie nie raz. Minęła chwila, nim ładowniczy wpakował do środka granat odłamkowo-burzący, zamknął dyszę odrzutową granatnika, ciasno dociskając dźwignię zamka, i klepnął celowniczego na znak, że gotowe. Sam błyskawicznie przeturlał się na prawo, zbierając przy okazji na swój mundur zalegający na dachu biały pył.

„Drętwy” z chłopakami zajęli pozycję w gruzowisku przed budynkiem. Na razie nikt nie strzelał. GROM-owcy z daleka próbowali namierzyć miejsce, gdzie mógł ukrywać się przeciwnik. To był niezły punkt obserwacyjny: przed nimi znajdowała się rozległa przestrzeń, dobrze

widoczna na odcinku przynajmniej pięciuset metrów otwartego terenu pomiędzy ogrodzeniem bazy a ciągnącą się kilometrami ścianą lasu palmowego. Nie trzeba było specjalnie wysilać mózgownicy, by stwierdzić, że właśnie stamtąd Irakijczycy prowadzili ostrzał. Teraz ucichli, bo zauważyli wyjeżdżające hummery, a z oddali dobiegał już odgłos silników dwóch śmigłowców szturmowych Apache AH-64. „Milimetr” wisiał na słuchawce radiostacji i podawał Amerykanom w bazie pozycję naszych. „Drętwy” odetchnął. Widać było, że młody ogarnia sytuację, pamiętał, że rejon, za który odpowiadają Polacy, kończy się właśnie tutaj i nie powinni zgrywać kozaka, i wypuszczać się dalej.

Zresztą nie trzeba było długo czekać – po kilkudziesięciu sekundach śmigłowce pojawiły się nad lasem palmowym i wycięły w nim kilka „przerębli”, aż ziemia się zatrzęsła. Apache krążyły jeszcze przez jakiś czas nisko nad koronami palm, ale jeśli myślicie, że Irakijczycy wymiękli, to się mylicie. Po chwili ku niemałemu zaskoczeniu wszystkich jeden ze śmigłowców zaczął mocno dymić, bo właśnie oberwał rakietą z RPG-7. Drugi odpalił kilka rakiet, aż palmy stanęły w płomieniach, po czym pilot poderwał maszynę, asekurując jednocześnie dymiącego Apache’a wracającego na resztkach mocy silników do bazy. „Milimetr” czekał. Trzeba się było upewnić, czy nieproszeni goście są już u Allacha, bo w przeciwnym razie cały wysiłek na nic. Znowu zaczną rąbać.

– Ile czasu będziemy tu siedzieć, panie kapitanie? – spytał kierowca hummera.

– Co najmniej godzinę – odparł „Drętwy”. – Ale decyzja należy do dowódcy. Jego pytaj.

Nie minęły dwa kwadranse, a „dranie” ponownie dały o sobie znać. Tym razem seria pocisków poszła zdecydowanie w kierunku GROM-owców. Celowniczy granatnika nie musiał się już wiele zastanawiać i wycelował w dobrze teraz określony rejon ostrzału. Z dachu rudery, na którym zaczaili się chłopcy, huknął wystrzał i wzbiła się chmura kurzu, która następnie zasypała strzelca stojącego w wieżyczce hummera tuż za ścianą budynku. Chłopak ani drgnął. Trzymał twardo lufę pięćdziesiątki, ubezpieczając strefę wzdłuż drogi, wyglądał trochę jak figura z gipsu, ale ignorował

wszystko, koncentrując się na celu zlokalizowanym w lesie palmowym, gotowy do kontrataku. „Drętwy” zerknął na „Milimetra”, który poderwał się raptownie, podbiegł na tył budynku, wspiął się po dziurawym murze na dach i nakazał obsłudze granatnika natychmiast zmienić stanowisko. Po chwili chłopcy zsunęli się z dachu i zajęli pozycje na ziemi, przy budynku. „Drętwy” podniósł się, by wyjąć z hummera swoją lornetkę. Chwycił ją, wyskoczył z wozu i wrócił na pozycję na zewnątrz.

Kilka metrów z przodu dogorywał wrak doszczętnie spalonego i zardzewiałego samochodu osobowego trudnej do określenia marki. „Drętwy” podczołgał się do wraku, położył dłonie na czole, osłaniając oczy od słońca. Teraz łatwiej mu było wypatrzeć w polu widzenia szczegóły na skraju lasu. Mógł już z dokładnością do kilku metrów określić, gdzie się tamci szuszwole ukrywają. Przyłożył lornetkę do oczu i bardzo ostrożnie, trzymając ją nisko nad ziemią, wpatrywał się w palmy. Znów padły strzały, tym razem pojedyncze. Odruchowo przytulił głowę do ziemi, ale wiedział już wszystko. Z tyłu podczołgał się do niego „Milimetr”, także z lornetką w dłoni. Obaj raz jeszcze spojrzeli na przedpole.

– Myślę, że to ciemne sześćset metrów przed nami to spalony iracki czołg – rzucił „Drętwy”. – Siedzą ze czterdzieści metrów na lewo od niego.

– Na tle tych dymiących palm?

– Tak. Widzisz te krótkie błyski?

– Nie bardzo.

– To ich wyświechtane kałachy tak świecą, wiercą się w miejscu i boją ruszyć. Pewnie zostaną tam do nocy.

– Nie widzę…

– Są tam, uwierz mi – uśmiechnął się ponuro „Drętwy”. – Szkoda, że nie mamy tu snajperki. Swoją zostawiłem na kwaterze. Można by dokładniej pozamiatać.

– Trudno, poprawimy tam odłamkowym – zaproponował „Milimetr”.

– Dobra. Nie pozwólmy im się nudzić.

„Milimetr” dał znak chłopcom od granatnika, żeby podeszli bliżej wraku. „Drętwy” przesunął się trochę w lewo, robiąc im miejsce.

– Wiecie, o co chodzi? – spytał na wszelki wypadek.

– Tak jest, panie kapitanie, wiemy – odparł celowniczy i zaczął wydrapywać czubkami swoich butów niewielkie dołki, by się mocniej zaprzeć nogami.

Przechylił głowę nieco w prawo, spojrzał przez celownik, podniósł jeszcze trochę wylot rury carla gustafa, a następnie odpalił pocisk. Rąbnęło tak, że riff gitarzysty z zespołu metalowego zabrzmiałby przy tym jak pierdnięcie komara. „Drętwy” sprawdził przez lornetkę, czy „przesyłka” trafiła na miejsce, i przekonał się, że wyrąbała kilka palm dokładnie tam, gdzie było trzeba.

– Chyba po sprawie – powiedział i odłożył lornetkę.

Pomocnik strzelającego na wszelki wypadek otworzył dyszę granatnika, ale w tym momencie oficer chwycił go za ramię i dał znać, że wystarczy.

– Na pewno, panie kapitanie? – spytał celowniczy.

„Milimetr” zerknął na „Drętwego”, który przytaknął.

– Na wszelki wypadek poczekajmy jeszcze z powrotem do bazy.

Mniej więcej trzydzieści minut później wszystkie hummery wróciły do Camp Jenny Pozzi.

Wchodząc do pokoju, „Drętwy” pomyślał, że ta noc nie będzie spokojna.

Na łóżku po prawej siedział „Robak” i przeglądał swoje zapiski w brązowym notatniku.

– Jak było? – zapytał.

– Rozrywkowo.

– A bez metafor?

– Na chybił trafił. Oni nas tu widzą w dzień, a my ich nie – odparł „Drętwy”, zrzucając z siebie całą przepoconą i zakurzoną „uprząż”.

– Ale za to my ich widzimy w nocy, a oni nas nie – pocieszył go „Robak”, lekko się uśmiechając.

20

Relaks

W Iraku żołnierze nieczęsto mieli wolną chwilę. Czasem jednak udawali się nad pobliski sztuczny staw. Zbiornik miał kształt trapezu i znajdował się w obrębie murów zewnętrznych bazy. Był dość duży, miał wymiary dwustu, dwustu pięćdziesięciu metrów na jakieś sto metrów. Wokół stawu biegła szeroka na metr ścieżka wyłożona starym i popękanym od słońca asfaltem. Był to jeden z wielu zbiorników wodnych utworzonych z myślą o wypoczynku ludzi związanych z reżimem Saddama Husajna. Niektórzy z naszych wczesnym rankiem, by uniknąć skwaru, biegali po dróżce, robiąc czasem i kilkanaście okrążeń wokół stawu. Tak organizowali sobie coś na kształt joggingu. Brzeg stawu porastało gęste, wysokie na trzy metry i wchodzące dwa metry w głąb wody trzcinowisko z tylko dwoma wąskimi, wyciętymi maczetami przejściami, którymi można się było dostać do lustra wody. Przy jednym z nich leżała wysunięta na brzeg stara dwuosobowa, biała łódka wywrócona do góry dnem.

W stawie było sporo ryb, głównie karpi, a kiedy chłopaki miały tę rzadką okazję, by się choć trochę zrelaksować, wybierały się na ryby. Kilkuosobowa ekipa wędkarzy kombinowała prowizoryczne wędki i udawała, że życie może toczyć się w miarę normalnie. Chłopaki łowiły ryby i rozpalały surwiwalowego grilla, żeby je upiec. Raz logistyk pomylił sól z cukrem i zamiast posolić płaty ryb, niechcący je posłodził. Nie chciało mu się niestety wracać do bazy, żeby odczarować rybki, a za to haniebne wykroczenie nie można go było dotkliwie ukarać – szkoda tracić logistyka, chłopina czasem się przydaje. Po raz pierwszy w życiu zjedliśmy posłodzone karpie. Wydawało się, że „Drętwemu” słodka ryba grillowana z cebulą nawet smakowała, w każdym razie jadł kawałek po kawałku, zachowując kamienną twarz. Kapitan nie miał wysokich wymagań od życia, a teraz liczyła się tylko chwila wytchnienia od cholernej „strefy

śmierci”. Przy wspólnym grillowaniu „Drętwy” co jakiś czas próbował opowiedzieć jeden ze swoich kawałów, wtedy zwykle któryś z chłopaków błyskawicznie dokładał jeszcze jeden płat ryby i życzył dowódcy smacznego. To zwykle działało.

Któregoś dnia, zaraz po wschodzie słońca, „Drętwy” i kilku innych wędkarzy wybrali się nad staw, ale po godzinie grupa amatorów wędkowania stopniała. Został tylko „Drętwy” i jeszcze jeden GROM-owiec. Weszli do łódki i wypłynęli na środek stawu, żeby sprawdzić, czy aby nie ma tam okazalszych rybek. Płynęli już z powrotem do brzegu, kiedy nagle zza trzcinowiska na przeciwległym brzegu padły strzały. Obaj niemalże jednocześnie spojrzeli w kierunku, z którego do nich strzelano, żeby jakoś ocenić sytuację, ale kiedy moment później łódka oberwała serią pocisków, przestali się zastanawiać – rzucili wędki i wskoczyli do wody, kryjąc się za łódką.

– Ożeż kurwa! – zaklął zadyszany „Drętwy”. – Spieprzamy stąd.

Wystrzelono kolejną serię, ale tym razem nie w łódź, tylko znacznie dalej, tak jakby napastnicy założyli, że GROM-owcy płyną pod wodą.

„Drętwy” jak najciszej zszedł pod wodę i zaczął płynąć. Podczas ćwiczeń na basenie na jednym oddechu przepływał pod wodą jedną jego długość, czyli dwadzieścia pięć metrów, ale w bagdadzkim stawie pociągnął jeszcze parę metrów ponad to i wynurzył się tuż przed trzcinowiskiem. Dał nura między zarośla i padł na ziemię, a następnie zaczął szukać wzrokiem młodego, który wynurzył się niemal w tym samym miejscu i równie szybko ukrył się w trzcinach.

– Strzelają?! – sapnął zachlapany jeszcze wodą na twarzy żołnierz.

– Spierdalajmy stąd, zanim nas i tu sięgną – oznajmił „Drętwy” i rzucił się do biegu, tratując wszystko, co stawało mu na drodze, byle jak najdalej od stawu.

Drugi GROM-owiec też nie czekał na oklaski. Żołnierze niemal jednocześnie wybiegli z trzcinowiska i sprintem pognali do bazy odległej czterysta metrów od stawu. Tam już trwał alarm bojowy. Do akcji ponownie ruszyły hummery z Sił Szybkiego Reagowania, jednak zanim dojechały na

miejsce, wartownicy na wieży odstrzelili już irackiego robotnika z kałachem w ręku. Po oddaniu strzałów w kierunku łódki na stawie odwrócił się i zaczął walić w wieżyczkę wartowniczą, ale zanim się zorientował, padł martwy, tam gdzie stał.

– Dobrze, że te trzciny były gęste i wysokie, bo gdyby tam siedział zawodowiec, toby nas rozpieprzył w drobny mak – powiedział „Drętwy” do młodszego kolegi, gdy byli już bezpieczni w bazie.

– Wolę o tym nawet nie myśleć.

– Pieprzyć ryby!

Tak się skończyło wędkowanie w irackim stawie.

21

Bagdad, grudzień 2004 roku

– To musi być ten wysoki budynek po drugiej stronie ulicy. Tak przynajmniej pokazuje strzałka na wyświetlaczu GPS – szepnął jeden z komandosów.

Dwaj GROM-owcy w czarnych nomexowych kominiarkach na twarzach i snajperskich mundurach z szaro-białym kamuflażem zatrzymali się w ciemnym zaułku jednej z ulic południowo-wschodniego Bagdadu. Było kilka minut po północy. O tej porze na peryferiach irackiej stolicy ulice były słabo oświetlone, właściwie jedyne, co je rozjaśniało, to dochodząca z centrum poświata. Ulice w dzielnicy Makasib są o tej porze niemal całkiem opustoszałe. Na popękanych betonowych chodnikach przy wąskiej asfaltowej uliczce, gdzie znaleźli się obaj snajperzy, stały samochody. Były stare, zdezelowane, czasem porzucone. Od czasu do czasu dało się zauważyć ciemną sylwetkę psa wałęsającego się od śmietnika do śmietnika w poszukiwaniu czegoś do zjedzenia. Bagdadzkie kundle, jak rudy kudłacz, którego GROM-owcy dostrzegli tamtej nocy, zachowywały się bardzo czujnie. Często podnosiły łeb znad nieobgryzionej kości czy resztek zbutwiałego opakowania po smalcu, nastawiały uszu, by sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Zwierzęta znacznie szybciej niż ludzie potrafiły się zorientować, że coś nie gra. I tym razem właśnie tak było – kundel już poczuł zapach ludzkiego potu po drugiej stronie ulicy, ocenił, że nie zwiastuje on dla niego nic dobrego, więc porzucił jedzenie, by błyskawicznie zniknąć gdzieś w ciemności. I dopiero kiedy uznał, że znalazł się w bezpiecznej odległości, dla podreperowania nadwątlonego honoru kilka razy szczeknął.

„Robak” i „Drętwy” usłyszeli to szczekanie, kiedy pies był już dość daleko. Powoli i pewnie przesuwali się jeden za drugim wzdłuż ścian kilkupiętrowych budynków mieszkalnych. Minęli stary hotel i zatrzymali

się w zaroślach palm daktylowych przy ogrodzeniu lokalnej szkoły. Każda otwarta brama czy wnęka prowadząca do wewnętrznych, wybetonowanych dziedzińców stanowiła zagrożenie, więc wówczas kryli się błyskawicznie, wykorzystując do tego wszystko, co napotykali po drodze, a przede wszystkim panujące ciemności. To ważne, by zauważyć każdego, kto idzie ulicą, a jeszcze ważniejsze, by przemknąć niezauważenie pod bokiem tutejszych snajperów. GROM-owcy nieśli swoje karabiny na plecach przewieszone przez ramiona, lufami do góry i nieco wciśnięte w niezbyt duże plecaki. W dłoniach trzymali pistolety Browning HP.

Jeszcze chwila i będą w bramie prowadzącej do sześciopiętrowego bloku, jednego z najwyższych w tym rejonie. Wiedzieli, że z jego dachu będą mieli świetny widok na całą okolicę, szczególnie jednak interesował ich oddalony o niecałe dwa kilometry bagdadzki port lotniczy. To gdzieś stąd musieli strzelać iraccy snajperzy lub – jak donosił wywiad – najemnicy pochodzący z Syrii czy Iranu. W ciągu ostatnich dwóch tygodni znacząco nasilił się ostrzał. Tydzień wcześniej oberwał kapelan wojskowy z grupy rotowanych do domu Amerykanów. Stał w jednym z dwóch rzędów żołnierzy ustawionych w gotowości do załadunku i zabrakło mu ledwie kilku kroków do opuszczonej rampy prowadzącej do samolotu. Snajper przeorał duchownemu hełm, odprysk trafił go w czaszkę w okolicy oka. Przeżył, choć niewiele brakowało… Tu akurat ofiara była przypadkowa, ale rzeczywiście po wojskowych kapelani, księża i inni duchowni chrześcijańscy stanowili szczególnie popularny cel islamistów.

Amerykanie i GROM-owcy słusznie rozumowali, że skoro strzelający w kierunku pasa startowego lotniska snajperzy są w stanie „zmieścić” pocisk ponad wysokim na cztery metry murem z betonowych ścian oporowych, muszą kryć się w najwyższych w tej dzielnicy budynkach. Wydzieloną wojskową część lotniska okalało betonowe ogrodzenie. Podwójne, a miejscami nawet potrójne. Pomiędzy tymi pasami betonowych ścian rozmieszczono wieże wartownicze, a wzdłuż murów co kilkadziesiąt metrów stały okopane i w pełnej gotowości do wystrzału amerykańskie czołgi Abrams M1. Wszystko to przypominało fortecę jak z filmu *Mad Max*.

Istniał jednak mały problem. Snajperzy wiedzieli, że upatrzony przez nich budynek, w którym mieścił się iracki bank, na początku wojny z Saddamem Husajnem został trafiony rakietami z samolotu F-16. Był od dawna opustoszały, a jego klatka schodowa wyglądała jak Nowy Orlean po przejściu huraganu Katrina. GROM-owcy weszli do środka. „Drętwy” przyklęknął tuż przy wejściu, by mieć oko na dziedziniec, który właśnie minęli. „Robak” natomiast przez odgięte i pordzewiałe drzwi z blachy wszedł do środka. Wnętrze było ciemne, panowała tam martwa i dość przerażająca cisza, śmierdziało stęchlizną. Major uważnie zlustrował to, co pozostało po klatce schodowej – bezużyteczne już metalowe balustrady wisiały powyginane od uderzeń fragmentów zbrojonego betonu pokruszonego przez eksplozję. Wyjął z kieszeni na rękawie małą latarkę czołówkę i oświetlając podłoże czerwonym światłem, sprawdził, czy na zapylonej posadzce z kremowych kafelków są ślady butów. Były właściwie wszędzie. Z lewej strony zauważył wyrwaną metalową kratę i pusty szyb windowy. Ruszył w tym kierunku, wychylił się lekko do przodu, trzymając się jedną ręką wielkiej śruby wystającej z krawędzi futryny. Spojrzał w górę, cofnął się, złapał równowagę i zdjął czerwoną szybkę latarki. Potem powtórnie się wychylił, oświetlając otoczenie białym światłem, i spojrzał w górę. Zastanowił się chwilę, po czym wrócił po kolegę.

– Jak jest? – spytał „Drętwy”.

– Porozpieprzane wszystko, ale szybem da się chyba wejść.

– To sześciopiętrowy budynek…

– Co zrobić? Nie ma tam innej drogi.

– Drabinka ewakuacyjna na zewnątrz elewacji?

– Odpada. Po pierwsze, drabinka zaczyna się dwa metry nad poziomem ulicy i jest osłonięta obręczami, więc nie zmieścilibyśmy się ze sprzętem, a po drugie, gdyby nas namierzył któryś z tych najemników, zrobiłby nam z dupy jesień średniowiecza. No i nie wiemy, czy nie jest urwana na górze.

– Jasne. To co robimy? Winda stoi gdzieś w połowie, moim zdaniem na trzecim piętrze.

– Damy radę, włazimy na trzecie i sprawdzimy, jak tam jest. Wygląda na to, że tam też nie ma drzwi. Potem zobaczymy, czy da się iść wyżej klatką.

Pójdziemy po wystających w szybie kratownicach – stwierdził „Robak”.

– A nie po tych dwóch stalowych linach aż do pudła windy? – zastanawiał się półgłosem „Drętwy”.

– A niby jak chcesz się wpiąć w te sztywne stalowe liny? – podsumował go „Robak”.

– A może na „małpę” za pomocą prusika.

– Tak, akurat w te upaprane smarem „druty”, no ciekawe rozwiązanie. Wchodziłeś tak kiedyś? Po stalowej linie? Bo ja tak, kiedyś z Amerykanami, i to na wyższy blok niż ten, po lukach windowych. Tyle tylko, że wtedy mieliśmy specjalne stalowe „łapy” zakładane na buty i rolki w rękach. Wspinając się, wyglądałem jak kot z wygiętym grzbietem, gdy zajadły i ciężko przestraszony gotuje się do sprężystego skoku z pazurami na wielkiego psa.

– Dobra. Pan przeciera szlak, panie majorze, czy ja?

– Ja wchodzę pierwszy, a ty zaczepisz do linki cały nasz sprzęt. Gdy wejdę, wciągnę po kolei najpierw karabiny i plecaki, a na końcu pomogę ci we wspinaczce. Jasne?

– Jasne.

– Dawaj linę.

„Robak”, nie czekając na „Drętwego”, wyjął ze swojego plecaka kilkumetrowy kawałek czarnej taśmy rurowej i zręcznie zaplótł ją sobie między udami i wokół pasa, a na koniec spiął wszystkie pętle z przodu aluminiowym karabińczykiem. Była to prowizoryczna, ale sprawdzona metoda na wykonanie alpinistycznej uprzęży biodrowej. Chwycił teraz za końcówkę liny, którą podał mu właśnie „Drętwy”, i przywiązał ją sobie z boku do taśmy biodrowej.

– Gotowe – obwieścił. – Zrób to samo, zanim ja wejdę na górę. Dasz radę? – uśmiechnął się, drwiąc przez chwilę z „Drętwego”.

Obaj rozejrzeli się jeszcze dookoła, podeszli do szybu i rozpoczęli akcję. „Robak” mozolnie przesuwał się w górę, ledwo sięgając czubkami palców do kolejnej krawędzi przerdzewiałej kratownicy. Adrenalina sprawia zwykle, że przy takiej wspinaczce stopy i dłonie pracują jak szczęki zaciskowe imadła i są silne jak u orangutana. „Robak” czuł, jakby sprzęt

wspinaczkowy nie był mu wcale potrzebny. Wprawdzie przypinał od czasu do czasu kawałek lonży do kolejnego elementu kratownicy, ale i bez tego był pewien, że nie odpadnie od ściany luku windowego. Minął może kwadrans, kiedy stanął w otworze wyjściowym na trzecim piętrze. Odłączył przywiązaną do taśmy biodrowej linę, wciągnął ją dalej na piętro i przywiązał do poręczy schodów. Spojrzał jeszcze na klatkę schodową i już wiedział, że tędy dalej nie przejdą: same dziury i wiszące pręty. Wrócił do szybu i szarpnął liną.

„Drętwy” przypiął teraz snajperkę „Robaka”, który wciągnął ją ostrożnie do góry, po czym przymocował broń kolegi, a na końcu oba plecaki.

Teraz przyszła kolej na wspinaczkę „Drętwego”.

Złapał zwisający z góry kawał liny asekuracyjnej, zrobił na niej pętlę i wpiął ją z przodu pasa do karabińczyka przypiętego już do kawałka taśmy biodrowej.

Raz jeszcze otaksował wzrokiem luk windowy i postanowił wykorzystać poprzeczne drabiniaste pręty zamontowane jednak w większych odstępach na przeciwległej ścianie. Wydały mu się solidniejsze niż te, po których wspiął się „Robak”. Zmienił grubsze rękawice na cieńsze, nomexowe, żeby mieć lepszy chwyt. Czubkami palców dłoni sięgnął do szeroko rozmieszczonych na ścianie i zabetonowanych w niej prętów. Patrzący z góry „Robak” puknął się w czoło.

– Musisz kombinować?

– Jestem dłuższy, chcę spróbować na tej ścianie.

– Proszę bardzo, panie kapitanie. Możesz wejść nawet tędy, bylebyś tylko tu doczłapał, zanim osiwieję!

Major wybrał luz z liny, aby w ten sposób asekurować swojego towarzysza i pomóc mu we wspinaczce. „Drętwemu” trochę drżały mięśnie rąk, ale ku zdumieniu „Robaka” szybko i bez problemów znalazł na wysokości czubków jego białych od kurzu butów wystających poza krawędź szybu. Major położył się na posadzce i wciągnął kolegę. Przez pewien czas siedzieli w ciszy na zdobytym przez siebie trzecim piętrze, starając się nieco odpocząć. W końcu pozbierali sprzęt, broń i zdecydowali, że wejdą do jednego z otwartych pomieszczeń, które właśnie zauważyli.

Było to zasypane cementowym pyłem od dawna nieużytkowane biuro i – jak wszystkie pomieszczenia tutaj – umeblowane. „Robak” podszedł do okna, uchylił jego lewe skrzydło, spojrzał w dół, a następnie w górę.

– Dość wysoko – rzucił.

– To może teraz po elewacji?

– Dobra, niech ci będzie. Okno wyżej jest bez balkonu i łatwo dostaniemy się do środka, bo jest otwarte.

„Drętwy” znów opasał się liną, której krótszy koniec „Robak” przywiązał do metalowej rury znajdującej się w rogu pokoju. Młodszy oficer usiadł na parapecie, zaparł się butami o ścianę i lekko wychylił na zewnątrz. Teraz „Robak” wziął dłuższy koniec liny, przywiązał go sobie do pasa i wszedł na parapet, a potem ostrożnie oparł buty na udach kolegi. „Drętwy” skrzywił się lekko, kiedy major wchodził po nim na górę, ale nie powiedział nawet słowa skargi. „Robak” wydostał się na zewnątrz i poczuł na karku lekki powiew ciepłego wiatru. Chwiejąc się nieznacznie, postawił ostrożnie jedną, a po chwili drugą nogę na ramionach partnera, który chwycił dłońmi jego buty i mocno je do siebie docisnął. Wspinacz wyczuł palcami najpierw blachę, a kilka centymetrów dalej drewnianą krawędź framugi okna, zacisnął na niej prawą dłoń i powoli, z wyczuciem – lewą. Szarpnął całym ciałem i dość płynnie podciągnął się do okna na czwartym piętrze, wczołgał przez parapet i wpadł do pokoju. Dał sobie krótką chwilę na odetchnięcie, podał linę „Drętwemu”, który bez trudu i wyjątkowo szybko się wspiął i dołączył do kolegi.

Obaj snajperzy instynktownie się rozejrzeli, po czym wyszli ze „zdobytego” pokoju na korytarz, żeby zobaczyć, jak w tym miejscu wygląda klatka schodowa. I tym razem mieli szczęście – okazało się, że wybuch nie zniszczył całkowicie schodów w tej części budynku, były w marnym stanie, ale mogły okazać się użyteczne. Na dach żołnierze dostali się przez otwór w suficie ostatniego piętra. „Drętwy” przymknął dość ciężką klapę najciszej jak się dało, a następnie otworzył szerzej uchylone wcześniej przez kolegę skrzypiące, drewniane drzwi ceglanej nadbudówki. Kilka metrów dalej klęczący za kominem wentylacyjnym „Robak” rozglądał się po okolicy. Od strony południowej słychać było

wzmagające się buczenie startującego właśnie w całkowitych ciemnościach wojskowego transportowca.

– Tam jest nasze lotnisko… – mruknął do siebie.

– Bardziej na zachód, gdzie widać więcej świateł, jest jego część cywilna – poprawił go „Drętwy”, który przyjechał do Bagdadu znacznie wcześniej.

„Robak” spojrzał na zegarek. Trzecia.

– Mamy jeszcze ze dwie godziny do świtu. Rozkładamy się za murkiem przybudówki, a kiedy zrobi się zbyt gorąco, zejdziemy z dachu piętro niżej.

Nagle od strony lotniska dał się słyszeć pojedynczy wybuch, a może huk wystrzelonego na chybił trafił granatu z moździerza. Po chwili nastąpiła jeszcze jedna eksplozja, gdzieś na granicy lotniska. „Robak” podniósł głowę wyżej.

– Znowu walą.

„Drętwy” tylko wzruszył ramionami.

– Przywykniesz – mruknął bez emocji. – Tak już tutaj jest.

Kilka dni wcześniej, w samo południe, „Drętwy” drzemał na łóżku polowym w kontenerze w bazie. Bardzo chciał odespać nocną akcję, lecz nagle trochę jak przez sen usłyszał zbliżający się gwizd serii lecących rakiet. „Chybił trafił, jak w rosyjskiej ruletce – pomyślał. – Już za późno, aby dać susa do schronu. *Fuck that shit!*” Po chwili rozległ się głośny wybuch i tąpnięcie podłoża, które aż zatrzęsło łóżkiem. „Drętwy” zerwał się na równe nogi, dopadł do drzwi kontenera i wyskoczył na zewnątrz w samych spodniach i klapkach z karabinkiem M-4 w ręku. W kolejnej alejce bazy rakieta trafiła w blaszany kontener, podmuch eksplozji wyrzucił na zewnątrz, na szutrową ścieżkę, dwóch Amerykanów ze wsparcia logistycznego. Wokół widać było tylko kurz, a w białych, blaszanych ścianach kontenera mnóstwo drobnych dziurek po odpryskach. Oszołomieni Amerykanie, którzy jeszcze przed sekundą drzemali na łóżku piętrowym, teraz chwiali się na nogach, wymachując na oślep swoimi M-16. Byli w szoku, nie reagowali na wezwania kolegów, nie docierało do nich, że nic już im nie grozi. Przez kilka minut nie dało się ich przekonać,

aby przestali mierzyć ze swoich karabinów, z uszu i nosów leciała im krew. Mieli sporo szczęścia, bo stosunkowo niewielka rakieta trafiła dokładnie w spawy ram nośnych dwóch kontenerów mieszkalnych, które przyjęły na siebie cały jej impet i wywołane ciśnienie. Koniec końców nic poważnego im się nie stało, musieli tylko pozbierać resztki swojego sprzętu i przenieść się do innego kontenera.

Kiedy „Drętwy” znalazł się w centrum tego całego zamieszania, sytuacja była już opanowana, więc tylko ziewnął i zawrócił do swojego kontenera. Pomyślał z lekka zaspany, że to nie pierwszy i nie ostatni ostrzał. Miał już wejść po drewnianej palecie do swojego pomieszczenia, ale coś go tknęło, cofnął się, zajrzał za róg kontenera i stanął jak wryty. Nie mógł uwierzyć własnym oczom. Kilka centymetrów od ściany kontenera wystawały srebrne lotki rakiety, były pół metra od jego łóżka. Rakieta wbiła się w ziemię i nie wybuchła! Teraz dopiero mrówki przebiegły mu po kręgosłupie tam i z powrotem. Starając się jakoś złapać oddech, pomyślał, że naprawdę ma farta. Saperzy mieli potem trochę roboty z tym niewybuchem.

„Robak” też miał swoje bliskie spotkania z rakietami. Któregoś dnia dla podtrzymania kondycji wyszedł bladym świtem pobiegać. Nagle usłyszał gwizd nadlatującego „moździerza” i odruchowo rzucił się na ziemię. Pocisk spadł tuż za nim, na ścieżkę. On również miał wtedy spore szczęście.

Ze szczytu budynku banku snajperzy obserwowali okolicę. Na horyzoncie pojawiła się poświata wschodzącego słońca, z dołu dobiegał ich poranny hałas uruchamianych silników samochodów. Miasto mozolnie budziło się do życia. „Robak” obserwował, jak w oddali z ciemności wyłania się lśniąca w pierwszych promieniach słońca złota kopuła meczetu górującego nad dzielnicą. Chwilę później snajperzy usłyszeli dochodzące z głośników nawoływania muezzina wzywającego muzułmanów do porannej modlitwy. Bagdad witał nowy dzień.

Snajperzy wyczuli, że upał tego dnia będzie nieznośny i zbliżający się pięćdziesięciostopniowy skwar postanowili spędzić niżej, na poddaszu, w budynku. Oparli mcmillany na stołach i siedząc na odrapanych

drewnianych krzesłach, obserwowali przez lunety dachy pobliskich budynków. Szkicowali też w notatnikach sytuację w swoich sektorach obserwacyjnych. „Robak” nawiązał jeszcze łączność z Camp Jenny Pozzi, po czym rozpruli swoje suche racje żywnościowe i wzięli się do śniadania. Major zdecydował się na swoją „kawkę”, czyli powolne wysysanie kawy rozpuszczalnej ze sproszkowaną śmietanką. „Drętwy” aż się wzdrygnął na ten widok i rzucił krótko:

– Ohyda…

Wolał zalać kawę w metalowym kubku nawet zimną wodą i wymieszać ją z cukrem. Spali na zmianę na karimacie rozłożonej na betonowym stropie. Tak spędzili dzień. Muezzin z meczetu nie odpuszczał, aż w końcu wezwał wiernych do *Maghribu*, czyli modlitwy po zachodzie słońca. Komandosi wrócili na dach.

Większość drapieżników poluje nocą, a właśnie zaczęło się ściemniać. Słońce nie zdążyło jeszcze dobrze schować się za horyzontem, kiedy nagle, z dołu od strony lotniska będącego za plecami GROM-owców, rozległ się kolejny, tym razem głośniejszy wystrzał z granatnika. Ostrożnie przestawili karabiny w tamtym kierunku i zaraz przywarli do lunet snajperskich, żeby ocenić sytuację. „Robak” skanował teren przed murami lotniska.

– Potwierdź odległość – rzucił do „Drętwego”.

– Widzisz palmy daktylowe? Są na „dziewięćset” – zorientował go kapitan, obserwując odczyt z dalmierza laserowego.

– Coś jeszcze?

– Tylko kłęby kurzu.

– Spójrz tam. – Wskazał palcem. – Stado krów na jedenastej, po lewej. Moim zdaniem te pastuchy chowają granatniki pod płaszczami z prześcieradeł i kiedyś to się źle skończy dla tych nędznych krów. Abrams spod muru przyładuje odłamkowym i zdmuchnie to całe udające Greka towarzystwo. Będzie jatka. Ci szuszwole wiedzą, że Amerykanie nie lubią strzelać do zwierząt, i wykorzystują to.

Po chwili nad murami bazy lotniczej pojawiły się dwa śmigłowce. Jeden zanurkował ostro tuż za ogrodzeniem i poleciał przez otwartą przestrzeń kończącą się na palmach daktylowych rosnących w kilku szeregach.

Rozległa się cała seria głośnych wystrzałów – to strzelec pokładowy rąbał ostro z szybkostrzelnego karabinu prosto w las palmowy, aż posiekane długie liście rozproszyły się w chmurze podniesionego kurzu. Po kilku sekundach wszystko ucichło, ale śmigłowce krążyły jeszcze przez moment nad zielonkawym od resztek trawy pastwiskiem, po czym odleciały z powrotem na lotnisko.

– Mam, kurwa, nadzieję, że piloci w blackhawkach, tak samo jak kolesie od predatorów, F-16 i tak dalej, wiedzą, że my tu siedzimy – burknął „Robak”.

– Tak nas zapewniano – odparł sennie „Drętwy”, którego cynizm zaczął nieco dziwić „Robaka”.

– Co się z tobą porobiło?

Kapitan wzruszył ramionami.

– Wojna, panie majorze. Dawnego „Drętwego” już nie ma – uśmiechnął się, udając amanta filmowego. – Poza tym myślę, że nas widzą na swoich kompach. O ile nie pomyliliśmy budynku, na którym mieliśmy siedzieć – zachichotał na koniec.

– Chrzań się! – prychnął major.

– Dzień jak co dzień, „Robak” – odparł już poważniej „Drętwy”. – Szuszwole podchodzą pod mury i walą z RPG-7 do Amerykanów stojących na wieżach wartowniczych albo strzelają moździerzami, rakietami i wszystkim, co się tylko da odpalić zza rzeki czy ze wzgórz. Czasem podjeżdżają na starych pick-upach i walą z prowizorycznych wyrzutni PCV, kryjąc się między cywilami w mieście. A potem odjeżdżają za róg budynku i udają, że nic się nie stało. Aż dziw, że ostatniej nocy nie wyły syreny ostrzegawcze na lotnisku.

– Dobra. Na razie dajmy spokój tym od bydła. Najpierw musimy namierzyć precyzyjnych, co strzelają do naszych na lotnisku.

Nagle rozmowę przerwał strzał, stosunkowo bliski i brzmiący znajomo.

– Słyszałeś?

– Tak, snajper. Ale to gdzieś w rejonie Zielonej Strefy[8], jakby od rzeki, bardziej w centrum Bagdadu – odpowiedział „Robak”.

Podstawił pod prawą dłoń białą cegłę, dzięki czemu ustabilizował sobie kolbę karabinu. Pod lewy łokieć podsunął luźniejszą część plecaka i przytulił się do niego jak do poduszki. Snajperzy leżeli na karimatach spokojnie, ale czujnie, karabiny mieli oparte na wydłużonych o jeden skok nóżkach i po staremu obserwowali budynki oraz ich dachy w głębi miasta. Słońce już prawie schowało się za horyzontem, ale uliczki na dole były jeszcze dość dobrze widoczne. Przez lunety optyczne Leopold MK-IV obserwowali znikające powoli w wieczornej szarudze odległe ściany i dachy budynków. Od czasu do czasu lustrowali też wolne przestrzenie ulic i wybetonowanych placów, śledzili ciemne sylwetki przechodniów i parkujące pojazdy. W pewnym momencie „Robak” zauważył, że umieszczony na rosyjskiej ciężarówce ZIŁ żuraw budowlany, który pracował przez cały dzień jakieś czterysta metrów od nich, opuścił trochę wysięgnik z koszem i powoli, bez włączonych świateł, zaczął się przemieszczać ku pobliskiej przecznicy. Zatrzymał się wreszcie i podniósł wysięgnik z robotnikiem w koszu na dach dwupiętrowego budynku. Robotnik wyskoczył z kosza, kierowca ZIŁ-a złożył ramię dźwigu, a następnie odjechał gdzieś w głąb miasta.

„Robak” chwycił mocniej karabin. Ledwo widoczny już w szarówce robotnik wdrapywał się na dach małej nadbudówki i nie rozglądając się zbytnio dookoła, uniósł tam jakąś pokrywę. Major podkręcił nastawę paralaksy i wyostrzył obraz lunety.

– Widzisz tego gościa? – spytał.

– Snajper – odparł głucho „Drętwy”.

Fałszywy robotnik wyjął ze schowka broń, chwycił gruby pas, ostrożnie przerzucił karabin z lunetą na plecy i natychmiast zaczął się wspinać po drabinowych, metalowych prętach wmurowanych w elewację przyległego, czteropiętrowego budynku. Lufa mocno wystawała teraz ponad głowę wspinającego się człowieka.

– Chyba wielkokalibrowy dragunow. Trzy kilometry zasięgu. Niedobrze – zawyrokował „Drętwy”.

– Masz go? – spytał krótko „Robak”.

– Tak.

– Daj mi namiary.

– Trzysta osiemdziesiąt pięć metrów.

– Dobra – potwierdził „Robak”.

– Zdejmujesz?

– Tak.

Powoli obniżył kolbę karabinu i przesunął krzyż celowniczy trochę ponad ciemną sylwetkę snajpera. Siatka celownicza w lunecie była już ledwo widoczna, więc przesunął jeszcze raz środek krzyża w górę, na jaśniejsze tło ściany.

– Z minuty na minutę będzie gorzej – mruknął, nie odrywając wzroku od celu. – Albo teraz, albo zaraz nic nie będę widział.

Kciukiem prawej ręki przesunął do przodu suwak bezpiecznika. Wiatr dość mocno uderzał w jego prawą powiekę, ostra, czerwona poświata resztek zachodzącego z lewej strony słońca łapała się trochę w szkło lunety.

– To będzie na zero – podpowiedział „Drętwy”.

Wiatr na chwilę odpuścił, „Robak” odseparował się od otoczenia, jeszcze bardziej wyciszył, wciągnął w płuca powietrze i powoli je wypuścił. Zgrał się z rytmem ruchów wspinającego się w oddali snajpera i delikatnie położył palec na języku spustowym. Przymierzył jeszcze raz lunetą powyżej czarnej sylwetki, wiedząc, że przy następnym ruchu ofiara przesunie się w sam środek krzyża. Podmuch wystrzału zmiótł tumany kurzu na krawędzi dachu.

– Potwierdź – rzucił spokojnie do kolegi, ciągle patrząc w lunetę. Potem przeładował karabin, miedziana łuska wyskoczyła z komory nabojowej i odpadając, trąciła lewe ramię „Drętwego”.

– Potwierdzam, zdjęty.

22

Zasadzka

W styczniu 2004 roku wydzielona grupa sił specjalnych *task unit* została przerzucona z Bagdadu do Mosulu na północy Iraku. W ramach tej grupy GROM-owcy współpracowali z amerykańskimi siłami specjalnymi, zarówno z Sealsami, jak i z Zielonymi Beretami z wojsk lądowych. Przez kilka miesięcy przyszło im działać w północnej części Iraku na pograniczu z Syrią i w rejonie irackiego Kurdystanu stanowiącego obszar autonomiczny. Sytuacja się zaostrzała, bo na terytorium Iraku pojawiało się coraz więcej najemników zza granicy. Wywiad wojskowy sugerował, że mogą oni pochodzić nie tylko z Syrii, Iranu czy Jordanii, ale także z Rosji. Ci najemnicy to różnego rodzaju specjaliści od tak zwanej walki nieregularnej. Do tej pory byli to głównie „bomberzy", którzy szkolili żołnierzy z byłej Gwardii Republikańskiej Saddama Husajna i działaczy jego partii Baas. Uczyli ich konstruowania min, pułapek zwanych IED. Później pojawili się też snajperzy różnych narodowości, głównie z Bliskiego Wschodu, ale także z Czeczenii. I w końcu zaczęły się ujawniać coraz lepiej zorganizowane grupy bojowników, które tworzyły zbrojne ramię konsolidującego się terrorystycznego podziemia. To zbrojne ramię nazywane „niewidzialnym wrogiem" stanowiły grupy liczące od kilku do kilkunastu dobrze wyszkolonych bojowników, czasem były to oddziały wielkości plutonu, czyli trzydziestu, czterdziestu ludzi. A to już nie przelewki.

Jedną z pierwszych akcji zorganizowanych przez bojowników z zachowaniem reguł taktyki wojskowej był przeprowadzony w czerwcu 2004 roku w Bagdadzie atak na konwój, w którym jechali trzej byli specjalsi z GROM-u i kilku Amerykanów. Pracowali oni w firmie ochroniarskiej Blackwater.

Był to bardzo zły sygnał dla wszystkich biorących udział w wojnie w Iraku po stronie koalicji, bo świadczył o tym, że bojownicy już nie tylko zasadzali się na przejeżdżające konwoje, by je ostrzeliwać z dystansu z granatników, a następnie uciekać w popłochu w obawie przed kontratakiem ze strony zaatakowanych. Tym razem zachowali się inaczej: kontynuowali atak w kierunku palących się samochodów terenowych trafionych i unieruchomionych na drodze. Zrobili to, by zabić tych, którzy mogli przeżyć ostrzał, i zdobyć broń. Oznaczało to zdecydowaną różnicę jakościową. Taki szturm podejmowały tylko zorganizowane pododdziały wojskowe, a nie domorośli partyzanci czy terroryści samobójcy. Krótko mówiąc, do akcji wkroczyli zawodowcy.

Zamach ten został zorganizowany przez najgroźniejszego wówczas terrorystę w Iraku, Jordańczyka Abu Musaba az-Zarkawiego. W zasadzce, w którą wpadł konwój, zginęły cztery osoby: dwóch polskich i dwóch amerykańskich pracowników Blackwater. Początkowo informowano, że zginął jeszcze jeden Polak, ale na szczęście ta informacja okazała się nieprawdziwa. „Fundacja Byłych Żołnierzy Jednostek Specjalnych GROM nie zawierała umowy z firmą Blackwater” – stwierdził później generał Sławomir Petelicki, były dowódca GROM-u i twórca fundacji, ale też nie wykluczył, że zabici mogli być dawnymi żołnierzami GROM-u, gdyż na krótko przed tymi wydarzeniami odeszło z tej jednostki stu komandosów.

Od początku operacji „Iracka Wolność”, czyli od marca 2002 roku, do tego ataku w czerwcu 2004 roku w Iraku straciło życie ośmiu obywateli Polski. Poza dwoma pracownikami Blackwater zginęli czterej żołnierze: major Hieronim Kupczyk (pośmiertnie awansowany do stopnia podpułkownika), starszy szeregowy Gerard Wasielewski, starszy chorąży Marek Krajewski, kapitan Sławomir Stróżak i dwaj pracownicy Telewizji Polskiej – dziennikarz Waldemar Milewicz i operator Mounir Bouamrane, Algierczyk od lat mieszkający w Polsce.

23

Noc, godzina 23.00. Pogranicze kurdyjskie

„Robak” miał zamknięte powieki. Co jakiś czas na moment je unosił. W uszach trochę mu huczało, ale w głowie miał względny spokój. Przez prowizoryczne zatyczki – słuchawka od radiotelefonu przypiętego z boku kamizelki taktycznej oraz zwykły kauczukowy korek ochronny – przebijało się przytłumione buczenie pracującego na najwyższych obrotach wirnika silnika helikoptera. Major czasem słuchał, o czym rozmawiają piloci, ale teraz nadawali coś „po amerykańsku”, tak cicho i niewyraźnie, że ledwo wyłapywał pojedyncze słowa ze zrozumieniem. Cholerny jankeski slang. Objuczony sprzętem bojowym poumieszczanym w każdym możliwym miejscu na kamizelce, siedział na podłodze. Drobne wahnięcia i potrząsanie przenosiły się na jego ciało od kompozytowej podłogi pokładu wielozadaniowego śmigłowca transportowego UH-60 Black Hawk. Mimo turbulencji odbieranych przez łopaty śmigieł ekipa GROM-owców leciała bez zakłóceń w kierunku północnego pogranicza Syrii i irackiego Kurdystanu. „Robak” oparł plecy o nakolanniki któregoś z kolegów siedzącego z tyłu. Kilku chłopaków zajęło miejsca na poprzecznych, rozkładanych ławkach z brezentu ustawionych wzdłuż obu burt helikoptera, pozostali – jak major – woleli siedzieć na podłodze.

Drzwi z lewej strony pokładu były odsunięte, mógł więc obserwować okolicę, w tym nieco niżej czarną sylwetkę drugiego śmigłowca z sekcją „Bravo” na pokładzie. Helikopterów było tu jeszcze kilka, leciały na różnych wysokościach i w szyku bojowym przypominającym grot strzały. Przez drzwi wpadało trochę świeżego powietrza, na szczęście, bo w samym śmigłowcu było ciasno, duszno i niezbyt komfortowo. Ale bywało gorzej. „Robak” spojrzał na siedzących przed nim szturmowców. Wszyscy zwiesili głowy, drzemali w swoich kevlarowych hełmach z noktowizorami. Jeszcze kilka godzin wcześniej energicznie trenowali, przygotowując się do tej

akcji. Zużyli wówczas sporo energii, więc warto było jak najlepiej odpocząć, skoro właśnie nadarzyła się okazja. „Robak” przeniósł wzrok na siedzącego przy samych drzwiach kapitana, który też przysnął. Czarna rękawiczka z obciętym palcem wskazującym u lewej dłoni stanowiła znak rozpoznawczy dobrze znanego mu snajpera. Był to – jakżeby inaczej – „Drętwy”, leworęczny strzelec wyborowy, dowódca tej akcji. „Robak” uśmiechnął się pod nosem, bo jego dawny uczeń wprawdzie spał, ale instynktownie próbował utrzymać głowę w pionie. Od czasu do czasu budził się na chwilę, by się zorientować, gdzie jest i co się w ogóle dzieje, a następnie znowu zapadał w sen.

„No, młody, tylko nie wypadnij przez otwarte drzwi” – pomyślał z lekkim ubawieniem „Robak”.

Akcję przygotował „Drętwy”. Tym razem mieli wykonać rajd z powietrza. Pierwszy taki od dłuższego czasu i w ogóle pierwszy w warunkach pustynnych. „Robak” wracał myślami do operacji „Eagle Claw”, czyli „Orli Szpon”, w Iranie, przeprowadzonej przez Amerykanów 24 i 25 kwietnia 1980 roku przy użyciu śmigłowców. Jej celem było odbicie pięćdziesięciu trzech zakładników przetrzymywanych przez Irańczyków w ambasadzie Stanów Zjednoczonych w Teheranie. Wszystko się wtedy pochrzaniło przez pustynną burzę piaskową, która przyszła znikąd i nagle. W drodze do pierwszego prowizorycznego lotniska piloci dwóch z ośmiu śmigłowców zabłądzili, a trzeci musiał wykonać awaryjne lądowanie. Piasek wirujący w powietrzu zatykał filtry. Poza tym, jak się okazało, pilotom brakowało wyszkolenia do tego typu operacji. W efekcie w ręce Irańczyków wpadło nie tylko sześć śmigłowców, które trzeba było zostawić, ale także – wskutek serii popełnionych błędów – dokumenty dekonspirujące siatkę CIA w Iranie. Na domiar złego już podczas odwrotu, z powodu burzy piaskowej, na prowizorycznym lotnisku na pustyni śmigłowiec ewakuacyjny Sikorsky RH-53 uderzył w stojący na ziemi transportowiec C-130 Hercules. W wypadku zginęło trzech żołnierzy piechoty morskiej będących na pokładzie RH-53 i pięciu ludzi z sił powietrznych znajdujących się w C-130.

„Robak” pomyślał, że jeśli w tej robocie coś może pójść nie tak, to prawie na pewno tak będzie. Teraz miał wprawdzie trochę spokojniejszą głowę, bo to nie on dowodził, ale odczuwał pewien lęk, ponieważ dowódcą był jego uczeń. Stojąc nieco z boku, starał się wyłuskać wszelkie plusy i minusy w procedurach opracowanych na tę akcję. Tym razem nie lecieli na misję snajperską, lecz wypełniali zadanie szturmowe z zakresu taktyki czarnej[9]. Zostawili swoje snajperki na drewnianych półkach w bazie w Mosulu i prawie wszyscy używali M-4 z *full-combat* wyposażeniem celowniczym (red doty, lasery, noktowizja i „termo”) jako podstawowej broni do walki. Jak zawsze trzymali karabinki pionowo, opuszczone lufami w dół, w większości oparte na butach z prostego powodu – w ten sposób zabezpieczali broń przed uszkodzeniem na skutek uderzenia o pokład śmigłowca. Helikoptery wpadają czasem w turbulencje, a wtedy lufa karabinu mocno obrywa. Szkoda broni. A dlaczego lufa zawsze powinna być skierowana do dołu? To wyuczona procedura, chodzi o to, by przypadkowo nie huknąć z kalibru 5,56 mm w górę, w poszycie kadłuba, nie przestrzelić go i nie trafić w wirnik czy w łopaty silnika. Gdyby zdarzyło się coś takiego, maszyna spadłaby na ziemię i nie byłoby co zbierać. Lepiej strzelić w swoją stopę niż w śmigło.

Lot przebiegał spokojnie, więc „Robak” na powrót przymknął powieki i na chwilę odpłynął. W jego głowie pojawił się obraz sprzed kilku godzin: duży podłużny pokój, w którym panuje półmrok, z sufitu zwisa długi brązowy, zakurzony kabel, na którego końcu zamontowana jest lampa z jedną żarówką. Ta lampa to spory stożkowaty klosz wykonany z cienkiej i pordzewiałej na krawędziach blachy. Pośrodku niedoświetlonego pomieszczenia stoi solidny długi stół z drewnianym blatem, na nim leży duży arkusz mapy. „Robak” co jakiś czas pochyla się nad nią, aby jeszcze raz przyjrzeć się trasie lotu do przydzielonego GROM-owcom celu. Po chwili otwierają się drewniane, skrzypiące drzwi, do pomieszczenia wchodzi Amerykanin i staje po przeciwnej stronie stołu. Major nie podnosi głowy. Dopiero co zakończyła się tu trwająca ponad godzinę odprawa i ciągle ktoś wchodzi, aby dla pewności raz jeszcze zerknąć na mapę. Teraz „Robak” przytrzymuje ręką „żyrandol” i kieruje jego światło na wybrane

miejsce na mapie, by się lepiej rozeznać, ale w tym samym momencie pochyla się też stojący naprzeciwko Amerykanin i obaj niechcący zderzają się głowami.

– Sorry – bąka pod nosem Polak. Twarz amerykańskiego specjalsa wydaje mu się znajoma, tylko nie bardzo wie skąd. Na pewno nie jest z grupy, z którą działa tutaj od kilku miesięcy.

Tymczasem Amerykanin staje jak wryty.

– „Robak”? Człowieku, to naprawdę ty!

– Steve!

To jest snajper z sił specjalnych, z którym kilka lat temu szkolił się w Fort Bragg w Stanach. Zielony Beret, komandos Army Special Forces (specjalnych wojsk lądowych).

– No jasne! – wykrzykuje Steve.

– Steve, brzydalu! Co tu robisz?

– To samo co ty, brachu. – Amerykanin kiwa głową.

Jeszcze przed godziną salę wypełniali zebrani wokół stołu żołnierze z różnych formacji. Specjalsi i strajkerzy z piechoty morskiej przygotowujący się do wspólnej operacji na pustyni, a mówiąc ściśle: do jednoczesnego uderzenia w różnych rejonach. Trudno byłoby się tu połapać, kto jest kto, zwłaszcza że niektórzy mieli hełmy na głowach, a inni nawet kominiarki.

– Może byśmy się czegoś napili! Co za spotkanie, mój polski przyjacielu! – proponuje uradowany Steve.

– Są tylko drinki bezalkoholowe – odpowiada „Robak”.

– Jest piwo bezalkoholowe. Mają je w lodówkach, tyle że nie tutaj. Idziemy?

– No pewnie!

Po chwili obaj komandosi z puszkami bezalkoholowego piwa w dłoniach z pewną zadumą cieszą się ze spotkania tuż przed rozpoczęciem operacji. Po latach, już nie na szkoleniu, ale podczas misji na końcu świata, w Iraku.

Nagle „Robak” się ocknął. Obudził go wyjątkowo głośny łomot wystrzałów, wszyscy na pokładzie zostali przeszkoleni na wypadek różnych niebezpiecznych sytuacji. Zero paniki, ale tętno przyspieszyło, a krew w żyłach zaczęła krążyć zdecydowanie szybciej.

– Co jest grane?! – poszło po pokładzie.

Huk wystrzałów z broni pokładowej śmigłowca był potężny. „Robak” szybko zorientował się, że to ostrzał z minigunów, sześciolufowych działek z napędem elektrycznym umieszczonych na lewej i prawej burcie z przodu blackhawka, tuż za plecami GROM-owców. Strzelcy pokładowi siekli tak ostro, że łuski całymi setkami sypały się po pokładzie, odbijając się od hełmów Polaków. Najpierw pomyślał o radiostacji. Piloci nic nie nadają przez radio, więc musi to być jakaś akcja z ostrzałem strefy pustyni. Może załoga wykryła na noktowizji jakiegoś gościa z RPG-7 lub innym żelastwem, który w nas wycelował. No, to będzie jatka zamiast spokojnego przerzutu w rejon celu. Ale już po chwili usłyszał w głośnikach: „*Test fire, test fire*”.

– No dobra, próba generalna – mruknął pod nosem z irytacją. – Fajnie, tylko że mogli nam to, kurwa, powiedzieć trochę wcześniej.

Powstało trochę zamieszania, ale „Drętwy” nawet nie otworzył oczu, niewzruszony kimał dalej. „Czasy się zmieniają – pomyślał z pewnym rozrzewnieniem »Robak«. – Pamiętam, jak ten gnojek potykał się o własne sznurowadła, a teraz to największy rutyniarz w całym helikopterze. Chyba się starzeję”.

„*Ten minutes to the objective*” – poszedł wreszcie komunikat. Szturmowcy spojrzeli po sobie i próbując się przebić przez hałas pracującego silnika, prawie jednocześnie krzyknęli, informując się nawzajem, że dziesięć minut do celu. Każdy z nich zrozumiał, co jest grane. „Drętwy” na ten krótki moment postanowił się ocknąć i powtórzył komendę, „Robak” natomiast kciukiem prawej ręki wymacał bezpiecznik na karabinku. Broń miał jeszcze zabezpieczoną, magazynek z amunicją podpięty, ale upewnił się, czy ma nad nią pełną kontrolę i czy, jeśli zajdzie taka potrzeba, odbezpieczy ją natychmiast. Chwycił lewą dłonią za monokular noktowizora i delikatnie opuścił go na prawe oko, wciskając

zatrzask z przodu hełmu. Poprawił jeszcze nomexową kominiarkę, zaciągając ją trochę powyżej ust, pod sam nos, i zaciśniętą pięścią uderzył lekko w swoją kamizelkę na wysokości piersi, żeby dodać sobie animuszu. Pozostali również szybko sprawdzili sprzęt, poprawili pozycje, jeszcze bardziej napięli mięśnie, przygotowując się do przyziemienia śmigłowca i natychmiastowego skoku z pokładu na pustynny grunt. Saper siedzący tuż przy drzwiach naprzeciw „Drętwego” wysunął nieco do przodu wybuchowy ładunek tarczowy, aby podmuch powietrza z zewnątrz go nie uszkodził. To była już pełna gotowość.

„*One minute to the target*” – zaanonsowano przez głośniki i śmigłowiec zaczął dynamicznie obniżać pułap, aż w końcu przyziemił.

– *Go, go, go*! Naprzód! – krzyknął „Drętwy” do całej grupy.

Pierwszy zeskoczył saper. Przed nim kołysał się ładunek tarczowy, przypominał targany wiatrem latawiec. Żołnierz musiał walczyć z silnymi podmuchami powietrza wywoływanymi przez wirujące łopaty helikoptera i z unoszonym przez nie piaskiem. Wyskakiwali jeden po drugim, pochyleni do przodu, zgodnie z zasadami techniki szturmowej. „Robak” zamykał stawkę. Nie przyklękali, nie zajmowali pozycji ubezpieczonej wokół helikoptera, tylko pędzili na wprost w kierunku celu, czyli parterowego budynku z płaskim, blaszanym dachem. Był on wkomponowany w jedną ze ścian większej budowli, a jednocześnie stanowił fragment jej ogrodzenia. Ekipa „Drętwego” miała uderzyć właśnie tu, w najbliższy i najbardziej podejrzany odcinek budynku. Dalej mieli się przedostać na niewielki dziedziniec i jeszcze do kilku mniejszych zbudowanych na planie prostokąta budynków. Zadanie: opanować całość jak najszybciej.

„Robak” oddychał miarowo, biegnąc za młodszymi szturmanami. Nie odpuszczał, trzymał się grupy. „Drętwy” z amerykańskim łącznościowcem został trochę z tyłu i klęcząc, koordynował akcję, a jednocześnie dawał odpowiednie znaki pozostałym lądującym sekcjom szturmowym za pomocą chemicznego lightsticka emitującego światło infrared. Jeden po drugim przyziemiły pozostałe trzy śmigłowce, z każdego wysypały się na pustynię kolejne sekcje. Podczas tej akcji każda z grup miała własne zadania do wykonania. „Robakowi” wydawało się, że uderzenia podeszew o podłoże

i zgrzyt pustynnego piasku są głośniejsze niż zwykle. Wyraźnie słyszał skrzypienie kamizelki ze sprzętem, jakby był jedną wielką sakwą na narzędzia. Chciał teraz, by jego zmysły przestały absorbować cały ten harmider, a zwłaszcza hałas śmigłowców. Chciał się skupić. W noktowizorze obserwował sylwetki chłopaków oraz faceta z tarczą ładunku wybuchowego będącego gdzieś pośrodku szyku i zmagającego się z oporem powietrza. Wreszcie monokularem noktowizora namierzył w oddali wysoki mur z parterowym, dość długim budynkiem pośrodku. Ze zdjęcia satelitarnego wynikało, że ta posesja to trzy niskie budynki ustawione tak, że w środku powstał mały, kwadratowy dziedziniec na glinianym klepisku. Całość składała się z betonowego budynku mieszkalnego przykrytego płaskim dachem z zardzewiałej blachy oraz z mniejszej obory i murowanej wiaty z agregatem prądotwórczym. Od strony zachodniej i południowej zabudowania odgradzał wysoki na dwa metry betonowy mur. W tej części właściwie nie było okien, tylko kilka kwadratowych otworów tuż pod samym stropem. Resztę ogrodzenia stanowił od wschodu już tylko wysoki na metr, dość gęsty żywopłot z ostrokrzewów. Rozjeżdżona droga gruntowa okalająca gospodarstwo tworzyła wokół niego pętlę i prowadziła od zabudowań przez pobliskie wzgórza do wioski oddalonej o pięć kilometrów.

Wioska była nieistotna, liczyła się tylko ta posesja. Według informacji wywiadu właśnie tu dziś w nocy miało się odbywać spotkanie HVTs (High Value Targets), czyli ważnych dowódców siatki bojowników zajmujących się przerzutem najemników z Syrii. Trzeba było ich albo złapać, albo zlikwidować. „Robak” trzymał kierunek do celu, wytrwale metr za metrem prąc do przodu. Zostało mu może jeszcze ze trzydzieści kroków do ściany budynku, gdy nagle usłyszał strzały za swoimi plecami, od strony lądowiska. W tym momencie wszystko jest nieważne, trzeba utrzymać szyk. Zasuwamy dalej. Tymczasem większość żołnierzy sekcji nagle zwolniła, oślepieni blaskiem zdjęli noktowizory i zaczęli przecierać oczy.

– Co jest?! – wrzasnął.

Sam przestał cokolwiek widzieć przez swój noktowizor. Ten sprzęt doskonale sprawdza się w ciemnościach, ale kiedy jest za jasno, po prostu

się ślepnie. Jakby się patrzyło w słońce. Wpadł na szturmana, który gwałtownie się zatrzymał, żeby przetrzeć oczy, i zorientował się, że wszystko zaczęło się sypać. Odwrócił się i teraz, gdy wzrok już mu się trochę przystosował do nowych warunków, zobaczył, że jeden ze startujących śmigłowców nie wiadomo dlaczego wystrzelił z automatu dwie długie, iskrzące wstęgi rozbłysków od flar antyrakietowych. Na niebie zrobiła się noc sylwestrowa, a wypalone w dwóch rzędach srebrzysto-ogniste flary opadały i wygasały tuż nad głową „Robaka”.

– Co oni, kurwa, wyprawiają?! – wrzasnął. – Takiego gówna dawno nie widziałem!

Chłopcy jakoś się jednak zebrali i znowu zaczęli biec do ściany właściwego budynku. Podczas odprawy w bazie zdecydowano, że ta ściana zostanie wysadzona, żeby ograniczyć bojownikom pole ostrzału od strony żywopłotu. Huk wybuchu dodatkowo miał stanowić element zaskoczenia, dzięki niemu mieliśmy szansę już od wejścia rzucić terrorystów na kolana. Sekcja ustawiła się w szyku wzdłuż muru, saper podszedł do ściany, a inny szturmowiec pomógł mu szczelniej przyłożyć ładunek do ściany. Po chwili obaj odskoczyli. Rozległ się potężny, punktowy wybuch. Cała ściana zadrżała, wskutek eksplozji w powietrze uniosły się potężne kłęby czarnego dymu oraz kurzu, a na dziedziniec posypały się kawałki cegieł, gliny i betonu. Otwór w ścianie okazał się na tyle duży, że komandosi jeden po drugim mogli przecisnąć się do środka. „Robak” przebił się przez chmurę dymu i już po chwili ustawił się z dwoma chłopakami przed drzwiami do kolejnego pomieszczenia. Usłyszeli następne wybuchy granatów hukowo-błyskowych. W całym tym zgiełku i opadającym dymie zauważył, że pomieszczenie, w którym się zatrzymał, było umeblowane. Na środku leżał wytarty stary dywan, na stole stały gliniane białe miseczki i kubki z potłuczonymi uchwytami. Zobaczył też wysoką drewnianą szafę – szturmowcy już ją otworzyli. Poświecił na znajdujący się na szafie blaszany przedmiot, następnie podstawił stojący obok zdezelowany taboret, by po niego sięgnąć. Coś, co na początku wydawało się kawałkiem blachy, okazało się kałasznikowem z podpiętym magazynkiem. „Robak” zeskoczył ze stołka, wypiął długi, łukowaty magazynek i rzucił go na podłogę,

a potem pociągnął energicznie za boczną, wyślizganą dźwignię zamka. Z komory nabojowej kałacha wypadł pocisk. Żołnierz rzucił rozładowaną broń na dywan i przeszedł do kolejnego pomieszczenia.

Minęło może pięć minut i budynek został opanowany, ale nie znaleziono ani jednego bojownika. Pozostałe sekcje „czyściły" zabudowania przylegające do dziedzińca i wkrótce cały teren posesji był pod kontrolą. Było ciemno, a przez noktowizory dało się zobaczyć tylko pojedyncze plamy błyszczących światełek na hełmach szturmowców. Śmigłowce odleciały, więc zrobiło się ciszej. W całym tym zamieszaniu „Robak" odnalazł „Drętwego" – stał przed wejściem do obory.

– Ale syf z tymi flarami – warknął.

– Fakt – „Robak" dalej był wściekły.

– Ale martwi mnie coś innego: nikogo tu nie ma. W oborze siedzi tylko jakiś dziadek na drewnianym taborecie i wygląda jak pomnik suchotnika.

– Jaki dziadek?! Gdzie? – „Robak" się rozejrzał.

– W oborze za mną. – Wskazał dłonią „Drętwy".

– Pokaż mi go.

Obaj weszli do środka śmierdzącej pleśnią i zgniłą słomą obory. Dwóch szturmowców miało włączone latarki zamontowane w szynie picatinny na karabinkach. Saper z wykrywaczem metalu skanował klepisko, by sprawdzić, czy nie ukryto tu broni lub skrzyń z trotylem. Szukali też ewentualnych kryjówek oraz klap do tuneli przykrytych cienką warstwą słomy. Wnętrze obory było nieduże, a sufitu można było dotknąć wyciągniętą ręką. Na środku rzeczywiście siedział człowiek i – jak to czasem starzy Arabowie mają w zwyczaju – zamarł w całkowitym bezruchu, tak jakby był posągiem. Miał straszliwie wychudzoną i zniszczoną twarz, tuż przy nim stał jeden ze szturmowców. Robak oświetlił starca latarką i zobaczył, że był on właściwie całkiem nagi i tylko wokół pasa miał owiniętą brudną szmatę robiącą za prowizoryczne gacie. Nie miał nawet sandałów na nogach.

– Jakiś tutejszy biedak zamiast terrorystów? – zaczął „Drętwy". – Co on tu, kurwa, robi po ciemku?

– „Drętwy”, spójrz! – „Robak” wskazał na oczy starca. – Jest zupełnie ślepy. Gałki oczne są białe, ma kompletną zaćmę. I pewnie jeszcze do tego nie mówi. Weź stąd chłopaków, zwijamy się z tej stodoły.

– Poczekaj, niech przeszukają podłogę.

– Posłuchaj, ten dziadek jest naprawdę chory na gruźlicę. Tak tu postępują z chorymi: izolują ich w stodołach i szopach. Mówię ci, chłopie, on prątkuje gruźlicą na sto metrów wokół. Zobacz, jak sapie przez nos.

„Drętwy” machnął ręką.

– Chłopaki, wyłazić stąd szybko na zewnątrz – rozkazał szturmowcom, po czym sam wyskoczył z obory i splunął ze dwa razy przed siebie, a potem odciągnął majora na stronę. – Co robimy z tym dziadkiem w środku? – spytał cicho.

– Zostawmy go. To jego świat, nie nasz. Włóż mu do ręki butelkę z wodą.

– Ja?!

– A kto? Ja? – Twarz majora zdradzała teraz dla odmiany rozbawienie.

– Kurwa!

Odszedł na kilka metrów, by zakomunikować przez radio:

– Uwaga do wszystkich! Pozostać na swoich pozycjach!

– Kapitanie! – Jeden z chłopaków podbiegł do dowódcy. – Amerykanie podają z bazy, że mamy tu zostać do rana. Wywiad ciągle twierdzi, że bojownicy mają się jednak tu spotkać.

– Czekaj! – przerwał mu „Robak” i założył słuchawki. – Amerykanie na swoim kanale nadają, że ich dron wykrył od północy jakiś ruch pojazdów. Namierzył dwa pick-upy, które jadą w naszym kierunku od strony wioski.

Zrzucił słuchawki.

– „Drętwy”, szybko! Ustawiaj chłopaków do zasadzki wzdłuż żywopłotu. Pchnij też dwóch naszych snajperów na dwieście metrów wzdłuż drogi na północ na ubezpieczenie i granatnik na pozycję blokującą.

– Jasne! Dawać! – wrzasnął kapitan w kierunku swoich ludzi. – Przydzielam zadania! Szybko do mnie!

To była pierwsza prawdziwa zasadzka „Drętwego”, do tej pory ćwiczył ten element taktyczny tylko na poligonach w Polsce. Ale tu było

książkowo: ubezpieczenia na skrzydłach, wsparcie ręcznych karabinów maszynowych M-249 SAW, granatnik Carl Gustaf i wystarczająco duża grupa szturmowców. To wszystko siedziało w żywopłocie, który na pustyni pozwalał się zakamuflować tak blisko drogi. Wcześniejszy plan zakładał coś innego: desant ze śmigłowców, podejście, atak na zabudowania, wyłapanie terrorystów i powrót do bazy. A tu taki numer?!

Minęło kilkanaście minut. „Drętwy” nakazał zupełną ciszę i nasłuchiwał, czy nie zbliżają się śmigłowce. Pewnie odleciały dość daleko, by nie płoszyć szuszwoli. Zaczęły płynąć meldunki: „Uwaga, uwaga! Tu »HUNTER 1«, zbliżają się do nas dwie białe terenówki. W pierwszym pojeździe jest kilku bojowników. Z tyłu na pace siedzi dwóch z kałachami. Właśnie nas minęli. Na drugiej widzę zamontowaną rurę, to chyba moździerz. Też nas minęli. Pełna gotowość!”.

– Granatnik! – rozkazał „Drętwy” przez radio. – Wal w drugi wóz!

„Robak” leżał obok „Drętwego”, więc nadjeżdżające pojazdy usłyszeli jednocześnie. Kapitan podniósł się teraz na kolano, spojrzał przez noktowizor, przymierzył swój infraredowy laser na kierowcę pierwszej terenówki, przytrzymał jeszcze przez sekundę i pociągnął za spust. Rozległy się krótkie, pojedyncze strzały, a zaraz potem rozpętało się piekło. Żywopłot zatrząsł się na długości kilkunastu metrów, rozgrzmiały serie z karabinków, a także pojedyncze wybuchy. Pierwszy pick-up oberwał w maskę gradem kul kalibru 5,56 mm z karabinu minimi M-249 SAW, a zanim minął stanowiska szturmowców wzdłuż zabudowań, posiekały go jeszcze pociski wystrzelone z karabinków M-4. Przejechał kilkanaście metrów, po czym uderzył w wystające cegły zaczynającego się tutaj muru. Drugi pojazd nie dotarł do pozycji komandosów rozlokowanych za krzakami przy posesji. Leżał na boku i płonął, bo zaraz po wystrzale „Drętwego” obsługa granatnika po prostu zmiotła go z drogi. I nagle nastała cisza. GROM-owcy i kilku sealsów leżeli w milczeniu na swoich stanowiskach.

– Doładować! – rozkazał głośno „Drętwy”.

„Robak” położył się na lewy bok, sięgnął dłonią do przodu i wypiął już prawie pusty magazynek. Poczuł zapach nafty i dymiącego oleju z komory

nabojowej swojego M-4. Dołączył teraz pełny magazynek, podniósł się na kolano i przez noktowizor obserwował pojazd palący się po jego prawej stronie w odległości trzydziestu metrów.

– „Alfa”, naprzód, naprzód! „Bravo”, atakować, atakować! – krzyczał „Drętwy”, a echo niosło jego rozkazy przez dziedziniec.

Po kilkunastu minutach strefa śmierci na drodze rozjarzyła się ostrym światłem latarek, a także zielonych i czerwonych świateł chemicznych. Żołnierze przeszukiwali każdy metr drogi i zaatakowane pojazdy. „Robak”, „Drętwy” i amerykański łącznościowiec stali przy oderwanej granatnikiem pace toyoty. Po prawej stronie w ciemności widać było smugi czarnego jak smoła dymu z palących się opon. Jaśniejsze kłęby wydobywały się z powyginanej karoserii leciwej toyoty, która właśnie zakończyła żywot. Obok leżała rura radzieckiego moździerza kalibru 82 mm, trochę dalej jej talerz, czyli duża, metalowa, okrągła podstawa.

„Robak”, „Drętwy” i „Amerykanin” pośpieszyli w kierunku terenówki przy murze, gdzie byli już szturmowcy z sekcji „Alfa”.

– Co tu mamy?– spytał „Drętwy”.

– W sumie sześciu szuszwoli – odpowiedział najbliżej stojący żołnierz. – Jeden to chyba ten ze zdjęcia wywiadu.

– Żyje? – zainteresował się „Robak”.

– Sztywny. Ale dwóch innych mamy żywych. Jeden w kiepskim stanie, bo mu rękę urwało, ale lekarz nad nim pracuje. Drugi ma się nieźle, tylko jest z nim kłopot, bo siedzi przy drodze, macha maczetą i pieprzy coś o dżihadzie.

„Robak” dotknął ramienia „Drętwego”.

– Chodź, zerkniemy na niego. Może jeszcze nie chce iść do nieba.

Minęli przewrócony pojazd, który przeszukiwali GROM-owcy.- Kilkanaście metrów dalej na poboczu drogi siedział ranny w nogę bojownik w białym kaftanie. Dwóch Polaków trzymało go na muszce.

– Jak z nim? – spytał „Drętwy”, wskazując na Araba.

– Totalny pojeb, kapitanie. Nie chce się poddać, macha jak wściekły tą maczetą. Rozwalić go? – zapytał szturman.

„Drętwy” spojrzał na „Robaka”.

– Co myślisz? Szkoda czasu na zabawę?

– Spróbujmy po dobroci – mruknął major i w tej samej chwili podniósł swój M-4, odbezpieczył i strzelił w dłoń Araba, któremu maczeta wypadła z ręki. Bojownik przewrócił się na bok i dalej próbował sięgnąć po maczetę.

„Robak” pokręcił głową i westchnął głęboko.

– Daj mu medyka, „Drętwy”. Tylko go najpierw przeszukajcie i upewnijcie się, że nie jest już niebezpieczny.

– Poważnie?

– Tak, poważnie. Słyszałeś o konwencji genewskiej? Masz tutaj jeńca wojennego.

Kapitan rozłożył ręce.

– Jasne, majorze.

Odwrócił się do chłopaków.

– Zabierzcie mu tę cholerną maczetę i zawołajcie medyka, a jak dalej będzie się awanturował, to mu jebnijcie. I wtedy dopiero oddajcie go w ręce lekarza.

Ostatni ze śmigłowców przysiadł na pustyni. „Robak” i „Drętwy” poczekali na dwóch ostatnich snajperów i zaraz za nimi wskoczyli na pokład. Blackhawk za pomocą wirnika ogonowego odwrócił się jeszcze trochę w bok i zaczął nabierać wysokości. Major przepoconą kominiarką otarł z twarzy pustynny kurz, spojrzał z góry na oddalający się i znikający w ciemności zarys zabudowań i wyłączył noktowizor. „Zdecydowanie jednak wolę snajperkę” – pomyślał, patrząc przed siebie.

24

Polska. Sierpień 2005 roku

Obraz w lunecie celowniczej karabinu Remington 700 stawał się coraz mniej wyraźny. Słońce prawie już zaszło, horyzont rozjaśniała tylko wątła czerwona poświata. Powoli zapadał zmrok. Był sierpniowy wieczór, dość ciepły, ale wilgotny. Właśnie podniosła się mgła na rozległych łąkach torfowych ciągnących się wzdłuż lasu. Rzadka mgła zaczęła się przesuwać na wysokości może metra nad ziemią. Z oddali dobiegały przytłumiony skowyt i od czasu do czasu wycie wiejskich psów. „Robak” odłożył broń i usiadł pod drzewem. Przez kilka minut starał się o niczym nie myśleć. Przymknął oczy.

– Czy nie boi się pan oddać życia, gdy zajdzie taka potrzeba?
– Każdy się trochę boi, panie pułkowniku…

– „Drętwy”, „Drętwy”, widzisz radar?
– Radar? Jaki radar?
– Zdejmujesz?
– Tak, zdejmuję!
– Potwierdź! Obiekt trafiony?
– Tak, zdjąłeś go!
– „Drętwy”, strzelaj! Strzelaj, kurwa, bo nas tu…

„Robak” gwałtownie otworzył oczy. Podniósł szybko głowę i bokiem dłoni otarł pot z twarzy. Przez chwilę siedział bez ruchu i patrzył przed siebie. Wyrównał oddech. Znów był w swoim lesie. Pomyślał, że pora wracać do domu. Wyjął kluczyki, otworzył jeepa i wsunął karabin do pokrowca na tylnym siedzeniu. Już miał wsiadać, kiedy w kieszeni bluzy myśliwskiego moro zabrzęczał pager. Wyjął komunikator i spojrzał na wyświetlacz. Stał jeszcze przez chwilę nieruchomo, zapatrzył się przez moment, po czym

wsiadł do samochodu, odpalił silnik i odjechał, ostro ryjąc przednimi kołami koleiny w trawie.

25

Afganistan. Dolina Uzbin, sześćdziesiąt kilometrów na wschód od Kabulu. Sierpień 2006 roku

Patrol składający się z sześciu hummerów zwolnił i ostrożnie zjechał z asfaltowej szosy. Wozy ruszyły drogą gruntową przy rzece Kabul w stronę doliny Uzbin. Miały do przejechania jeszcze kilka kilometrów do wiosek leżących na skraju południowej granicy dystryktu Surobi. Droga prowadziła dość ostro w górę, przez skaliste górskie zbocza, a dalej zwężała się, była kręta i wyboista. Szerokie opony hummerów ledwo się na niej mieściły, od czasu do czasu strącały pojedyncze kamienie. Strzelcy zapierali się twardymi podeszwami pustynnych butów na metalowych kratownicach podłóg pojazdów, w rękach trzymali sektorówki i okrężne ubezpieczenie. Stali za pokładowymi WKM-ami (Wielkokalibrowymi Karabinami Maszynowymi) i automatycznymi wyrzutniami granatów MK-19. Przez przezierniki na lufach brali na cel podejrzane miejsca i z przeładowaną, choć na razie jeszcze zabezpieczoną bronią utrzymywali pełną gotowość, by w każdej chwili rąbnąć serią. Niekiedy słychać było metaliczny chrobot dużej zębatej obrotnicy kołowej, co oznaczało, że gunner obracał się razem z wieżyczką, by skierować lufę pięćdziesiątki na konkretny sektor. Przedni strzelcy niespokojnie i podejrzliwie zadzierali głowy, spoglądając na poszarpany wapiennymi i żwirowymi żlebami, urwiskami i osuwiskami grzbiet pasma górskiego. Okolica nie wyglądała przyjaźnie. Teren był otwarty i tylko gdzieniegdzie na zboczach były łaty zielono-brązowych krzewinek i traw. Silniki porykiwały, wciągając hummery na wzniesienia drogi, automatyczne skrzynie biegów dobierały niższy bieg. Cztery samochody miały otwarte paki z tyłu, natomiast pierwsze dwa były zabudowane. To, że w konwoju jechały takie właśnie wozy, było dziełem przypadku, bo GROM-owcy korzystali z tych pojazdów, których akurat użyczyli im Amerykanie z bazy Bagram.

Wbrew obiegowym opiniom wywiad oraz siły specjalne Stanów Zjednoczonych działały w Afganistanie na długo przed atakiem terrorystycznym na World Trade Center i Pentagon z 11 września 2001 roku. Wiosną 2002 roku do amerykańskich sił stacjonujących w Bagram dołączyła pierwsza kilkunastoosobowa grupa komandosów Jednostki Specjalnej GROM. Z każdym miesiącem sytuacja w tym rejonie Afganistanu coraz bardziej się gmatwała. Talibowie kontrolowali wioski i tereny do nich przylegające, atakowali szkoły oraz budynki administracji rządowej i wykorzystywali cywilów w charakterze żywych tarczy. Na zboczach gór urządzali sobie tymczasowe kryjówki.

Góra K-6 niedaleko bazy w Bagram ma około trzech tysięcy metrów wysokości. Talibowie kryli się w okolicznych jaskiniach, zarówno naturalnych, jak i tych, które sami wydrążyli. Stamtąd ostrzeliwali patrole wojskowe poruszające się położonymi niżej drogami, wąwozami lub korytami wyschniętych rzek. Pierwsi amerykańscy specjalsi zginęli tu już w 2001 roku. Talibowie ukrywali się pośród cywili, bywało, że wchodzili na stropy wiejskich domów i skakali na wchodzących do środka komandosów. W tamtym okresie nierzadko dochodziło do walki wręcz czy na noże. Komandosi zmieniali taktykę, ale walka z „niewidzialnym” przeciwnikiem stawała się coraz trudniejsza. W tym czasie „Drętwy” był już majorem, czyli starszym oficerem. Do Afganistanu przyleciał w 2006 roku, ale tym razem bez „Robaka”, który awansował do stopnia podpułkownika i został szefem szkolenia GROM-u w Polsce. „Robak” ostatecznie odłożył swój karabin snajperski na półkę, a jego zadania bojowe przejął „Drętwy”, koordynował także współpracę Polaków ze specjalsami z NATO. Należał do drugiego już pokolenia wyszkolonych i doświadczonych specjalsów GROM-u.

GROM-owcy na początku misji poruszali się po Afganistanie terenowymi toyotami hilux, które zostały tu dostarczone transportowcem w 2002 roku razem z pierwszymi polskimi żołnierzami. Trzeba je było na miejscu własnymi siłami trochę przerobić. Chłopaki usunęły boczne drzwi, żeby łatwej było się ewakuować w razie zasadzki, i przyspawały do ram przy dachu prowizoryczne statywy do karabinów maszynowych Kałasznikow PK

7,62 mm. Zdobyli także dodatkowe kanistry na paliwo i wodę, dzięki którym zwiększyli zasięg patroli do dwustu kilometrów. Pick-upy dość dobrze się sprawdzały w Afganistanie. Były lekkie, dość trwałe i zwrotne. Ale kiedy talibowie okrzepli i dopracowali swoją taktykę walki z żołnierzami koalicji, a ostrzał kolumn wojskowych stał się codziennością i przybywało rozmaitych przydrożnych min i pułapek, cywilne w gruncie rzeczy toyoty z funkcjonalnych wozów terenowych zamieniły się w śmiertelne pułapki. Oczywiście przede wszystkim ze względu na lekką konstrukcję. W 2004 roku w konwojach Polaków pojawiły się pierwsze hummery, które też nie były spełnieniem marzeń: w zasadzie nieopancerzone, bez wzmocnień, bez oryginalnych wielkokalibrowych karabinów maszynowych. Na dodatek polskie kałasznikowy PK 7,62 mm nie pasowały do amerykańskich statywów i montaży. Hummery te nie były odporne na ostrzał ze zwykłego kałasznikowa, bo ich skrzynie nie zostały niczym wzmocnione, chociaż można było użyć przynajmniej przeciwodłamkowych koców kevlarowych. Do ławek na tylnych skrzyniach hummerów przyspawano więc wszystko, co dało się znaleźć na miejscowym złomowisku, byle tylko trochę lepiej ochronić dupska i plecy, najczęściej były to pasy grubych blach lub metalowych płaskowników. Tego rodzaju zabezpieczenia nie chroniły jednak w żaden sposób przed skutkami wybuchu min, które zbierały krwawe żniwo. Amerykanie zaczęli sprowadzać do transportu piechoty pojazdy opancerzone nowej generacji z podwoziami w kształcie litery V, które miały być odporniejsze na takie wybuchy. Były to pojazdy typu MRAP (Mine-Resistant-Ambush-Protected), czyli wozy opancerzone o zwiększonej odporności na miny i ataki z zasadzki. W Polsce zaczęto wtedy kombinować, żeby takie MRAP-y wypożyczyć od Amerykanów lub sprowadzić z kraju pojazdy KTO (Kołowe Transportery Opancerzone) Rosomak. Jednak pierwsze odpowiednio zmodyfikowane, ulepszone rosomaki i MRAP-y trafiły do Afganistanu dopiero w 2008 roku.

W tamtym czasie głównym zajęciem GROM-owców w Afganistanie były patrole rozpoznawcze. Komandosi często wyjeżdżali hummerami na zwiady długodystansowe, podczas których pokonywali nawet do trzystu

kilometrów. Poznawali teren, porównywali z elektronicznymi mapami lokalizację różnych osad i wiosek znajdujących się wzdłuż wytyczonej trasy. Ich zadania sprowadzały się do „patrolowania na pojazdach”, cokolwiek ten termin miał oznaczać. Po drodze próbowali nawiązywać przyjazne kontakty z ludnością afgańską, co w zasadzie nie miało większego sensu, bo jak można złapać kontakt i zdobyć zaufanie kogoś, kto mówi językiem, z którego nie da się zapamiętać żadnego słowa. Pozostawało więc przyjazne machanie ręką i obustronne udawanie, jakimi to jesteśmy sprzymierzeńcami. Gdzieś tam wymyślono nawet „specjalną” taktykę zaprzyjaźniania się z miejscowymi, której przyświecało hasło: „*Win Their Hearts and Minds*” [Zdobyć ich serca i umysły], co GROM-owcy w wolnym przekładzie z angielskiego określali ironicznie jako „Gówno prawda”.

„Drętwy” i chłopaki starali się jak najwięcej nauczyć od amerykańskich specjalsów. Młody major doskonale rozumiał, że nie może tu otworzyć czerwonej „superksiążeczki” opracowanej jeszcze w Ludowym Wojsku Polskim zatytułowanej *Regulamin pola walki piechoty zmotoryzowanej*. I że podczas zwalczania afgańskich partyzantów i poruszania się lekką kolumną czy w konwoju pojazdów po górzystym obszarze Afganistanu niewiele dadzą instrukcje na temat działania kolumny pojazdów w terenie otwartym lub wąskim, na ulicach miast i w wioskach. „Drętwy” wszystkiego nauczył się na szkoleniach i uczestnicząc w misjach GROM-u. Taktyka działania patrolu na pojazdach w Iraku czy w Afganistanie to zdecydowanie co innego niż na czołgach czy BWP-ach. BWP, czyli gąsienicowy bojowy wóz piechoty, zupełnie by się tu nie sprawdził, w tak dziwnej, mobilnej, niekonwencjonalnej i nieregularnej wojnie z partyzantami i terrorystami. Oranie terenu gąsienicami i jazda na wprost w wyznaczonym strategicznie kierunku nie wchodziły w grę. Drogi w Afganistanie są kręte, o ile w ogóle istnieją. Mobilność i manewrowość gąsienicowych olbrzymów jest znacznie mniejsza od lekkiej kolumny pojazdów na kołach. Nie ma mowy o szybkiej reakcji bojowej w różnych kierunkach ani o uniesieniu armaty takiego pojazdu powyżej sześćdziesięciu stopni, a tutaj bywało to konieczne. Sowieci ze swoimi czołgami już raz przegrali wojnę na tym

terenie. Jeśli w Afganistanie używano czołgów, to rozmieszczano je wokół dużych baz wojskowych w celu odparcia ewentualnego zmasowanego ataku talibów.

Rosomaki, w które w końcu zaopatrzono polskie misje, też nie pozwalały na prowadzenie ostrzału powyżej sześćdziesięciu stopni na krótkim dystansie, ale przemieszane w kolumnie z hummerami czy MRAP-ami się sprawdzały. W Afganistanie bardzo dobrze działały na morale żołnierzy – wyglądały groźnie i dawały sobie radę na otwartym terenie i na długich dystansach, stanowiąc doskonałe wsparcie dla zaatakowanej kolumny. Nic dziwnego, że rebelianci afgańscy nazywali je „diabłami".

Patrol dowodzony przez „Drętwego" mógł tylko pomarzyć o lepszym sprzęcie. Żołnierzom musiały wystarczyć hummery. Zresztą major dobrze wiedział, że gdyby nie Amerykanie, to dalej jeździliby pick-upami, ewentualnie na osłach. Polacy mogli też liczyć na wsparcie lotnicze wielozadaniowych F-16 czy śmigłowców Black Hawk, ale dopiero po wezwaniu przez radiostację w razie kontaktu bojowego po drodze… Z tym wsparciem różnie jednak bywało.

„Drętwy" siedział obok kierowcy hummera na płaskim, kwadratowym, metalowym siedzeniu wyścielonym wytartą już parcianą nakładką. Z poszarzałego i poprzecieranego na bokach brezentowego poddupka wystawała zmurszała od słońca gruba, brązowa gąbka. Kevlarowy hełm na głowie kiwał mu się do przodu i do tyłu, w miarę jak pojazd podnosił się i opadał na grubych, stalowych sprężynach amortyzatorów, które ciężko pracowały podczas przejeżdżania po pojedynczych płaskich łupkach skalnych. Rozglądał się dookoła przez przyciemniane okulary firmy Oakley z na pozór obojętnym wyrazem twarzy, naprawdę jednak zachowywał najwyższą czujność. Między kolanami lewą ręką trzymał krótki karabinek szturmowy M-4 skierowany lufą w dół. To już nie był młody i niedoświadczony „Drętwy" z okresu swoich pierwszych akcji bojowych. Nosił brodę i niewiele pozostało z jego niegdysiejszej *baby face*, dziecinnej twarzyczki. Czasami w jego oczach dawało się dostrzec zmęczenie tym wszystkim, czego się przez lata służby naoglądał. Ten bardzo już

doświadczony oficer ze smutnym zwykle uśmiechem na twarzy często wspominał, jak na początku „Robak” wkurzał się na niego, młokosa, ledwo co przyjętego do GROM-u, który wszystko chrzanił. Nie było w nim już nic z tamtego dzieciaka. W Afganistanie był obytym z wojną rutyniarzem, zobojętniałym na śmierć snajperem i mistrzem dla swoich uczniów. Na tym patrolu był najstarszy zarówno stażem, jak i stopniem. Miał pod komendą dwóch młodych snajperów, którym bacznie się przyglądał i czasem coś podpowiadał. W pewnym sensie naśladował „Robaka” z okresu, gdy ten był jego nauczycielem.

W Afganistanie „Drętwy” zdobył zupełnie nowe i bardzo ważne doświadczenie. Wcześniej w akcjach snajperskich on i „Robak” byli parą polujących drapieżników. Tutaj odwrotnie – major i jego ludzie stanowili cele snajperów. To zupełnie inne uczucie, gdy wiesz, że gdzieś na górze może czaić się ktoś, kto chce cię zabić. Spojrzał do przodu w dół zbocza i dostrzegł w oddali wyłaniające się zza zakrętu pierwsze zabudowania osady i otaczające je zielone pola, najpewniej plantacje maku i marihuany. Tutaj to norma. Południowy skraj dystryktu Sorubi słynął z tego rodzaju upraw. „Drętwy” pomyślał, że to nadspodziewanie zielona okolica. Przycisnął nadajnik radiostacji pokładowej:

– Uwaga, kierowcy! Zwolnić! Do wszystkich: wysypujemy się z pojazdów! *Dismount*!

W takich sytuacjach chłopaki działały rutynowo, miały to przećwiczone do bólu. Kilkunastu żołnierzy w kamuflażu pustynnym wyskoczyło na drogę – szli tuż przy hummerach i trzymając przed sobą karabinki szturmowe, bacznie się rozglądali. Jeśli nie było to absolutnie konieczne, nawet na centymetr nie schodzili ze ścieżki, bo tutaj z drogi można odlać się wprost na minę, a to oznacza ostatnie sikanie w życiu. Poza tym mieli w pamięci niedawny wypadek, kiedy to na przydrożnej minie przeciwpiechotnej omal nie zginął ich kolega z GROM-u.

– Snajperzy, do mnie! – wezwał przez radio „Drętwy”.

Dwóch snajperów w polnych maskałatach i z długimi karabinami podeszło kilka kroków w stronę dowódcy.

– Zajmijcie pozycje przy samym zjeździe z drogi, na jedenastej, gdzieś na tamtych skałkach przed nami. – Pokazał dłonią. – I ubezpieczajcie nas, kiedy będziemy parkować na skraju wioski. Gdy zajmiecie stanowiska, dajcie znać przez radio. Dwa ostatnie hummery, „piątka” i „szóstka” z sekcji „Bravo”, zostają z wami tu na drodze. Podam im po drutach, ale wy też przekażcie im moją decyzję.

– Tak jest! – potwierdził jeden ze snajperów.

Cofnęli się ze trzydzieści metrów w kierunku tyłu kolumny. Jeszcze przez chwilę tam postali, po czym dyskretnie oderwali się od niej i zaczęli się wspinać na lewą stronę stoku. „Drętwy” czuł się teraz bezpieczniej, będą mieli „swoje oczy” na dolinę i gliniane zabudowania widoczne w oddali. A kiedy przednia część kolumny czterech hummerów sprawdzi teren przy wiosce, poda przez radiostację, by dwa pozostałe na drodze do nich dołączyły. Zamierzał porozmawiać ze starszyzną wioskową, jeśli taka się pojawi, i też spróbuje się z nimi „zaprzyjaźnić”, przekazując im kilka ulotek propagandowych w języku pasztuńskim, karton cukierków i pakiet okolicznościowych, „niosących pokój” koszulek. Przy okazji zapyta przyjaźnie o kryjówki miejscowych talibów i zaoferuje im ochronę przed nimi. Takie tam hocki-klocki. Tak wyglądała ta robota, praca u podstaw. Ale to lepsze niż wrogie spojrzenia żołnierzy na miejscową ludność pozbawioną przez wojnę i biedę wszelkiej radości życia.

W pewnym momencie zza ostatniego zakrętu na początku drogi, już na skraju wioski, wychynął młody chłopak, Afgańczyk. Prowadził stado czarnych, futrzastych i nieprzytomnie brudnych owiec, które zajęły cały zjazd z drogi. Dwaj GROM-owcy kroczący z przodu kolumny trochę przyśpieszyli, natomiast kierowcy czterech ostatnich hummerów się zatrzymali. Pierwsze dwa ciągle jechały w dół doliny. Zazwyczaj tak działali, to był odruch, nic przypadkowego. Dzieciak nie wyglądał na zaskoczonego, odwrócił się w kierunku stada owiec i pośpiesznie machając rękami, zaganiał je na łagodną skarpę na poboczu drogi, porośniętą tu i ówdzie mizerną roślinnością. Owce jakby od razu zrozumiały, co jest grane, i posłusznie zbiegły w dół zbocza.

– Ej, „Megi”, rzuć mi cukierki, są w kartonie obok ciebie! – zawołał „Cichy”, jeden z chłopaków z przedniej szpicy. „Megi” to ksywa gunnera jadącego w pierwszym hummerze w kolumnie.

– „Biały”, przejmij przód! – wrzasnął „Megi” do drugiego gunnera z tyłu.

Potem schylił się mocno, chowając głowę w środku wieżyczki, złapał karton i wyjął z niego przeźroczystą paczkę kolorowych lizaków. I w tym właśnie momencie usłyszeli dobrze im znany huk, a za chwilę tnący powietrze świst lecącego ładunku wystrzelonego z granatnika RPG-7. Pocisk trafił precyzyjnie w blachę wieżyczki karabinu „Megiego”. Rozległ się niesamowicie głośny wybuch i podniósł tuman kurzu. Oszołomiony od skumulowanej fali uderzeniowej „Megi” natychmiast się wyprostował, paczka słodyczy wypadła mu z dłoni. Odruchowo próbował znaleźć uchwyty swojej pięćdziesiątki, z której oprócz wiszącej na boku, okopconej lufy prawie nic nie pozostało.

– Kontakt! Kontakt z lewej, Kontaaakt! – krzyczeli do siebie szturmowcy.

W jednej chwili rozgorzał jednostronny ostrzał. Strzelcy na hummerach zerwali się i zaczęli walić na odległość dwustu metrów, wysoko na lewym stoku wzgórza. Strzelali w każdą podejrzanie wyglądającą skałę i wylot jaskini. Pozostali GROM-owcy schowali się za hummerami i grzali krótkimi seriami. „Drętwy” sięgnął po granat dymny, wyrwał zapłonnik tarciowy, aż zafurczało mu w dłoni, i rzucił nim skośnie do przodu, w dół stoku. Chciał się odgrodzić zasłoną dymu od strony wioski. Na razie nie strzelał i na chłodno obserwował, co się dzieje. Po chwili ostrzał chłopaków się uspokoił i tylko gunner od granatnika MK-19 wypuścił jeszcze z lufy dwa granaty. Poleciały wysoko, na zrujnowane już skały. „Drętwy” nakazał łącznościowcowi, by ten natychmiast wezwał wsparcie śmigłowców. Podbiegł do „Megiego”, który wciąż stał w wieżyczce hummera i zszokowany patrzył na rozpieprzony karabin.

– „Megi”, kurwa! – wrzasnął „Drętwy”. – Wyłaź stamtąd, bo zaraz oberwiesz drugi raz!

Widząc, że ten nie reaguje, wskoczył na zadymionego hummera i ściągnął chłopaka za tył kamizelki na dół i dalej na drogę.

– „Megi”, patrz tu na mnie, kurwa! Siedzisz tu i nie ruszasz się z miejsca, aż ochłoniesz!

Major zauważył, że z nosa „Megiego” płyną strużki krwi. Zbliżył usta do jego ucha.

– Żyjesz? Wiesz, gdzie jesteś?!

Z drogi powoli zaczął odchodzić na bok tuman kurzu. Przez białą chmurę zasłony dymnej słabo jeszcze widać było na dole stado owiec, które razem z ich przewodnikiem pędziło w wielkim popłochu w stronę wioski. Chłopak dał kilka susów przed siebie, aż wreszcie potknął się i spadł ze skarpy gdzieś w trawę. Gunnerzy wypruli jeszcze po taśmie pocisków, a zaraz potem wsadzili pod pokrywy WKM-ów kolejne. Chłopaki na drodze, klęcząc na jednym kolanie, na przemian wypinały opróżnione z amunicji magazynki od swoich M-4. Przez cały czas jeden z nich ubezpieczał sektor ostrzału. Któryś z nich dorzucił jeszcze jeden granat dymny. Na chwilę zapanowała cisza, którą przebijał miarowy turkot zaworów w dieslowskich silnikach pracujących, jakby nic się nie stało. Sytuacja nie była jeszcze czysta. GROM-owcy zatrzymali się w swoich sektorach i trzymali pozycje.

– „Rocky”, dawaj tu granatnik! – krzyknął „Drętwy”.

Szturman wskoczył szybko na pakę trzeciego hummera, wypiął wyrzutnię, chwycił bakelitowy pojemnik z dwoma pociskami i rzucił go pomocnikowi. Obaj natychmiast podbiegli na przód kolumny i rozstawiali się z granatnikiem Carl Gustaf.

– „Medyk”! – wrzasnął „Drętwy”. – Melduj!

– Jestem! – zgłosił się „Medyk”.

W tym momencie odezwali się snajperzy. Słyszeli świst przelatujących nad głowami wystrzelonych przez nich jeden po drugim pocisków, które dały o sobie znać odbitym echem po drugiej stronie doliny, tuż za rozciągającymi się w oddali grupami parterowych zabudowań. Strzelili dwa razy w kierunku wioski.

– Co jest grane? – zapytał ich po chwili przez radiostację „Drętwy”.

– Snajper na drugiej na dachu budynku, odległość sześćset metrów, zdejmujemy – zorientował majora jeden ze snajperów.

– Snajper na drugiej, z prawej! Wszyscy do pojazdów! Wsiadać! Spierdalamy stąd! Naprzód, naprzód! – krzyknął „Drętwy”. – Ruszamy na dół, w dolinę, natychmiast! *Move! Move!* Granatnik z powrotem na pakę, szybciej!

Sam w pośpiechu odwrócił się w stronę „Medyka” i siedzącego jeszcze na drodze „Megiego”. Zrobił może ze dwa kroki, gdy padł pojedynczy strzał od strony wioski. W jednej chwili „Drętwy” wypuścił z dłoni karabinek i upadł na drogę tuż przy hummerze. Krew trysnęła spod jego hełmu i natychmiast zalała mu całą twarz. Ale on już tego nie czuł.

Przypisy

[1] Ammo (z ang.) – amunicja.

[2] Lightstick, glow stick – świetlik, jednorazowe źródło światła. W składanym pojemniku znajdują się dwie odizolowane ciecze (jedna w szklanym pojemniku), które po wymieszaniu zaczynają świecić. Światło chemiczne może świecić od pięciu minut (ultraintensywne) do dwunastu godzin. Świetliki mogą mieć różne barwy: zielone (te z reguły świecą najdłużej), czerwone, pomarańczowe, różowe, żółte, niebieskie, fioletowe i białe oraz świecące w podczerwieni.

[3] ROE – Rules of Engagement, czyli „Zasady podejmowania działań przy użyciu siły". Ustalone przez dowództwo reguły obejmujące dowódców i żołnierzy, które określają, w jakich przypadkach można i należy użyć broni.

[4] EOT (Eye On Target) – „oczy na celu", czyli „prowadzimy już obserwację".

[5] Steve Irwin (1962–2006) – najsłynniejszy badacz krokodyli, dziennikarz, prezenter, dyrektor Australian ZOO w Beerwah. Zginął podczas kręcenia zdjęć do swojego programu, zaatakowany przez płaszczkę morską w wodach Port Douglas, w rodzinnej Australii.

[6] SOP (Standing Operating Procedures) – przyjęty wcześniej plan bez większych odstępstw taktycznych mimo zaistnienia sytuacji awaryjnej.

[7] Szuszwol – w żargonie wojskowym Irakijczyk lub Afgańczyk, a w tym wypadku wrogi bojownik.

[8] Zielona Strefa (Green Zone) – potoczna nazwa „strefy międzynarodowej" położonej w centrum Bagdadu. Był to obszar mocno ufortyfikowany o łącznej powierzchni około dziesięciu kilometrów kwadratowych. Znajdowały się tam między innymi główne siedziby tymczasowych władz irackich.

[9] Taktyka czarna – działania bojowe w operacjach wymierzonych w terrorystów i przeprowadzanych w obiektach stałych (budynki i instalacje) oraz ruchomych (samoloty, autobusy itp.). Celem operacji specjalnych z wykorzystaniem takiej taktyki jest pojmanie bądź zabicie terrorystów.

WYDAWNICTWO CZARNE sp. z o.o.
czarne.com.pl

Sekretariat: ul. Kołłątaja 14, III p., 38-300 Gorlice
tel. +48 18 353 58 93, fax +48 18 352 04 75
mateusz@czarne.com.pl, tomasz@czarne.com.pl
dominik@czarne.com.pl, ewa@czarne.com.pl
edyta@czarne.com.pl

Redakcja: Wołowiec 11, 38-307 Sękowa
redakcja@czarne.com.pl

Sekretarz redakcji: malgorzata@czarne.com.pl

Dział promocji: ul. Marszałkowska 43/1, 00-648 Warszawa
tel./fax +48 22 621 10 48
agnieszka@czarne.com.pl, dorota@czarne.com.pl
zofia@czarne.com.pl, marcjanna@czarne.com.pl
magda.jobko@czarne.com.pl

Dział marketingu: honorata@czarne.com.pl

Dział sprzedaży: piotr.baginski@czarne.com.pl
agnieszka.wilczak@czarne.com.pl
malgorzata.wietecha@czarne.com.pl

Audiobooki i e-booki: anna@czarne.com.pl

Skład: d2d.pl
ul. Sienkiewicza 9/14, 30-033 Kraków, tel. +48 12 432 08 52
info@d2d.pl

Wołowiec 2017
Wydanie I